

Clark Mary Higgins

Gdy moja śliczna śpi



calibre 0.9.43

Mary Higgins Clark

GDY MOJA ŚLICZNA ŚPI

Przełożyła Danuta Górską

Tytuł oryginału:

WHILE MY PRETTY ONE SLEEPS

Wydanie polskie: 2001

Wydanie oryginalne: 1989

Dla moich najmłodszych wnuków:

Courtney Marilyn Clark

i

Davidę Frederickę Clarkę zawsze z miłością, radością i czułością

1

Jechał ostrożnie autostradą w stronę Morrison State Park. Ponad

pięćdziesięciokilometrowa wyprawa z Manhattanu do okręgu Rockland okazała się

koszmarem. Chociaż minęła szósta, nic nie wskazywało na bliskość świtu. W nocy zaczął

padać śnieg i sypał coraz mocniej, uparcie zalepiając przednią szybę. Chmury na niebie, ciężkie i szare, przypominały ogromne balony napompowane tak mocno, że prawie pękały.

Prognoza zapowiadała pięć centymetrów opadów śniegu „słabnących po północy”. Jak

zwykle synoptycy się pomylili.

Zbliżał się już jednak do bramy parku, a podczas zamieci nie powinien napotkać

żadnych autostopowiczów czy biegaczy. Kwadrans wcześniej minął samochód policji

stanowej, który pędził z migającymi światłami, pewnie do jakiegoś wypadku. Gliny z pewnością nie miały żadnego powodu, żeby interesować się zawartością jego bagażnika, nie miały powodu podejrzewać, że pod stertą bagaży spoczywał plastikowy worek ze

zwłokami znanej sześćdziesięcioletniej pisarki, Ethel Lambston, upchnięty w

zwodniczo ciasnym zakamarku obok koła zapasowego.

Skręcił z autostrady i krótkim podjazdem dotarł na parking. Zgodnie z jego

oczekiwaniem było tu prawie pusto, stało tylko parę samochodów pokrytych śniegiem.

Jacyś cholerni głupcy obozują pod gołym niebem, pomyślał. Cała sztuka w tym, żeby na nich nie wpaść.

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się uważnie. Nikogo. Nawiany śnieg tworzył zaspę.

Po jego odjeździe zakryje ślady, zamaskuje miejsce, gdzie zamierzał ukryć ciało. Przy odrobinie szczęścia niewiele z niej zostanie, zanim zostanie odnaleziona.

Najpierw sam ruszył do tego miejsca. Słuch miał wyczulony. Teraz jeszcze bardziej nastawiał uszu, starając się przeniknąć westchnienia wiatru i skrzypienie już obciążonych gałęzi. Stąd w dół prowadziła stroma ścieżka. Za nią na pochyłym stoku wznosiło się skalne rumowisko, pełne ciężkich obluzowanych kamieni. Bardzo nieliczni porywali się na

wspinaczkę w tym miejscu. Nie wpuszczano tutaj amatorów jazdy konnej właściciele stajni nie chcieli, żeby gospodynie domowe, stanowiące ich główną klientelę, łamały sobie karki.

Rok wcześniej akurat to miejsce zaciekało go dostatecznie, żeby tam wejść.

Odpoczywał na głazie, ręka mu się ześliznęła i wyczuł otwór za skałą. Nie wylot jaskini, ale naturalny przesmyk przypominający wejście. Już wtedy przyszło mu do głowy, że to

wspaniałe miejsce, żeby coś ukryć.

Wspinaczka po zlodowaciałym śniegu była wyczerpująca, ślizgał się i obsuwał, ale

wreszcie dotarł do celu. Szczelina wciąż tam była, trochę mniejsza niż pamiętał, ale mogła pomieścić ciało. Następny krok był najgorszy. Wracając do samochodu, musiał zachować największą ostrożność, żeby nikt go nie zauważył. Zaparkował pod takim kątem, że żaden przypadkowy przybysz nie mógł dokładnie zobaczyć, co wyciągał z bagażnika. Zresztą czarna plastikowa torba sama w sobie nie powinna wzbudzać podejrzeń.

Za życia Ethel była zwodniczo smukła, lecz kiedy dźwignął trupa w plastikowym

całunie, uświadomił sobie, że te kosztowne stroje ukrywały masywny kościec. Próbował

zarzucić sobie worek na ramię, ale w ciele Ethel, równie przekornej po śmierci jak za życia, najwyraźniej rozpoczął się już proces rigor mortis. Zwłoki nie chciały ułożyć się w dogodnej pozycji. W końcu na wpół zaniósł, na wpół zawlókł worek aż do podnóża stoku, a dalej czysta adrenalina pomogła mu wciągnąć ciężar po stromych, śliskich skałach.

Początkowo zamierzał zostawić ją w worku, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Ci cholerni kryminalodzy robili się zbyt sprytni. Potrafili znaleźć ślady na wszystkim: włókna z odzieży, dywanów lub ludzkich włosów, niedostrzegalne gołym okiem.

Porywisty wiatr chłostał go po twarzy, czoło i policzki pod ukłuciami igiełek śniegu zmieniały się w bryłę lodu. Nie zwracając uwagi na zimno, umieścił worek nad szczeliną i próbował go rozerwać. Plastik nie ustępował. Podwójna grubość, pomyślał ponuro,

przypominając sobie wszystkie reklamy. Szarpnął gwałtownie i zacisnął zęby, kiedy plastik poddał się wreszcie i odsłonił ciało Ethel.

Krew poplamiła białą wełnianą garsonkę. Kołnierzyk bluzki utkwiał w ziejącej ranie na gardle. Jedno oko było lekko otwarte. W świetle wstającego dnia wydawało się raczej zamyślane niż ślepe. Usta, które za życia Ethel nie znały wytchnienia, były ściągnięte, jakby miały wygłosić kolejną z jej rozwlekłych kwestii. Ostatnia, którą wypluły, okazała się fatalnym błędem, pomyślał z ponurą satysfakcją.

Nawet w rękawiczkach wzdragał się przed dotknięciem ofiary. Ethel nie żyła prawie od czternastu godzin i zdawało mu się, że jej ciało wydziela słaby słodkawy fetor. Z nagłym obrzydzeniem zepchnął zwłoki w dół i zaczął przykrywać je kamieniami. Szczelina była głębsza, niż przypuszczał, kamienie spadały prosto na ciało. Przypadkowy wspinacz ich nie strąci.

Zadanie zostało wykonane, a sypiący mocno śnieg zakrył już odciski stóp. Dziesięć minut po jego odejściu znikną wszelkie ślady obecności człowieka i samochodu.

Zgniół podarty plastik w kulę i pośpieszył z powrotem do samochodu. Teraz chciał

jak najszybciej odjechać, oddalić się od zdradliwej kryjówki. Na skraju parkingu odczekał

chwilę. Te same samochody stały na miejscu, nieruszone. Nie widział żadnych świeżych śladów.

Pięć minut później znowu jechał autostradą. Zakrwawiony, podarty worek, który

posłużył Ethel za całun, tkwił wciśnięty pod zapasowe koło. Teraz w bagażniku zrobiło się dużo miejsca na jej walizki, neseser i torebkę.

Szosa była oblodzona, zaczynał się poranny ruch, ale za kilka godzin kierowca

powróci do Nowego Jorku, do rzeczywistego, normalnego życia. Zatrzymał się po raz ostatni nad zapamiętanym z wcześniejszych podróży jeziorem, niezbyt odległym od

autostrady, obecnie zbyt zanieczyszczonym dla wędkarzy. Dobre miejsce, żeby wyrzucić torebkę i bagaże Ethel. Jezioro było głębokie, a wszystkie cztery walizki ciężkie. Wiedział, że zatoną i utkną w zwałach śmieci spoczywających na dnie. Ludzie topili tam nawet stare samochody.

Rzucił rzeczy Ethel jak najdalej i patrzył, gdy znikały w ciemnoszarej wodzie. Teraz pozostało mu tylko pozbyć się wystrzępionego, zakrwawionego plastiku. Postanowił

zatrzymać się obok pojemnika na śmieci przy wyjeździe z West Side Highway. Worek

zniknie w górze śmieci wywożonych każdego ranka.

Powrót do miasta zabrał mu trzy godziny. Jazda zrobiła się niebezpieczna, starał się jednak zachowywać dystans do innych samochodów. Nie potrzebował wgiętego zderzaka.

Przez następne miesiące nie wolno mu się zdradzić, że dzisiaj wyjeżdżał z miasta.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Na ułamek sekundy przystanął na Dziewiątej Alei i wyrzucił plastikowy worek.

O ósmej odstawił auto z powrotem na stację benzynową przy Dziesiątej Alei, gdzie również wypożyczano stare samochody. Tylko za gotówkę. Wiedział, że nie prowadzą księgowości.

O dziewiątej, odświeżony prysznicem i przebrany, siedział w swoim mieszkaniu, popijając czystego burbona i próbując opanować nagły atak lodowatej paniki. W myślach odtwarzał każdą chwilę, która upłynęła, odkąd wczoraj stał w mieszkaniu Ethel i wysłuchiwał jej drwin, szyderstw i pogróżek.

A potem już wiedziała. Zabytkowy sztylet z jej biurka w jego dłoni. Oczy Ethel pełne strachu, gdy zaczęła się cofać.

Radość poderżnięcia jej gardła, patrzenia, jak kobieta zatacza się do tyłu przez łukowate drzwi kuchni i pada na kafelkową podłogę.

Wciąż był zdumiony, wspominając, jak spokojnie się zachował. Zarygłował drzwi na wypadek, gdyby przez jakiś szaleńczy zbieg okoliczności zjawił się dozorca albo przyjaciel posiadający klucz. Wszyscy wiedzieli, jak ekscentrycznie czasami postępuje Ethel. Gdyby ktoś z kluczem odkrył, że drzwi są zarygłowane, na pewno pomyślałby, że gospodyni nie życzy sobie żadnych gości.

Potem rozebrał się do bielizny i nałożył rękawiczki. Ethel planowała wyjazd, żeby napisać książkę. Gdyby ukrył ciało, ludzie zakładaliby, że sama wyjechała. Nie szukaliby jej przez całe tygodnie, może miesiące.

Teraz, przełykając haust burbona, wspominał, jak wybrał ubrania z szafy, zdjął z ciała zabitej przesiąknięty krwią kaftan, naciągnął jej rajstopy, wsunął ramiona w bluzkę i zakiet, zapiął spódnicę, zabrał biżuterię, wcisnął stopy Ethel w pantofli Zamrugął wspominając, jak podźwignął ją i przytrzymał, żeby krew spłynęła na bluzkę i garsonkę. Ale to było konieczne. Kiedy ją znajdą, jeśli w ogóle znajdą, powinni myśleć, że zginęła w tym ubraniu.

Pamiętał, żeby obciąć metki, które doprowadziłyby do natychmiastowej identyfikacji.

Znalazł w szafie długi plastikowy worek, w którym pewnie odesłano wieczorową suknię z pralni. Wsunął ciało do worka, potem wyczyścił plamy krwi z orientalnego chodnika, umył

kuchenne kafelki chloroksem, spakował do walizek ubrania i drobiazgi, gorączkowo walcząc z czasem...

Ponownie napełnił kieliszek po brzegi burbonem, wspominając, jak zadzwonił telefon.

Automatyczna sekretarka włączyła się i usłyszał szybko wymawiane słowa Ethel: „Zostaw wiadomość. Oddzwonię, kiedy i jeśli zechcę”. Nerwy odmówiły mu posłuszeństwa.

Dzwoniący rozłączył się, a on wyłączył sekretarkę. Nie chciał zostawiać zapisu, kto dzwonił i później mógł przypomnieć sobie spotkanie, które się nie odbyło.

Ethel mieszkała na parterze w trzypiętrowym budynku z piaskowca. Jej osobne

wejście znajdowało się na lewo od pochyłej rampy, która prowadziła do głównego holu. W

rezultacie jej drzwi były zasłonięte przed wzrokiem ulicznych przechodniów. Jedyne niebezpieczny odcinek stanowiło dwanaście schodków od drzwi do krawężnika.

W mieszkaniu czuł się stosunkowo bezpiecznie. Najtrudniejsza chwila nadeszła, kiedy ukrywszy pod łóżkiem szczelnie owinięte ciało Ethel i bagaże, otworzył frontowe drzwi.

Powietrze było ostre i wilgotne, zanosilo się na śnieg. Wiatr wdarł się zimnym tchnieniem do wnętrza mieszkania. Natychmiast zamknął drzwi. Było dopiero kilka minut po szóstej i ulice roiły się od ludzi wracających z pracy. Odczekał jeszcze prawie dwie godziny, a potem wymknął się z mieszkania, dwukrotnie przekręcił klucz w zamku i poszedł do

taniego punktu wynajmu pojazdów. Podjechał samochodem pod dom Ethel. Szczęście mu sprzyjało, znalazł miejsce do parkowania prawie dokładnie przed kamienicą. Zapadł zmrok i ulica była pusta.

W dwóch nawrotach przeniósł bagaże do samochodu. Trzeci etap był najgorszy.

Postawił kołnierz płaszcza, nałożył starą czapkę, którą znalazł na podłodze wynajętego auta, i wyniósł z mieszkania plastikowy worek z ciałem Ethel. W chwili, kiedy zatrzasnął

bagażnik, po raz pierwszy poczuł, że zdoła zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Okropny był powrót do mieszkania, żeby się upewnić, że nie zostały tam żadne ślady krwi, żadne oznaki czyjejs obecności. Każdy nerw jego ciała wprost krzyczał, żeby pędzić do parku stanowego i pozbyć się zwłok, ale on wiedział, że to szaleństwo. Policja może zauważyć, że ktoś próbuje dostać się do parku w nocy. Zamiast tego zostawił samochód na ulicy sześć przecznic dalej, powrócił do codziennych zajęć, a o piątej rano wyruszył w drogę razem z falą najwcześniej dojeżdżających do pracy...

Już w porządku, powiedział sobie. Jestem bezpieczny!

Dopiero kiedy przełknął ostatni rozgrzewający łyk burbona, uświadomił sobie, że popełnił jeden straszliwy błąd. Zrozumiał natychmiast, kto niemal na pewno go zdemaskuje.

Neeve Kearny.

Radio włączyło się o szóstej trzydziści. Neeve wyciągnęła prawą rękę i po omacku szukała guzika, żeby wyciszyć natrętnie wesoły głos spikera. Potem znieruchomiała, kiedy znaczenie jego słów dotarło do jej świadomości.

Na miasto spadło w nocy dwadzieścia centymetrów śniegu. Prosimy wyjeżdżać samochodem tylko w razie absolutnej konieczności. Parkowanie na ulicy zawieszono.

Szkoły ogłoszą przerwę w nauce. Według prognozy śnieg będzie padał aż do późnego popołudnia.

Wspaniale, pomyślała Neeve. Opadła na poduszki i podciągnęła kołdrę pod brodę. Nie znośła opuszczać porannego biegu. Potem skrzywiła się na myśl o przeróbkach, które dzisiaj trzeba skończyć. Dwie szwaczki mieszkają w New Jersey, więc chyba nie dojadą.

Wobec tego powinna wcześniej pójść do sklepu i sprawdzić, ile roboty można zwalić na Betty, jedyną pozostałą krawcową. Betty mieszkała na rogu Osiemdziesiątej Drugiej i Drugiej Alei, więc mogła przejść piechotą sześć przecznic do sklepu bez względu na pogodę.

Z niechęcią opuściwszy przytulne ciepło łóżka, odrzuciła kołdrę, przebiegła przez pokój i sięgnęła do szafy po stary frotowy szlafrok, zabytek z czasów wypraw krzyżowych, jak twierdził jej ojciec Myles.

— Gdyby kobiety, które wyrzucają tyle pieniędzy na twoje kreacje, zobaczyły cię w tej szmacie, znowu zaczęłyby robić zakupy u Kleina.

Kleina zamknęli dwadzieścia lat temu, a zresztą, gdyby nawet zobaczyły mnie w tej szmacie, uznałyby mnie za ekscentryczkę — odparła. Wizerunek sklepu tylko by na tym zyskał.

Zawiązała pasek w talii, jak zwykle doznając przelotnego żalu, że nie odziedziczyła po matce patykowanej figury zamiast solidnej, barczystej sylwetki celtyckich przodków, i odgarnęła do tyłu kruczoczarne kędzierzawe włosy, znak firmowy rodziny Rossettich.

Miała również oczy Rossettich, tęczówki barwy sherry, ciemniejsze na krawędziach, tak że odcinały się ostro od białek, wielkie i pytające pod ciemnymi rzęsami. Lecz mlecznobiała cera z garstką piegów na prostym nosie stanowiła dziedzictwo Celtów, a szerokie usta i mocne zęby pochodziły od Mylesa Kearny'ego.

Sześć lat wcześniej, kiedy skończyła studia i przekonała Mylesa, że nie zamierza się wyprowadzać, nalegał, żeby przerobiła swoją sypialnię. Po wyprawach do Sotheby's i Christie's zgromadziła eklektyczną kolekcję: mosiężne łóżko, antyczną szafę i komodę, wiktoriański szezlong i stary perski dywan, barwny niczym płaszcz Józefa. Narzuta, poduszki i falbanki przy łóżku były śnieżnobiałe; tapicer pokrył szezlong turkusowym aksamitem w tym samym odcieniu, który przewijał się przez

dywan; śnieżnobiałe ściany stanowiły tło dla cennych obrazów i sztychów, otrzymanych od rodziny matki. „Women’s Wear Daily” sfotografował ją w tym pokoju i nazwał to pogodną elegancją w niezrównanym stylu Neeve Kearny.

Neeve wsunęła stopy w ciepłe kapcie, które Myles nazywał jej papuciami, i podniosła roletę. Stwierdziła, że synoptyk nie musiał być geniuszem, żeby zapowiadać zamieć śnieżną. Z okna pokoju w Schwab House na rogu Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy i

Riverside Drive miała widok prosto na rzekę Hudson, ale teraz ledwie dostrzegała zarysy budynków na drugim brzegu, w New Jersey. Trasa Henry Hudson Parkway była zaśnieżona i już wypełniona ostrożnie pełzającym strumieniem samochodów. Nieszczęśnicy

dojeżdżający do pracy bez wątpienia wyruszyli dzisiaj wcześniej.

Myles był już w kuchni i nastawił kawę. Neeve pocałowała go w policzek i

powstrzymała się od uwagi, że wygląda na bardzo zmęczonego. To znaczyło, że znowu źle spał. Gdyby tylko ustąpił i od czasu do czasu wziął pigułkę nasenną, pomyślała.

— Jak tam legenda? — zagadnęła. Odkąd w zeszłym roku przeszedł na emeryturę,

prasa uparcie nazywała go „legendarnym nowojorskim komisarzem policji”. Nie cierpiał tego.

Udał, że nie słyszy pytania i popatrzył na nią z pozornym zdumieniem.

— Tylko mi nie mów, że nie zamierasz biegać po Central Parku! — zawołał. — Co znaczy pół metra śniegu dla nieustraszonej Neeve?

Przez lata biegali razem. Teraz, kiedy już nie mógł tego robić, martwił się jej

wyprawami do parku o świcie. No, ale podejrzewała, że ojciec zawsze będzie się o nią martwił.

Sięgnęła do lodówki po dzbanek soku pomarańczowego. Bez pytania napełniła

wysoką szklankę dla niego, mniejszą dla siebie i zaczęła robić grzanki. Myles dawniej lubił

obfite śniadania, teraz jednak bekon i jajka wykluczono z jego posiłków. Tak samo ser i wołowinę oraz, jak to ujmował, „połowę potraw, które uprzyjemniają życie”. Poważny atak serca ograniczył jego dietę i zakończył karierę.

Siedzieli w przyjaznym milczeniu, na zasadzie niepisanej umowy dzieląc się

porannym „Timesem”. Lecz kiedy Neeve podniosła wzrok, zauważyła, że ojciec nie czyta.

Wpatrywał się w kolumny niewidzącym wzrokiem. Grzanka i sok stały przed nim nietknięte. Tylko kawy spróbował. Neeve odłożyła drugą część gazety.

No dobrze — powiedziała. — Wyrzuć to z siebie. Czujesz się parszywie, tak? Na litość boską, miałam nadzieję, że na tyle zmądrzałeś, żeby nie zgrywać cichego męczennika.

— Nie, nic mi nie jest — odrzekł Myles. — Przynajmniej nie mam bólów w klatce piersiowej, jeśli o to pytasz. — Rzucił gazetę na podłogę i sięgnął po kawę. — Nicky Sepetti wychodzi dzisiaj z więzienia.

Neeve gwałtownie wciągnęła powietrze.

Myślałam, że w zeszłym roku odmówiono mu warunkowego zwolnienia?

W zeszłym roku apelował po raz czwarty. Odsiedział pełny wyrok, skrócony za dobre sprawowanie. Dzisiaj wieczorem wraca do Nowego Jorku.

Twarz ojca stwardniała od zimnej nienawiści.

— Tato, przejrzyj się w lustrze. Rób tak dalej, to dostaniesz następnego ataku serca.

Neeve spostrzegła, że drżą jej ręce. Chwyciła mocno krawędź stołu w nadziei, że

Myles nic nie zauważy i nie pomyśli, że ona się boi.

— Wszystko jedno, czy Sepetti się odgrażał, kiedy go skazali. Przez lata próbowałeś znaleźć jego powiązania z... — Głos ją zawiódł, ale po chwili podjęła: — I nie odkryto ani jednego strzępka dowodu na jego związek z tą sprawą. Na litość boską, nie zamartwiaj się o mnie tylko dlatego, że wyszedł na wolność.

Jej ojciec był właśnie tym prokuratorem, który wsadził za kratki Nicky'ego Sepettiego, głowę mafijnej rodziny Sepettich. Po ogłoszeniu wyroku zapytano skazanego, czy ma coś do powiedzenia. Wskazał Mylesa: „Słyszałem, że tak świetnie się spisałeś w mojej sprawie, że zrobili cię komisarzem policji. Gratulacje. Fajny był ten artykuł w «Post» o tobie i twojej rodzinie. Dobrze pilnuj żony i dziecka. Przyda im się obrońca”.

Dwa tygodnie później Myles złożył przysięgę jako komisarz policji. Po miesiącu jego młodą żonę, matkę Neeve, trzydziestoczteroletnią Renatę Rossetti Kearny, znaleziono w Central Parku z podejrzanym gardłem. Nigdy nie wykryto sprawcy.

Neeve nie protestowała, kiedy Myles nalegał, że zamówi dla niej taksówkę.

— Nie możesz iść po śniegu do pracy — tłumaczył.

— Nie chodzi o śnieg i oboje o tym wiemy — odrzekła. Całując ojca na pożegnanie,

zarzuciła mu ramiona na szyję i objęła mocno. — Myles, oboje powinniśmy się martwić tylko o twoje zdrowie. Nicky Sepetti nie zechce wrócić do więzienia. Założę się, że jeśli zna jakieś pacierze, to teraz się modli, żeby nic mi się nie stało przez długi, długi czas. Nie ma w Nowym Jorku nikogo oprócz ciebie, kto nie wierzy, że jakiś drobny złodziejasek napadł na mamę i zabił ją, bo nie chciała mu oddać torebki. Pewnie krzyknęła na niego po włosku i wpadł w panikę. Więc proszę, zapomnij o Sepettim i zostaw niebiosom wykonanie wyroku na tym, kto ją nam zabrał. Okay? Obiecujesz?

Kiwnął głową, co niezbyt ją uspokoiło.

— A teraz wynocha — powiedział. — Taksometr bije, a mój teleturniej zaczyna się za chwilę.

Pługi śnieżne tylko po łebkach, jak to określił Myles, oczyściły West End Avenue z nagromadzonego śniegu. Kiedy taksówka wlokła się po śliskich ulicach i na

Osiemdziesiątej Pierwszej skręciła w parkową przecznicę wschód-zachód, Neeve

przyłapała się na bezowocnym „gdybaniu”. Gdyby złapano mordercę jej matki, może w końcu ojciec pogodziłby się ze stratą, tak jak ona się pogodziła. Tymczasem wciąż jątrzył w sobie otwartą, niezagojoną ranę. Wciąż oskarżał sam siebie, że w jakiś sposób zawiódł

żonę. Przez te wszystkie lata wyrzucał sobie, że nie potraktował tamtej groźby poważnie.

Nie potrafił pogodzić się z faktem, że nawet mając do dyspozycji ogromne siły

nowojorskiej policji, nie zdołał wykryć tożsamości bandyty, który — o czym był

przekonany — działał na rozkaz Sepettiego. Tylko tego jeszcze pragnął w życiu — znaleźć zabójcę, odplacić jemu i Sepettiemu za śmierć Renaty.

Neeve zadrżała. W taksówce było zimno. Kierowca widocznie obserwował ją w

lusterku, bo powiedział:

— Przepraszam panią, ogrzewanie nie za dobrze działa.

— Nie szkodzi.

Odwróciła wzrok, żeby uniknąć rozmowy. „Gdyby” wciąż wypełniało jej myśli.

Gdyby zabójcę złapano i skazano przed laty, Myles mógłby odbudować swoje życie. W

wieku sześćdziesięciu ośmiu lat wciąż był atrakcyjny i mnóstwo kobiet spoglądało w szczególnie sposób na tego szczupłego, barczystego mężczyznę z gęstą czupryną

przedwcześnie posiwiałych włosów, intensywnie niebieskimi oczami i nieoczekiwanie ciepłym uśmiechem.

Tak głęboko pogrążyła się w myślach, że nawet nie zauważyła, kiedy taksówka stanęła przed sklepem. Na kremowo-błękitnej pasiastej markizie widniał pełen zakrętasów napis:

„Salon Neeve”. Okna wystawowe, wychodzące na Madison Avenue i Osiemdziesiątą

Czwartą Ulicę, lśniły od wilgoci, która dodawała połysku nieskazitelnie skrojonym jedwabnym letnim sukniom na manekinach ustawionych w wyszukanych pozach. To Neeve wpadła na pomysł, żeby zamówić parasole wyglądające jak parasolki od słońca. Na

ramionach manekinów udrapowano zwykle płaszcze przeciwdeszczowe w jednym z

kolorów nadruku na sukniach. Neeve żartowała, że to jej wersja hasła „nie bądź szara w deszczu”, która jednak odniosła oszałamiający sukces.

— Pani tu pracuje? — zapytał taksjarsz, kiedy mu płaciła. — Wygląda drogo.

Niezobowiązująco kiwnęła głową, myśląc: Ja jestem właścicielką, przyjacielu.

Świadomość tego wciąż budziła w niej dreszcz podniecenia. Sześć lat wcześniej

poprzedni butik w tym miejscu zbankrutował. To stary przyjaciel jej ojca, słynny projektant Anthony della Salva, dosłownie zmusił ją do przejęcia sklepu. „No więc jesteś młoda”, oświadczył, porzucając ciężki włoski akcent, który stanowił obecnie część jego

osobowości. „To twój plus. Pracowałaś w modzie, odkąd skończyłaś szkołę. Więcej, masz zdolności i smykałkę. Pożyczę ci pieniądze na początek. Jeśli to nie wypali, chętnie odpiszę sobie stratę od podatku, ale wierzę w ciebie. Masz to, czego trzeba, żeby ci się udało. Poza tym potrzebuję jeszcze jednego sklepu, żeby sprzedawać swoje ubrania”. Czego jak czego, ale tego Sal na pewno nie potrzebował i oboje o tym wiedzieli. Niemniej była mu

wdzięczna.

Myśleś stanowczo sprzeciwiał się wzięciu pieniędzy od Sala, Neeve jednak skwapliwie skorzystała z okazji. Oprócz oczu i włosów odziedziczyła po Renacie coś jeszcze:

niezwykle rozwinięte wyczucie mody. W zeszłym roku spłaciła pożyczkę Sala razem z procentami według stopy rynkowej, na co sama nalegała.

Nie zdziwiła się, widząc Betty już przy pracy w szwalni. Betty miała pochyloną głowę, twarz zastygłą w wyrazie skupienia, które wryło już na stałe zmarszczki pomiędzy jej brwiami i na czole. Dłonie, smukłe i pomarszczone, operowały igłą i nitką z precyzją chirurga. Obrębiała bluzkę

wyszywaną paciorkami w skomplikowany wzór. Włosy

ufarbowane na krzykliwy odcień miedzi podkreślały pergaminową bladość twarzy. Neeve z przykrością przypomniała sobie, że jej pracownica przekroczyła siedemdziesiątkę. Nie chciała nawet myśleć o dniu, kiedy staruszka postanowi przejść na emeryturę.

— Pomyślałam, że lepiej podgonię robotę — oznajmiła Betty. — Mamy dzisiaj okropnie dużo klientów.

Neeve ściągnęła rękawiczki i odwinęła szalik.

— Jakbym nie wiedziała. A Ethel Lambston upiera się, że musi dostać wszystko dzisiaj po południu.

— Wiem. Przygotuję jej rzeczy, kiedy to skończę. Nie warto wysłuchiwać gderania tej kobiety, jeśli każda szmatka, którą kupiła, nie będzie gotowa na czas.

— Szkoda, że nie mamy więcej takich dobrych klientek — zauważyła pojednawczo Neeve.

Betty kiwnęła głową.

— Chyba tak. Przy okazji, cieszę się, że namówiłaś panią Yates na ten komplet. W tym drugim, który przymierzała, wyglądała jak krowa.

— W dodatku kosztował półtora tysiąca więcej, ale nie mogłam jej pozwolić, aby go wzięła. Prędzej czy później musiałyby przejrzeć się w lustrze. Top z cekinów wystarczy.

Powinna nosić długą, lejącą się spódnicę.

Zdumiewająco wiele klientek dotarło do sklepu, nie zważając na śnieg i śliskie

chodniki. Niestety dwie dziewczyny nie dotarły, więc Neeve spędziła cały dzień w dziale sprzedaży. Tę część pracy lubiła najbardziej, ale w ostatnich latach musiała ograniczyć się do obsługiwanie tylko nielicznych osobistych klientek.

W południe weszła do swojego gabinetu na zapleczu, zjadła kanapkę z delikatesów, wypiła kawę i zadzwoniła do domu.

Myśleś rozmawiał już bardziej normalnie.

— Mogłem wygrać czternaście tysięcy dolarów i pikapa championa w „Kole fortuny”

— oznajmił. — Wygrałem tyle, że musiałbym chyba wziąć nawet tego gipsowego

dalmatyńczyka za sześćset dolarów, którego mają czelność nazywać nagrodą.

— No, chyba doszedłeś do siebie — zauważyła Neeve.

— Pogadałem z chłopakami w mieście. Mają dobrych ludzi do pilnowania Sepettiego.

Mówią, że jest poważnie chory i stracił chęć do zemsty. — W głosie Mylesa brzmiała satysfakcja.

— I pewnie przypomnieli ci, że nie wierzą, iż miał coś wspólnego ze śmiercią mamy.

— Nie czekała na odpowiedź. — Na dzisiejszy wieczór wyśmienity będzie makaron. W

zamrażalniku mamy mnóstwo sosu. Wyjmij go, dobrze?

Odłożyła słuchawkę nieco podniesiona na duchu. Przełknęła ostatni kęs kanapki z

indykiem, popiła resztką kawy i wróciła do działu sprzedaży. Trzy z sześciu przymierzalni były zajęte. Wyćwiczonym okiem obrzuciła wnętrze sklepu, rejestrując wszystkie

szczegóły.

Wejście od Madison Avenue prowadziło do działu z dodatkami. Neeve wiedziała, że o jej sukcesie zadecydowała między innymi dostępność na miejscu biżuterii, torebek, obuwia, kapeluszy i szalików, dzięki czemu klientka przymierzająca suknię lub kostium nie musiała szukać dodatków gdzie indziej. Wnętrze urządzone w odcieniach kości słoniowej z

akcentami ciepłego różu na wyściełanych sofach i krzesłach. Ubiory sportowe i oddzielne sztuki wisiały w przestronnych niszach dwa stopnie wyżej niż gabloty. Oprócz wytwornie odzianych manekinów wystawowych w sklepie nie prezentowano żadnych strojów.

Potencjalną klientkę prowadzono do krzesła, a sprzedawczyni przynosiła jej do wyboru suknie, kostiumy i garsonki.

To Sal poradził Neeve takie rozwiązanie. „Inaczej będziesz miała hordy wandalii

zrywających ubrania z wieszaków. Zaczynaj ekskluzywnie, skarbie, i trzymaj się tego”, poradził i jak zwykle miał rację.

Róż i kość słoniową wybrała Neeve. „Kiedy klientka przegląda się w lustrze, nie chcę, żeby otoczenie zaćmiewało to, co próbuję sprzedać”, wyjaśniła dekoratorowi, który próbował ją namówić na wielkie plamy koloru.

Popołudnie wlokło się powoli, klientek ubywało. O trzeciej Betty wyszła ze szwalni.

— Rzeczy pani Lambston są gotowe — zawiadomiła właścicielkę.

Neeve osobiście przygotowała to zamówienie. Same wiosenne suknie. Ethel była

pisarką po sześćdziesiątce, wolnym strzelcem, z jednym bestsellerem na koncie.

— Piszę na każdy temat pod słońcem — zwierzała się jednym tchem Neeve w dniu

otwarcia sklepu. — Stosuję inne podejście, świeże spojrzenie. Jestem przeciętną kobietą, która widzi coś po raz pierwszy albo w nowym świetle. Piszę o seksie i związkach, o zwierzętach, domach opieki, organizacjach, handlu nieruchomościami, o partiach

politycznych i jak zostać wolontariuszką i... — Zabrakło jej tchu, błękitne oczy miały iskry, blond włosy przetykane siwizną falowały wokół twarzy. — Kłopot w tym, że pracuję tak ciężko, iż nie mam ani chwili dla siebie. Jeśli kupuję czarną suknię, w końcu noszę do niej brązowe buty. Podobno masz tutaj wszystko. Doskonały pomysł. Ubierz mnie.

Przez ostatnie sześć lat Ethel Lambston stała się cenioną klientką. Nalegała, żeby Neeve wybierała każdą noszoną przez nią szmatkę, a także dodatki i listy zestawień, co z czym nosić. Mieszkała na parterze eleganckiej kamienicy przy Zachodniej Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy i Neeve wpadała tani czasami, żeby doradzić pisarce, które ubrania warto zatrzymać na następny sezon, a które oddać.

Ostatnio Neeve przeglądała jej szafę przed trzema tygodniami. Następnego dnia Ethel przyszła i zamówiła nowe stroje.

— Prawie skończyłam ten artykuł o modzie, do którego robiłam z tobą wywiad —

oznajmiła. — Mnóstwo ludzi wścieknie się na mnie, kiedy to się ukáže, ale tobie się spodoba. Zrobiłam ci darmową reklamę.

Po zakończeniu przymiarek ona i Neeve różniły się zdaniem tylko co do jednego

kostiumu. Neeve próbowała go zabrać.

— Nie chcę ci tego sprzedać. To od Gordona Steubera. Odmawiam sprzedawania jego

ubrań. Powinnam zwrócić ten kostium. Nie znoszę faceta.

Ethel wybuchnęła wtedy śmiechem.

— Zaczekaj, aż przeczytasz, co o nim napisałam. Zmieszałam go z błotem. Ale chcę

mieć ten komplet. Ubrania Steubera dobrze na mnie wyglądają.

Teraz, kiedy Neeve starannie układała stroje w ciężkich ochronnych workach,

mimowolnie zacisnęła usta na widok kostiumu od Steubera. Przed sześcioma tygodniami sprzątaczką w sklepie poprosiła ją o rozmowę z przyjaciółką Meksykanką, która miała kłopoty. Kobieta powiedziała Neeve, że pracowała w nielegalnej wytwórni w Bronksie, należącej do Gordona Steubera.

— Nie mamy zielonych kart. On grozi, że nas wyda. W zeszłym tygodniu

chorowałam. Wyrzucił mnie i moją córkę i nie chce zapłacić, co nam się należy.

Młoda kobieta wyglądała najwyżej na dwadzieścia parę lat.

— Córkę! — wykrzyknęła Neeve. — Ile lat ma pani córka?

— Czternaście.

Neeve skreśliła zamówienie od Gordona Steubera i wysłała mu wiersz Elizabeth

Barrett Browning, który pomógł zmienić prawo dotyczące pracy dzieci w Anglii.

Podkreśliła wers: „Lecz maleńkie dzieci, o moi bracia, one gorzko płaczą”.

Ktoś z biura Steubera dał cynk do „Women’s Wear Daily”. Wydawcy wydrukowali

wiersz na pierwszej stronie, obok zjadliwego listu Neeve do Steubera, i zaapelowali do innych detalistów, żeby bojkotowali przedsiębiorców łamiących prawo.

Anthony della Salva był zdenerwowany.

— Neeve, ludzie mówią, że Steuber ma więcej do ukrycia niż jeden nielegalny zakład.

Narobiłaś szumu i teraz federalni węszą wokół jego zeznań podatkowych.

— Świetnie — burknęła. — Jeśli na podatkach też oszukuje, mam nadzieję, że go złapią.

No cóż, pomyślała, wyglądając kostium od Steubera na wieszaku, to ostatnia jego

rzecz, która wyszła z mojego sklepu. Nie mogła się doczekać przeczytania owego artykułu o modzie. Wiedziała, że wkrótce ma się ukazać w „Contemporary Woman”, magazynie,

którego Ethel była współwydawcą.

Na koniec Neeve sporządziła listę dla pisarki. „Niebieska jedwabna wieczorowa

garsonka; włóż białą jedwabną bluzkę; biżuteria w kasecie A. Różowo-szary komplet; szare pantofle, odpowiednia torebka; biżuteria w kasecie B. Czarna koktajlowa sukienka...”.

Wszystkich kreacji było osiem i razem z dodatkami kosztowały prawie siedem tysięcy dolarów. Ethel wydawała taką sumę trzy lub cztery razy do roku. Wyznała Neeve w

zaufaniu, że kiedy się rozwiodła przed dwudziestoma dwoma laty, otrzymała duże

odszkodowanie i mądrzeje zainwestowała. „I dostaję od niego miesięcznie tysiąc dolarów alimentów do końca życia”, chichotała. „Kiedy zerwaliśmy, był na fali. Mówił swoim adwokatom, że warto było pozbyć się mnie za każdą cenę. W sądzie powiedział, że jeśli kiedyś znowu wyjdę za mąż, facet powinien być głuchy jak pień. Może bym mu darowała, gdyby nie ten dowcip. Ożenił się powtórnie i ma trójkę dzieci, a odkąd Columbus Avenue zrobiła się modna i wzrosły czynsze za wynajem lokali, jego bar podupada. Co jakiś czas dzwoni do mnie i błaga, żebym mu darowała, ale ja odpowiadam, że jeszcze nie znalazłam faceta głuchego jak pień”.

W tamtej chwili Neeve poczuła niechęć do pisarki. A potem starsza kobieta dodała z tęsknotą w głosie: „Zawsze chciałam mieć rodzinę. Rozwiedliśmy się, kiedy miałam trzydzieści siedem lat. Przez pięć lat małżeństwa nie dał mi dziecka”.

Neeve zaczęła z obowiązku czytać artykuły Ethel i szybko zorientowała się, że chociaż autorka sprawiała wrażenie gadatliwej, roztrzepanej kobiety, umiała świetnie pisać.

Nieważne, jaki temat poruszyła, zawsze przeprowadzała rozległe badania.

Z pomocą recepcjonistki Neeve spięła na dole worki z ubraniami. Biżuterię i obuwie zapakowała do oddzielnych pudełek, które ułożyła w kremowo-różowych kartonach z

ozdobnymi napisami „Salon Neeve”. Z westchnieniem ulgi wybrała numer telefonu Ethel.

Nikt nie odbierał. Pisarka nie włączyła również sekretarki. Neeve doszła do wniosku, że Ethel zapewne pojawi się lada chwila, zdyszana, z taksówką czekającą przed drzwiami.

O czwartej w salonie nie było już klientek i Neeve odesłała wszystkich pracowników do domu. Cholerna Ethel, pomyślała. Sama też wolałaby już zamknąć sklep. Śnieg sypał

nieprzerwanie i Neeve obawiała się, że później nie złapie taksówki. Próbowwała dodzwonić się do pisarki o wpół do piątej, o piątej, o piątej trzydzieści. Co teraz? Potem wpadła na pewien pomysł. Zaczeka do szóstej trzydzieści, do zwykłej pory zamknięcia, po czym dostarczy ubrania klientce, jadąc do domu. Na pewno można je zostawić u dozorczy. W ten sposób, jeśli Ethel zamierza wkrótce udać się w podróż, dostanie swoją nową garderobę na czas.

Dyspozytor w przedsiębiorstwie taksówkowym nie chciał przyjąć wezwania.

— Każemy wszystkim wozom zjeżdżać do bazy, proszę pani. Warunki na ulicach są straszne. Ale proszę podać nazwisko i numer telefonu. Kiedy usłyszał jej nazwisko, zmienił ton. — Neeve Kearny! Czemu pani nie powiedziała, że jest pani córką komisarza? Na pewno odstawimy panią do domu.

Taksówka przyjechała za dwadzieścia siódma. Centymetr po centymetrze wlekli się przez niemal nieprzejezdne ulice. Kierowca nie był zachwycony dodatkowym postojem.

— Proszę pani, chciałbym jak najszybciej odstawić wóz.

W mieszkaniu Ethel nikt nie odpowiadał, a Neeve daremnie dobijała się do dozorca. W

kamienicy znajdowały się cztery inne mieszkania, ale nie знаła lokatorów i nie mogła ryzykować zostawienia ubrań u obcych ludzi. W końcu wyrwała czek z książeczki i na odwrocie napisała: „Mam Twoje zamówienie. Zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz”. Podała swój domowy numer telefonu i wsunęła wiadomość pod drzwi. Potem, uginając się pod ciężarem worków i pudeł, wróciła do taksówki.

* * *

W mieszkaniu Ethel Lambston czyjaś ręka sięgnęła po notatkę, którą Neeve wsunęła

pod drzwi, przeczytała ją, wyrzuciła i wróciła do poszukiwań studolarowych banknotów, które pisarka regularnie chomikowała pod dywanami albo między poduszkami kanapy,

pieniędzy, żartobliwie nazywanych „alimentami od tego palanta Seamusa”.

Myles Kearny nie mógł odpędzić dokuczliwego niepokoju, który narastał w nim od

tygodni. Jego babka posiadała coś w rodzaju szóstego zmysłu. „Mam przecucie —

mawiała. — Nadchodzą kłopoty”. Myles wyraźnie pamiętał, jak miał dziesięć lat i babka dostała zdjęcie jego kuzyna z Irlandii. Zawołała: „On ma śmierć w oczach!”. Dwie godziny później zadzwonił telefon. Kuzyn zginął w wypadku.

Siedemnaście lat temu Myles zlekceważył groźbę Nicky’ego Sepettiego. Mafia

przestrzegała własnego kodeksu. Przestępcy nigdy nie atakowali żon ani dzieci wrogów. A potem Renata zginęła. O trzeciej po południu, gdy przechodziła przez Central Park, żeby odebrać Neeve z Akademii Świętego Serca, została zamordowana. W ten zimny, wietrzny listopadowy dzień w parku było pusto. Żaden świadek nie widział, kto zwabił lub

sprowadził przemocą denatkę ze ścieżki do zakątka na tyłach muzeum.

Myles był w swoim gabinecie, kiedy przełożona ze Świętego Serca zadzwoniła o

czwartej trzydziści. Pani Kearny nie przyszła po Neeve. Dzwonili, ale nie ma jej w domu.

Czy coś się stało? Kiedy odłożył słuchawkę, wiedział z mdlącą pewnością, że coś

straszego spotkało Renatę. Dziesięć minut później policja przeszukiwała Central Park.

Myles jechał samochodem do śródmieścia, kiedy nadeszła wiadomość, że znaleziono jej ciało.

Kiedy dojechał do parku, kordon policjantów bronił dostępu ciekawskim i łowcom

sensacji. Reporterzy już się zjawili. Pamiętał, jak oślepiły go flesze, kiedy szedł w stronę miejsca, gdzie leżały zwłoki. Herb Schwartz, jego zastępca, już tam był. „Nie patrz na nią teraz, Myles”, błagał.

Odrzucił ramię Herba, ukląkł na zamarznętej ziemi i ściągnął koc, którym ją okryli.

Wyglądała jak pogrążona we śnie. Jej twarz, wciąż śliczna w tym ostatecznym spoczynku, nie nosiła śladu przerażenia, jakie widywał na tyłu obliczach ofiar. Oczy miała zamknięte.

Czy zamknęła je w ostatniej chwili, czy Herb je zamknął? Najpierw myślał, że włożyła czerwony szalik. Nieprawda. Myles zahartował się, oglądając ofiary, ale w tamtej chwili opuścił go profesjonalizm. Nie chciał zobaczyć, że ktoś rozciął jej wzdłuż żyłę szyjną, a potem poderżnął gardło. Kołnierz białej narciarskiej kurtki zrobił się szkarłatny od krwi.

Kaptur zsunął się do tyłu i sploty kruczoczarnych włosów otaczały jej twarz. Czerwone narciarskie spodnie, czerwień krwi, biała kurtka i stwardniały śnieg pod ciałem — nawet po śmierci wyglądała jak modelka na fotografii.

Chciał ją przytulić, tchnąć w nią życie, ale wiedział, że nie wolno ruszać ciała.

Zadowolił się całowaniem jej policzków, oczu i ust. Musnął jej szyję, cofnął zakrwawioną dłoń i pomyślał: Spotykamy się we krwi, rozstajemy się we krwi.

W dniu bombardowania Pearl Harbour był dwudziestojednoletnim nieopierzonym

policjantem, a następnego ranka zaciągnął się do wojska. Trzy lata później służył w Piątej Armii Marka Clarka walczącej we Włoszech. Zdobywali miasto za miastem. W Pontici

wszedł do kościoła, który wydawał się opuszczony. W następnej chwili usłyszał wybuch i krew trysnęła mu z czoła. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył niemieckiego żołnierza przykucniętego za ołtarzem w zakrystii. Myles zdążył go zastrzelić, zanim zemdlął.

Ocknął się czując, że ktoś szturcha go małą rączką. „Chodź ze mną”, szepnął mu do ucha jakiś głos ciężko akcentowanym angielskim. Ledwie mógł myśleć pomiędzy falami bólu pulsującego w głowie. Skorupa zaschniętej krwi zakleiła mu oczy. Na zewnątrz było ciemno jak w grobie. Odgłosy strzelaniny dochodziły z daleka, z lewej strony. Mała —

jakoś zorientował się, że to dziewczynka — poprowadziła go pustymi alejkami. Pamiętał, że zastanawiał się, dokąd idą i dlaczego jest sama. Słyszał szuranie swoich wojskowych butów na kamiennych stopniach, skrzywienie zardzewiałej bramy, a potem szybki,

natarczywy szept i wyjaśnienia dziecka. Teraz dziewczynka mówiła po włosku. Myles nie rozumiał ani słowa. Potem poczuł, że ktoś go podtrzymuje i kładzie na łóżku. Tracił

przytomność i odzyskiwał, świadomy łagodnych rąk, które obmywały i bandażowały mu głowę. Pierwsze wyraźne wspomnienie miało związek z wojskowym lekarzem, który go

badał. „Nawet nie wiesz, jakie miałeś szczęście — usłyszał. — Wczoraj odepchnęli nas do tyłu. Niedobrze dla tych, którzy nie dali rady się wyrwać”.

Po wojnie skorzystał ze specjalnych ulg dla weteranów i poszedł na studia. Kampus Fordham Rose Hill znajdował się zaledwie parę kilometrów od Bronksu, gdzie Myles

dorastał. Jego ojciec, kapitan policji, traktował to sceptycznie.

— I tak ledwie cię przepchnęliśmy przez szkole średni;) zauważył. Nie żeby ci

brakowało rozumu, ale kijem nie można cię zapędzić do książki.

Cztery lata później, zrobiwszy dyplom z wyróżnieniem, Myles poszedł do szkoły

prawniczej. Ojciec był zachwycony, ale ostrzegał:

— Ciągłe masz w sobie gliniarza. Nie zapominaj o tym gliniarzu, kiedy zdobędziesz swoje wymyślne stopnie naukowe.

Szkoła prawa. Biuro prokuratora okręgowego. Prywatna praktyka. To wtedy

uświadomił sobie, że dobry adwokat zbyt łatwo może wybronić winowajcę od kary. Nie mógł się z tym pogodzić i skwapliwie skorzystał z okazji, żeby zostać prokuratorem.

To było w 1958 roku. Miał trzydzieści siedem lat. W tym czasie spotykał się z

wieloma dziewczynami i patrzył, jak jedna po drugiej wychodzą za mąż. Ale za każdym razem, kiedy sam był bliski decyzji, jakiś głos szeptał mu do ucha: „To nie wszystko.

Zaczekaj”.

Pomysł podróży do Włoch rodził się stopniowo. „Chociaż tam do ciebie strzelali, to jeszcze nie znaczy, że zwiedziłeś Europę”, powiedziała jego matka, kiedy przy obiedzie w domu nieśmiało wspomniał o swoich planach. A potem zapytała: „Czemu nie odszukasz tej rodziny, która cię ukryła w Pontici? Wątpię, czy wtedy mogłeś im podziękować w takim stanie”.

Do końca życia błogosławił matkę za tę radę. Ponieważ kiedy zapukał do ich drzwi, otworzyła mu Renata. Renata, która miała teraz dwadzieścia trzy lata, nie dziesięć. Renata, wysoka i smukła, którą przewyższał ledwie o pół głowy. Renata, która w tak niewiarygodny sposób powiedziała: „Wiem, kim jesteś. Przyprowadziłam cię do domu tamtej nocy”. „Jak możesz mnie pamiętać?” — zapytał zdziwiony. „Ojciec zrobił mi zdjęcie z tobą, zanim cię zabrali. Zawsze trzymam je na toaletce”.

Pobrali się trzy tygodnie później. Nastąpiło jedenaście najszczęśliwszych lat jego życia.

Myles podszedł do okna i wyjrzał. Według kalendarza wiosna przysła przed

tygodniem, ale nikt się nie pofatygował, by zawiadomić o tym Matkę Naturę. Myles

próbował zapomnieć, jak bardzo Renata lubiła spacerować po śniegu.

Oplukał filiżankę po kawie oraz talerz po sałatce i wstawił je do zmywarki. Gdyby wszystkie tuńczyki na świecie nagle zniknęły, co jedliby na lunch ludzie na diecie? Może wróciliby do dobrych tłustych hamburgerów? Na samą myśl pociekła mu ślinka. Ale to mu przypomniało, że miał rozmrozić sos do makaronu.

O szóstej zaczął przygotowywać obiad. Wyjął składniki na sałatkę z lodówki i

wprawnie porozrywał sałatę, posiekał szalotkę, pokroił ostrą zieloną paprykę na wąziutkie paseczki. Nieświadomie uśmiechnął się do siebie wspominając, jak w okresie dorastania uważał, że sałatka składa się z sałaty i pomidorów z kleksami majonezu. Jego matka była cudowną kobietą, ale nie miała powołania na kucharkę. Poza tym piekła mięso długo, żeby

„zabić wszystkie zarazki”, toteż stek czy wieprzowina były suche i twarde, łatwiejsze do złamania ciosem karate niż do pokrojenia.

To Renata wprowadziła go w świat subtelnych zapachów, pysznego makaronu,

delikatnego łososia, pikantnych sałatek lekko przyprawianych czosnkiem. Neeve

odziedziczyła talenty kulinarne po matce, lecz Myles przyznawał się po cichu, że z czasem i on nauczył się robić cholernie dobre sałatki.

Dziesięć po siódmej zaczął naprawdę martwić się o Neeve. Pewnie trudno dziś złapać taksówkę. Dobry Boże, nie pozwól jej iść przez park w taki wieczór. Zadzwoił do sklepu, ale nikt nie odbierał. Zanim weszła, dźwigając naręcza ubrań i wlokąc za sobą pudła, gotów był dzwonić na komisariat i prosić, żeby policja poszukała jej w parku. Ugryzł się w język, żeby tego nie powiedzieć.

W zamian zrobił zdziwioną minę, kiedy odbierał od niej pakunki.

— Znowu święta? — zapytał. — Prezenty od Neeve dla Neeve? Wydałaś dzisiejszy utarg na siebie?

— Nie wymądrzaj się, Myles — fuknęła. — Powiem ci tyle, Ethel Lambston może i jest dobrą klientką, ale mam jej powyżej uszu.

Upuściła pudła na kanapę i pokrótce zrelacjonowała historię swoich wysiłków, żeby dostarczyć stroje klientce. Myles miał zaniepokojoną minę.

— Ethel Lambston! Ta nadęta baba, którą zaprosiłaś na Gwiazdkę?

— Właśnie.

Pod wpływem impulsu Neeve zaprosiła pisarkę na doroczne gwiazdkowe przyjęcie, jakie ona i Myles wydawali w swoim mieszkaniu. Przyparłszy biskupa Stantoną do ściany i wyjaśnwszy mu, dlaczego kościół katolicki utracił znaczenie w dwudziestym wieku, Ethel odkryła, że Myles jest wdowcem, i przykleiła się do niego na cały wieczór.

— Nie wpuszczaj tej kobiety za próg — ostrzegł Myles — nawet gdybyś musiała obozować pod jej drzwiami przez następne dwa lata.

Denny'emu Adlerowi wcale nie podobało się harowanie za minimalną pensję plus

napiwki w delikatesach na rogu Wschodniej Osiemdziesiątej Trzeciej i Lexington. Ale Denny miał problem. Był zwolniony warunkowo. Jego kurator, Mikę Toohey, po świńsku wykorzystywał władzę, daną mu przez stan Nowy Jork. Denny wiedział, że gdyby nie

znalazł sobie posady, Toohey wypytywałby go o każde wydane dziesięć centów, więc pracował i nienawidził tego zajęcia z całego serca.

Wynajmował obskurny pokój w zapchlonym hoteliku na rogu Pierwszej Alei i Sto

Piątej. Oczywiście kurator nie wiedział, że większość czasu wolnego od pracy Denny spędzał, żebrząc na ulicach. Co kilka dni zmieniał miejsce i przebranie. Czasami ubierał się jak włóczęga, nakładał brudne szmaty i dziurawe buty, wcierał kurz w twarz i włosy.

Opierał się o ścianę budynku i wyciągał podarty kawałek kartonu z napisem: „Pomóżcie, jestem głodny”.

Frajerzy nabierali się jak złoto.

Kiedy indziej nakładał wyblakłe ubranie khaki i siwą perukę. Miał ciemne okulary, laskę i napis przypięty do płaszcza: „Bezdomny weteran”. Mischka u jego stóp szybko wypełniała się ćwiartkami i dziesiątkami.

W ten sposób Denny zgarniał sporo drobnych. Brakowało mu dreszczyku przy

planowaniu prawdziwej roboty, ale przynajmniej miał jakieś zajęcie. Tylko raz czy dwa, kiedy natrafił na pijaka z kilkoma dolarami, folgował swoim morderczym skłonnościom.

Ale gliny nie przejmowały się pobitym czy zadżgany pijakiem albo włóczęgą, więc

Denny praktycznie nic nie ryzykował.

Zawieszenie kończyło mu się za trzy miesiące. Potem mógł zniknąć z horyzontu i

zaplanować porządny skok. Nawet kurator trochę się odprężył. W sobotę rano Toohey zadzwonił do niego do delikatesów. Denny dokładnie sobie wyobrażał chuderławego

Mike'a zgarbionego nad biurkiem w niechlujnym gabinecie.

— Rozmawiałem z twoim szefem, Denny. Mówi, że należysz do jego

najsolidniejszych pracowników.

— Dziękuję panu.

Gdyby Denny stał przed biurkiem Tooheya, wykręcałby palce w geście nerwowej wdzięczności, doprowadziłby do zwilgotnienia swoje blade orzechowe oczy i rozciągnąłby wąskie wargi w służalczym uśmiechu. Teraz tylko bezgłośnie rzucił plugawe przekleństwo do słuchawki.

— Słuchaj, możesz nie zgłaszać się do mnie w poniedziałek. Mam napięty program i wiem, że na tobie mogę polegać. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

— Tak, proszę pana.

Denny odłożył słuchawkę. Karykatura uśmiechu wyłobiła zmarszczki pod jego wystającymi kośćmi policzkowymi. Połowę swoich trzydziestu siedmiu lat spędził pod policyjnym nadzorem, zaczynając od pierwszego włamania w wieku dwunastu lat. Szarawa więzienna bladość na stałe wżarła się w jego skórę.

Rozejrzał się po delikatesach, popatrzył na obrzydliwie cukierkowe stoliki i ażurowe krzesła, biały laminowany kontuar, wywieszki zachwalające specjalność zakładu, dobrze ubranych stałych klientów zaczytanych w gazetach nad grzankami lub płatkami

kukurydzianymi. Marzenia, co chciałby zrobić tym ludziom i Mike'owi Tooheyowi, przerwał mu okrzyk kierownika:

— Hej, Adler, rusz się! Te zamówienia same się nie dostarczą!

— Tak, proszę pana!

Odliczanie od „tak, proszę pana!”, pomyślał Denny, chwytając kurtkę i karton z papierowymi torebkami.

Kiedy wrócił do delikatesów, kierownik właśnie odebrał telefon. Popatrzył na Adlera ze zwykłą kwaśną miną.

— Mówiłem ci, żadnych prywatnych rozmów w godzinach pracy. Trzasnął słuchawką o dłoń Denny'ego.

Nikt nie dzwonił tutaj do niego oprócz Mike'a Tooheya. Denny warknął swoje imię i usłyszał stłumione „Cześć, Denny”. Natychmiast rozpoznał ten głos. Duży Charley Santino.

Dziesięć lat wcześniej Denny dzielił celę w więzieniu Attica z Dużym Charleyem i od czasu do czasu robił dla niego różne rzeczy. Wiedział, że kumpel ma ważne powiązania z mafią.

Zignorował ponaglające spojrzenie kierownika. Przy kontuarze siedziało teraz

niewielu klientów, stoliki też były puste. Denny czuł rozkoszną pewność, że Charley zaproponuje mu coś interesującego. Odruchowo odwrócił się do ściany i osłonił dłońmi słuchawkę.

— Tak?

— Jutro o jedenastej. Bryant Park za biblioteką. Wypatruj czarnego chevroleta rocznik osiemdziesiąt cztery.

Denny nawet nie zauważył, że uśmiecha się szeroko, kiedy połączenie zostało przerwane.

Przez cały śnieżny weekend Seamus Lambston siedział sam w mieszkaniu przy

Siedemdziesiątej Pierwszej i West End Avenue. W piątek po południu zadzwonił do

swojego barmana: „Jestem chory. Niech Matty mnie zastąpi do poniedziałku”. Piątkowej nocy spał dobrze, jak ktoś emocjonalnie wyczerpany, ale w sobotę obudził się w

krańcowym przerażeniu.

Ruth pojechała do Bostonu w czwartek i została do niedzieli. Jeannie, najmłodsza

córka, była na pierwszym roku na Uniwersytecie Massachusetts. Czek, który Seamus

wysłał na opłacenie wiosennego semestru, nie miał pokrycia. Ruth wyprosiła nadzwyczajną pożyczkę z biura i szybko uzupełniła brak. Po płacziwym telefonie Jeannie pokłócili się tak, że chyba słyszano ich na ulicy.

— Do cholery, Ruth, robię, co mogę! — krzyczał. — Interes marnie idzie. Z trzema

dziewczynami na studiach czy to moja wina, że gonimy resztkami? Myślisz, że mam

fabrykę pieniędzy?

Stali naprzeciwko siebie, przestraszeni, wyczerpani i załamani. Zawstydził go wyraz niesmaku w oczach żony. Wiedział, że nieładnie się zestarzał. Sześćdziesiąt dwa lata.

Utrzymywał w formie swoje niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu dzięki przysiadom i sztangom. Teraz jednak wyhodował brzuszek, którego nie mógł zrzucić, dawniej gęste piaskowe włosy przerzedziły się i przybrały brudnożółty odcień, okulary do czytania zaś podkreślały pulchność twarzy. Czasami spoglądał w lustro, a potem na zdjęcie swoje i Ruth w dniu ślubu. Oboje elegancko wystrojeni, oboje przed czterdziestką, dla obojga drugie małżeństwo, szczęśliwi i pełni zapału. Bar prosperował i chociaż Seamus obciążył go hipotecznie aż po dach, był pewien, że odkuje się za kilka lat. Cicha, schludna Ruth przypominała mu anioła po latach mordęgi z Ethel. „Pokój wart jest

każdego wydanego centa”, powiedział adwokatowi, który go przekonywał, żeby nie zgadzał się na alimenty do końca życia.

Tak się cieszył, kiedy przyszła na świat Marcy. Dwa lata później niespodziewanie

urodziła się Linda. Szokiem zaś było, kiedy zjawiała się Jeannie, zanim oboje ukończyli czterdzieści pięć lat.

Smukłe ciało Ruth zrobiło się masywne. Kiedy czynsz za bar podwoił się i po troił, a stali klienci odeszli, jej pogodna twarz przybrała wyraz ciągłej troski. Ruth chciała dać córkom tyle rzeczy, na które nie mogli sobie pozwolić. Często warczał na nią: „Dlaczego nie dasz im szczęśliwego domu zamiast kupy ciuchów?”.

Ostatnie lata z tymi wszystkimi wydatkami na studia były mordęgą. Po prostu nie

wystarczało pieniędzy. A tysiąc dolarów miesięcznie dla Ethel, dopóki nie wyjdzie za mąż albo nie umrze, stało się kością niezgody. Ruth ciągle wierciła mu dziurę w brzuchu. „Idź

do sądu, na litość boską — nalegała. — Powiedz sędziemu, że nie stać cię na wykształcenie dzieci, a ta pijawka zbija majątek. Ona nie potrzebuje twoich pieniędzy. Ma więcej, niż może wydać”.

Ostatni wybuch w zeszłym tygodniu był najgorszy. Ruth przeczytała w „Post”, że

Ethel właśnie podpisała umowę na książkę za pół miliona dolarów zaliczki. Cytowano wypowiedź pisarki, że nowa książka będzie „laską dynamitu wrzuconą do świata mody”.

Dla Ruth to była ostatnia kropla. To i czek bez pokrycia.

— Idź pogadać z tą, tą... — Nigdy nie przeklinała, ale niewypowiedziane słowo

zabrzmiało wyraźnie jak krzyk. — Powiedz jej, że pójde do dziennikarzy i opowiem, jak cię wyzyskuje. Dwanaście tysięcy dolarów rocznie przez ponad dwadzieścia lat! — Z każdą sylabą jej głos nabierał ostrości. — Chcę rzucić pracę. Mam sześćdziesiąt dwa lata. Potem będą wesela i następne wydatki. Zarzniemy się na śmierć. Powiedz jej, że sama stanie się sensacją! Myślisz, że te wytworne magazyny zrobią wyjątek dla jednej ze swoich

feministycznych autorek, która szantażuje byłego męża?

— To nie szantaż, tylko alimenty — usiłował tłumaczyć jej rozsądnie. Ale dobrze,

porozmawiam z nią.

Żona miała wrócić w niedzielę późnym popołudniem. W niedzielę o dwunastej

Seamus otrząsnął się z letargu i zaczął sprzątać mieszkanie. Dwa lata temu zrezygnowali ze sprzątaczkii dochodzącej raz w tygodniu. Teraz dzielili między siebie obowiązki, przy stałym akompaniamencie narzekań Ruth. „Właśnie tego potrzebuję po tym ścisiku w metrze na Siódmej Alei,

żeby spędzać weekend na odkurzaniu”. W zeszłym tygodniu nagle

wybuchnęła płaczem: „Jestem taka piekielnie zmęczona”.

O czwartej mieszkanie wyglądało przyzwoicie, choć wymagało odmalowania, a

linoleum w kuchni się wystrzępiło. Budynek przeszedł na własność stowarzyszenia

lokatorów, lecz Lambstonów nie stać było na wykupienie apartamentu. Dwadzieścia lat i nie mieli nic do pokazania oprócz kwitów za czynsz.

Seamus wystawił ser i wino na stolik koktajlowy w salonie. Meble były wytarte i

odrapane, ale w miękkim świetle późnego popołudnia nie wyglądały najgorzej. Już za trzy lata Jeannie skończy szkołę. Marcy w tym roku była seniorką, Linda juniorką. Poganiaj życie, żeby szybciej odeszło, pomyślał.

Im bardziej zbliżała się pora przyjazdu Ruth, tym mocniej ręce mu się trzęsły. Czy żona zauważy w nim jakąś zmianę?

Wróciła piętnaście po piątej.

— Okropne korki — oznajmiła zrzędliwie.

— Dałaś im potwierdzony czek i wyjaśniłaś z tamtym? — zapytał, ignorując jej

napastliwy ton.

— Oczywiście. I powiem ci, że kwesor był zaszokowany, kiedy mu opowiedziałam,

jak Ethel Lambston ściąga z ciebie alimenty przez tyle lat. Pół roku temu wystąpiła u nich na panelu i pyskowała o równe płace dla kobiet.

Ruth przyjęła od niego kieliszek wina i pociągnęła długi łyk. Ze wstrząsem odkrył, że gdzieś po drodze przejęła od Ethel zwyczaj oblizywania ust po zakończeniu gniewnej wypowiedzi. Czy to prawda, że żenimy się zawsze z taką samą kobietą? Na tę myśl miał

ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem.

— No, powiedz wreszcie, rozmawiałeś z nią? — warknęła Ruth. Seamusa ogarnęło

wielkie zmęczenie. Wspomniał ową finalną scenę.

— Tak, rozmawiałem z nią. — I...

Starannie dobierał słowa.

— Miałaś rację. Nie chce, żeby się rozeszło, że ściągała ode mnie alimenty przez te wszystkie lata.

Zgodziła się zdjąć mnie z haka.

Ruth odstawiła kieliszek ze zmienioną twarzą.

— Nie wierzę. Jak ją przekonałeś?

Szyderczy, urągliwy śmiech Ethel w odpowiedzi na jego błagania i pogróżki.

Wzbierająca w nim fala prymitywnej wściekłości, przerażenie w jej oczach... Jej ostatnia groźba... O Boże...

— Ethel nie będzie już za twoje pieniądze kupować kosztownych fatalaszków u Neeve Kearny i objadać się smakołykami.

Triumfalny śmiech żony ranił uszy, słowa wbijały się w mózg. Seamus odstawił kieliszek.

— Dlaczego tak powiedziałaś? — zapytał cicho żonę.

W sobotni rano śnieżyca ustała i ulice zrobiły się przejezdne. Neeve zawiozła wszystkie ubrania Ethel z powrotem do sklepu. Betty pośpieszyła jej na pomoc.

— Nie mów, że nic jej się nie podoba?

— Skąd mam wiedzieć? — burknęła Neeve. — Nie było jej w domu. Przysięgam na Boga, Betty, kiedy pomyślę, jak nas popędzała, mam ochotę udusić ją tymi szmatami.

To był pracowity dzień. Zamieścili w „Timesie” niewielką reklamę wzorzystych

sukienek i płaszczy przeciwdeszczowych, która wywołała entuzjastyczną reakcję. Neeve z błyszczącymi oczami patrzyła, jak sprzedawczynie wypisują gigantyczne rachunki. Jeszcze raz w duchu podziękowała Salowi za to, że postawił na nią przed sześciu laty.

O drugiej Eugenia, czarna była modelka, obecnie prawa ręka Neeve, przypomniała jej, że nie zrobiła sobie przerwy na lunch.

— Mam trochę jogurtu w lodówce — zaproponowała.

Neeve właśnie pomagała jednej ze stałych klientek wybrać perłową suknię za cztery tysiące dolarów na ślub córki. Uśmiechnęła się przelotnie.

— Wiesz, że nie znoszę jogurtu. Poślij po kanapkę z sałatką z tuńczyka i dietetyczną colę, okay?

Dziesięć minut później, kiedy do gabinetu dostarczono zamówienie, stwierdziła, że umiera z głodu.

— Najlepsza sałatka z tuńczyka w Nowym Jorku, Denny — oświadczyła.

— Skoro pani tak mówi, panno Kearny. — Jego blada twarz wykrzywiła się w przymilnym uśmiechu.

Pośpiesznie przetykając lunch, Neeve wybrała numer Ethel. Znowu nikt nie odpowiadał. Przez całe popołudnie recepcjonistka próbowała ją złapać. Pod koniec dnia Neeve powiedziała do Betty:

— Jeszcze raz zabiorę te rzeczy do domu. Nie zamierzam tracić niedzieli i przyjeżdżać tutaj, jeśli Ethel nagle zdecyduje, że musi złapać samolot i potrzebuje wszystkiego za dziesięć minut.

— Jak ją znam, każe samolotowi specjalnie podjechać do bramki, jeśli się spóźni — prychnęła krawcowa.

Obie wybuchnęły śmiechem, ale potem Betty dodała cicho:

— Pamiętasz te swoje zwariowane przeczucia, Neeve? Przysięgam, że się udzielają.

Ethel jest istnym utrapieniem, ale jeszcze nigdy nie zrobiła takiego numeru.

W sobotę wieczorem Neeve i Myles wybrali się do opery, żeby posłuchać Pavarottiego.

— Powinnaś chodzić na randki — gderał Myles, kiedy po przedstawieniu zamawiali kolację u kelnera w Ginger Man.

Córka spojrzała na niego spod oka.

— Słuchaj, Myles, przecież często gdzieś wychodzę. Wiesz o tym. Kiedy pojawi się ktoś ważny, będę wiedziała, tak jak ty i mama wiedzieliście. A teraz zamów mi krewetki scampi.

W niedzielę Myles zwykle wybierał się na wczesną mszę. Neeve lubiła spać do późna i chodziła na pontyfikalną mszę do katedry. Zdziwiła się, kiedy wstała i zobaczyła w kuchni ojca w szlafroku.

— Straciłeś wiarę? — zapytała.

— Nie, pomyślałem, że dzisiaj pójde z tobą — odparł, siląc się na zdawkowy ton.

— Czy to ma coś wspólnego z wypuszczeniem na wolność Nicky'ego Sepettiego? —

Neeve westchnęła. — Oszczędź mi odpowiedzi.

Po kościele postanowili zjeść brunch* [*Połączenie śniadania z lunchem (przyp.

tłum.)] w Cafe des Artistes, a potem obejrżeli film w pobliskim kinie. Kiedy wrócili do domu, Neeve znowu wybrała numer Ethel Lambston, odczekała sześć sygnałów, wzruszyła ramionami i dogoniła Mylesa w cotygodniowych zawodach, kto pierwszy rozwiąże

krzyżówkę z „Timesa”.

— Piękny, nieskomplikowany dzień — skomentowała, pochylając się nad fotelem

ojca, żeby cmoknąć go w czubek głowy po wiadomościach o jedenastej. Spostrzegła wyraz jego twarzy. — Nie mów tego — uprzedziła.

Myles zacisnął wargi. Wiedział, że miała rację. Zamierzał właśnie powiedzieć: „Nawet jeśli jutro będzie ładnie, wolałbym, żebyś nie biegała sama”.

Uporczywe dzwonienie telefonu w mieszkaniu Ethel Lambston nie przeszło

niezauważone.

Douglas Brown, dwudziestoosmioletni bratanek pisarki, wprowadził się do niej w

piątek po południu. Wahał się zaryzykować, ale przecież mógł udowodnić, że tego dnia wymówiono mu nielegalnie podnajmowany lokal. „Musiałem gdzieś się zatrzymać, dopóki nie znajdę nowego mieszkania”, tak zamierzał się tłumaczyć.

Wykalkulował sobie, że lepiej nie odbierać telefonów. Częste dzwonki irytowały go, ale nie chciał ujawniać swej obecności. Ethel nie życzyła sobie, żeby odbierał telefony w jej mieszkaniu. „Nie twój interes, kto do mnie dzwoni”, mówiła. Innym mogła powiedzieć to samo.

Wiedział, że mądrze zrobił, nie otwierając drzwi niespodziewanemu gościowi w piątek wieczorem. Notatka wsunięta pod drzwi dotyczyła strojów zamówionych przez ciotkę.

Doug uśmiechnął się nieprzyjemnie. Ethel na pewno wyznaczyła jemu to zadanie.

W niedzielę rano Denny Adler czekał niecierpliwie na ostry, porywisty wiatr.

Dokładnie o jedenastej zobaczył czarnego chevroleta i pośpiesznie wyszedł długim krokiem spod skąpej osłony Bryant Park na ulicę. Samochód zahamował. Denny otworzył drzwi po prawej stronie i wśliznął się do środka. Pojazd ruszył, zanim jeszcze pasażer zatrzasnął

drzwi.

Od czasów Attiki Duży Charley bardzo posiwiał i przybrał na wadze. Kierownica

tkwiła pomiędzy fałdami na jego brzuchu. Denny rzucił „cześć”, nie oczekując odpowiedzi.

Duży Charley kiwnął głową.

Samochód szybko przejechał przez Henry Hudson Parkway i most Jerzego

Waszyngtona. Charley skręcił w Palisades Interstate Parkway. Denny zauważył, że chociaż w Nowym Jorku resztki śniegu zmieniły się w brudną breję, na obrzeżach autostrady śnieg wciąż był biały. New Jersey, stan ogród, pomyślał ironicznie.

Za trzecim zjazdem znajdował się punkt widokowy dla ludzi, którzy zdaniem

Denny'ego nie mieli nic lepszego do roboty, tylko gapić się na pejzaż Nowego Jorku za rzeką. Denny nie zdziwił się, kiedy kumpel wjechał na pusty parking. W tym samym

miejscu omawiali inne zadania.

Charley wyłączył stacyjkę i sięgnął ponad oparciem do tyłu, stękając z wysiłku.

Wyciągnął papierową torbę z kilkoma puszkami piwa i upuścił na podłogę z przodu.

— Twoje ulubione. Denny'emu zrobiło się przyjemnie.

— Miło, że pamiętałeś, Charley. — Otworzył puszkę coorsa. Tamten pociągnął długi

łyk z własnej puszki, zanim odpowiedział:

— Ja niczego nie zapominam. — Wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni kurtki. —

Dziesięć tysięcy — poinformował Denny'ego. — Drugie tyle po robocie.

Adler wziął wypchaną kopertę, czerpiąc z jej dotyku zmysłową przyjemność.

— Kto?

— Dostarczasz jej lunch kilka razy na tydzień. Mieszka w Schwab House, tym

wielkim domu przy Siedemdziesiątej Czwartej między West End a Riverside Drive. Zwykle chodzi piechotą do pracy kilka razy na tydzień. Skraca sobie drogę przez Central Park.

Wykończ ją i zabierz torebkę. Opróżnij portfel i wyrzuć resztę, żeby wyglądało, że jakiś ćpun to załatwił. Jeśli nie dorwiesz jej w parku, spróbuj w dzielnicy odzieżowej. Przychodzi tam w każdy poniedziałek po południu. Ulice są zatłoczone, wszyscy się śpieszą, a ciężarówki parkują w podwójnych rzędach. Wepchnij ją pod ciężarówkę. Nie śpiesz się; to ma wyglądać na wypadek albo rabunek. Jak będziesz ją śledził, nałóż swoje przebranie żebraka.

Duży Charley mówił grubym, gardłowym głosem, jakby zwały tłuszczu na szyi

dławiły mu struny głosowe. Jak na niego była to długa przemowa. Pociągnął następny potężny łyk

piwa z puszki.

Adler czuł się coraz bardziej nieswojo.

— Kto?

— Neeve Kearny.

Denny odepchnął kopertę tak gwałtownie, jakby zawierała tykającą bombę.

— Córka komisarza policji? Czyś ty zwariował?

— Córka byłego komisarza policji. Denny czuł krople potu na czole.

— Kearny sprawował urząd przez szesnaście lat. Wszyscy gliniarze w mieście

zaryzykują dla niego życie. Kiedy zginęła jego żona, wymaglowali każdego, kto kiedyś ukradł jabłko ze straganu. Nie ma mowy.

W wyrazie twarzy Dużego Charleya zaszła niemal niedostrzegalna zmiana, ale jego

głos nadal brzmiał monotannie i gardłowo.

— Denny, mówiłem ci, że niczego nie zapominam. Pamiętasz te wieczory w Attice,

kiedy się przechwalałeś, ile skoków zrobiłeś i czemu cię nie złapali? Wystarczy, że wykonam anonimowy telefon do glin i nigdy więcej nie dostarczysz żadnej marnej kanapki.

Nie zmuszaj mnie do walki z przestępczością, koleś.

Adler zastanowił się, przypomniał sobie wszystko i przeklął własny długi język.

Znowu pomacał kopertę i pomyślał o Neeve Kearny. Dostarczał zamówienia do jej sklepu już prawie od roku. Dawniej recepcjonistka kazała mu zostawiać torby na dole, ale teraz szedł prosto do prywatnego gabinetu. Nawet jeśli Kearny rozmawiała przez telefon, zawsze uśmiechała się i machała do niego, prawdziwy uśmiech, a nie ten snobistyczny grymas, jakim obdarzała go większość klientów. Zawsze mu mówiła, jak wspaniale wszystko

smakowało.

No i była fajną laską.

Wzruszeniem ramion odpędził sentymenty. Miał robotę do wykonania. Charley nie

doniesie na niego glinom, obaj o tym wiedzieli. Denny był zbyt niebezpieczny, odkąd wiedział o kontrakcie. Odmowa oznaczała, że nigdy nie wróciłby żywy do miasta.

Schował pieniądze do kieszeni.

— To już lepiej — uznał kumpel. — Jakie masz godziny pracy w delikatesach?

— Od dziewiątej do szóstej. Poniedziałki wolne.

— Ona wychodzi do pracy między siódmą trzydzieści a ósmą. Pokręć się pod domem.

Sklep zamykają o szóstej trzydzieści. Pamiętaj, nie ma pośpiechu. To nie może wyglądać na celowy zamach.

Duży Charley włączył silnik i ruszył z powrotem do Nowego Jorku. Ponownie zapadł

w zwykłe milczenie, przerywane tylko sapaniem i stękaniem. Denny'ego pożerała

ciekawość. Kiedy skręcili z West Side Highway i wjechali w Siedemdziesiątą Piątą, zapytał:

— Charley, nie wiesz, kto zlecił tę robotę? Ona nie wygląda na taką, co wchodzi

komuś w drogę. Sepetti wyszedł z pierdła. Chyba ma dobrą pamięć.

Zobaczył gniewny błysk w oczach tamtego. Gardłowy głos brzmiał teraz wyraźnie,

słowa padały z impetem kamiennej lawiny.

— Robisz się nieostrożny, koleś. Nie wiem, kto ją chce sprzątnąć. Nie wie też facet, który skontaktował się ze mną. I nie wie facet, który z nim się skontaktował. Tak to działa, nie zadajemy żadnych pytań. Jesteś małym kanciarzem z małym mózdzkiem, Denny, więc nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy. Teraz wynocha.

Samochód zahamował gwałtownie na rogu Ósmej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy.

Denny niepewnie otworzył drzwi.

— Charley, przepraszam — bąknął. — Ja tylko... Wiatr dmuchnął do wnętrza

samochoodu.

— Po prostu zamknij dziób i nie schrzań roboty.

Po chwili Adler patrzył, jak tył pojazdu znika na Pięćdziesiątej Siódmej. Ruszył w kierunku Columbus Circle. Zatrzymał się przy ulicznym straganie na colę i hot doga.

Skończywszy jeść, otarł usta wierzchem dłoni. Nerwy uspokajały się stopniowo. Palce pogładziły wypchaną kopertę w wewnętrznej kieszeni kurtki.

— No to chyba zacznę zarabiać na życie — mruknął do siebie Denny i ruszył

Broadwayem w stronę Siedemdziesiątej Czwartej i West End Avenue.

Przy Schwab House spacerkiem obszedł cały blok. Zauważył drzwi do budynku od

Riverside Drive. Nie ma szans, żeby tędy wyszła. Znacznie wygodniejsze było wejście od West End Avenue.

Zadowolony, przeszedł na drugą stronę ulicy i oparł się o mur dokładnie naprzeciwko Schwab House. Świetny punkt obserwacyjny, pomyślał. Obok niego otworzyły się drzwi i wyszła grupka lokatorów. Denny nie chciał zwracać na siebie uwagi, więc powoli ruszył

przed siebie. Doszedł do wniosku, że przebrany za pijaka może wtopić się w tłum podczas śledzenia Neeve Kearny.

O drugiej trzydzieści, kiedy szedł przez miasto w kierunku East Side, minął kolejkę ludzi czekających przed kasą kina. Nagle szeroko otworzył wąskie oczy. W połowie kolejki stała Neeve Kearny obok siwowłosego mężczyzny, którego twarz Denny rozpoznał. Jej ojciec. Denny szybko ich minął z głową wciśniętą w ramiona. I nawet jej nie szukałem, pomyślał. To będzie najłatwiejsza robota w całej mojej karierze.

W poniedziałek rano Neeve stała w holu, znowu dźwigając naręcze strojów Ethel, kiedy z windy wyskoczyła zdyszana Tse-tse, dwudziestotrzyletnia aktorka. Kędzierzawe blond włosy miała uczesane w stylu wczesnej Phyllis Diller, oczy podkreśliła makijażem w płomiennych odcieniach purpury, ładnym małym ustom nadała łukowaty kształt jak u laleczki Kewpie. Tse-tse, urodzona jako Mary Margaret McBride — „zgadnij po kim?”, jak wyjaśniła Neeve — zawsze występowała w sztukach off-off-Broadway, z których większość utrzymywała się przez niecały tydzień.

Neeve kilka razy poszła ją zobaczyć i zdziwiła się, jak dobrą aktorką jest Tse-tse.

Dziewczyna potrafiła poruszyć ramieniem, opuścić wargę, zmienić pozycję i dosłownie stawała się kimś innym. Miała świetne ucho do wymowy i umiała różnicować wysokość głosu od cienkiego pisku Butterfly McQueen do gardłowego pomruku Lauren Bacall.

Dzieliła apartament w Schwab House z inną ambitną aktorką i dorabiała sobie do nędznej pensyjki od rodziny. Zrezygnowała z kelnerowania i wyprowadzania psów na rzecz

sprzątania. „Pięćdziesiąt dolców za cztery godziny i nie musisz ciągnąć za sobą zgrai kundli”, wyjaśniła Neeve.

Neeve poleciła dziewczynę do sprzątania u Ethel Lambston i wiedziała, że Tse-tse

przychodziła tam kilka razy w miesiącu. Teraz powitała ją jak posłańca niebios. Czekając na taksówkę, wyjaśniła swój dylemat.

— Idę tam jutro — oznajmiła zdyszana aktorka. — Słowo daję, przez to mieszkanie

mam ochotę powrócić do wyprowadzania pitbullów. Choćbym tam wysprzątała na wysoki połysk, następnym razem zawsze jest bałagan.

— Widziałam — przyznała Neeve. — Słuchaj, jeśli Ethel dzisiaj nie odbierze tych

rzeczy, jutro rano zawiozę cię tam taksówką i zostawię wszystko u niej w szafie. Chyba masz klucz.

— Dała mi pół roku temu. Zawiadom mnie. Na razie.

Tse-tse posłała Neeve pocałunek i popędziła ulicą. Przypominała flaminga z

tlenionymi złotymi włosami i zwariowanym makijażem, w jaskrawopurpurowym wełnianym żakiecie, czerwonych rajstopach i żółtych mokasynach.

W sklepie Betty znowu pomogła Neeve odwiesić rzeczy Ethel na stojak z gotowymi ubraniami w szwalni.

— To już przekracza nawet normalne roztrzepanie — powiedziała cicho, z głęboką zmarszczką zmartwienia wyżłobioną między brwiami. Myślisz, że miała wypadek? Może powinniśmy zgłosić, że zaginęła.

Neeve ustawiła pudła z dodatkami obok wieszaka.

— Mogę poprosić Mylesa, żeby sprawdził raporty o wypadkach — powiedziała — ale jeszcze za wcześnie, by zgłaszać zaginięcie.

Staruszka uśmiechnęła się nagle.

— Może w końcu znalazła sobie faceta i wyjechali gdzieś na rozkoszny weekend.

Neeve zerknęła przez otwarte drzwi do działu sprzedaży. Pojawiła się pierwsza klientka i nowa sprzedawczyni pokazywała jej suknie w absolutnie nieodpowiednim stylu.

Neeve przygryzła wargę. Wiedziała, że odziedziczyła po trosze wybuchowy temperament Renaty i powinna trzymać język na wodzy.

— Mam nadzieję, że względu na Ethel — mruknęła, po czym z powitalnym

uśmiechem podeszła do klientki i sprzedawczyni. — Marian, może przyniesiesz tę zieloną szyfonową suknię od della Rosy? — zaproponowała.

Ranek był bardzo ożywiony. Recepcjonistka wciąż wystukiwała numer pisarki.

Ostatnim razem, kiedy zgłosiła brak odpowiedzi, Neeve pomyślała przelotnie, że jeśli Ethel rzeczywiście uciekła z ukochanym, nikt nie będzie wiwatował głośniejsz niż jej były mąż, który po dwudziestu dwóch latach wciąż wysyłał co miesiąc czek z alimentami.

W poniedziałki Denny Adler miał wolne. Planował spędzić ten dzień na śledzeniu

Neeve Kearny, ale w niedzielę wieczorem wezwano go do publicznego telefonu w hotelowym holu.

Kierownik delikatesów zawiadomił, że Denny będzie musiał następnego dnia przyjść

do pracy. Wyrzucił kelnera z za kontuaru.

— Sprawdzalem księgi i ten sukinsyn podbierał forszę z kasy. Potrzebuję ciebie.

Denny zaklął w duchu. Ale głupio by zrobił odmawiając.

— Przyjdę — obiecał nadąsany.

Odwiesił słuchawkę i pomyślał o Neeve Kearny, o uśmiechu, jakim go obdarzyła

poprzedniego dnia, kiedy dostarczył lunch, o jej kruczoczarnych włosach otaczających twarz, o piersiach rysujących się pod modnym sweterkiem. Duży Charley mówił, że w poniedziałkowe popołudnia jeździła na Siódmą Aleję. To znaczy, że nie ma sensu łapać jej po pracy. Może i lepiej. Denny miał plany na poniedziałkowy wieczór w związku z

kelnerką z baru naprzeciwko i nie chciał tego odwoływać.

Odwrócił się i ruszył wilgotnym, cuchnącym uryną korytarzem do swojego pokoju,

myśląc: poniedziałek to twój szczęśliwy dzień, Kearny.

Szczęśliwy dzień, jeden dzień spóźnienia na cmentarz.

Poniedziałkowe popołudnia Neeve spędzała zwykle na Siódmej Alei. Uwielbiała

barwny harmider dzielnicy odzieżowej, zatłoczone chodniki, ciężarówki dostawcze

zaparkowane w podwójnych rzędach na wąskich uliczkach, zwinnych chłopców

manipulujących w tłoku stojakami z odzieżą, ogólne wrażenie pośpiechu, ani chwili do stracenia.

Zaczęła tam przychodzić z matką, kiedy miała jakieś osiem lat. Wbrew żartobliwym

sprzeciwom Mylesa Renata wzięła posadę na pół etatu w sklepie odzieżowym przy

Siedemdziesiątej Drugiej, tylko dwie przecznice od ich mieszkania. Wkrótce podstarzała właścicielka przekazała jej zadanie zaopatrywania sklepu. Neeve wciąż widziała we wspomnieniach Renatę odmownie kręcącą głową, kiedy nadgorliwy projektant próbował ją przekonać, żeby zmieniła zdanie.

— Kiedy kobieta usiadzie w tej sukience, tył podjedzie jej do góry na plecach —

odpowiadała matka z włoskim akcentem, który za każdym razem w chwilach podniecenia dźwięczał w jej głosie. — Kobieta powinna ubrać się, sprawdzić w lustrze, czy oczko jej nie poleciało w pończosze i czy nie wystaje halka, a potem zapomnieć, co ma na sobie.

Ubranie musi leżeć jak druga skóra. — Wymawiała to „zkóóra”.

Ale miała również oko do nowych projektantów. Neeve wciąż przechowywała szpilkę z kameą, którą jeden z nich podarował Renacie. Wprowadziła jego linię pierwsza.

— Twoja mama pomogła mi się przebić — wspominał Jacob Gold. Piękna kobieta i znała się na modzie. Jak ty.

To był największy możliwy komplement z jego strony.

Dzisiaj, kiedy Neeve wędrowała od Siódmej Alei w stronę Zachodnich Trzydziestych, odczuwała nieokreślony niepokój. Coś w jej psychice pulsowało boleśnie niczym

emocjonalny chory ząb. Mruknęła do siebie: Niedługo naprawdę zmienię się w przesadną Irlandkę, która zawsze „wyczuwa” kłopoty za rogiem.

W Artless Sportswear zamówiła lniane blezery i pasujące szorty bermudy.

— Lubię pastele — mruknęła — ale one potrzebują jakiegoś dynamitu.

— Proponujemy tę bluzkę. — Ekspedient z bloczkiem zamówień w ręku wskazał rząd białych nylonowych bluzek z białymi guzikami.

— Nie. Nadają się pod szkolny mundurek. — Neeve przespacerowała się po sali wystawowej, a w końcu dostrzegła kolorowe jedwabne podkoszulki. — O to mi chodzi.

Wybrała kilka w barwne wzory i wróciła z nimi do kompletów.

— Ten z brzoskwiniowym; ten z fiołkowym. No, teraz do czegoś dochodzimy.

U Victora Costy wybrała romantyczne szyfony z dekoltem w łódkę, które powiewały na wieszakach. I jeszcze raz powróciła do niej matka. Renata w czarnej aksamitnej sukni od Victora Costy, wychodząca na sylwestrowe przyjęcie z Mylesem. Na szyi miała

gwiazdkowy prezent od niego, naszyjnik z pereł z wisiorkiem wysadzany brylancikami.

— Wyglądasz jak księżniczka, mamó — powiedziała wtedy Neeve. Tamta chwila wyryła się w jej pamięci. Była taka dumna z rodziców.

Wyprostowany i elegancki Myles, z przedwcześnie posiwiałymi włosami; Renata — smukła, z kruczoczarnymi lokami upiętymi w kok.

Następnego sylwestra niewielu gości przyszło do ich mieszkania. Ojciec Devin

Stanton, który został teraz biskupem, i wujek Sal, wciąż usiłujący wyrobić sobie markę jako projektant. Herb Schwartz, zastępca Mylesa, z żoną. Renata nie żyła od siedmiu tygodni...

Neeve uświadomiła sobie, że ekspedient cierpliwie czeka przy jej łokciu.

— Bujam w obłokach — wyjaśniła — a teraz nie pora na to, prawda? Złożyła

zamówienie, szybko załatwiła następne trzy hurtownie na swojej liście, a potem, gdy zapadał zmierzch, jak zwykle poszła odwiedzić wujka Sala.

Salony wystawowe Anthony'ego della Salvy wyrastały teraz w całej dzielnicy

odzieżowej. Kolekcję sportową prezentowano przy Zachodniej Trzydziestej Siódmej Ulicy, dodatki na Zachodniej Trzydziestej Piątej, a wzorcownia znajdowała się przy Szóstej Alei.

Neeve wiedziała jednak, że zastanie go w głównym biurze przy Zachodniej Trzydziestej Szóstej. Zaczynał tam w maciupkiej dwupokojowej klitce, a teraz zajmował trzy luksusowo wyposażone piętra. Anthony della Salva, dawniej Salvatore Esposito z Bronksu, był

projektantem stawianym w jednym rzędzie z Billem Blassem, Calvinem Kleinem i Oscarem de la Rentą.

Neeve przecięła Trzydziestą Siódmą i ku swojej konsternacji znalazła się twarzą w twarz z Gordonem Steuberem. Nieskazitelnie ubrany w płową kaszmirową marynarkę,

narzuconą na brązowo-beżowy szkocki pulower, ciemnobrązowe spodnie i mokasyny od

Gucciego, z szopą kędzierzawych ciemnych włosów, szczupłą twarzą o regularnych rysach, szerokimi ramionami i wąską talią, Gordon Steuber łatwo mógł zrobić karierę jako model.

Zamiast tego obecnie, nieco po czterdziestce, był szczwanym biznesmenem z niesamowitą smykałką do zatrudniania nieznanymi młodych projektantów i wyzyskiwania ich, dopóki nie mogli sobie pozwolić na odejście.

Dzięki tym młodym talentom jego kolekcja damskich kostiumów i sukien była

ekscytująca i prowokująca. Zarabia dosyć, żeby nie musiał wyzyskiwać nielegalnych pracowników, pomyślała Neeve, mierząc Steubera zimnym wzrokiem. A jeśli miał kłopoty podatkowe, jak napomknął Sal, tym lepiej!

Minęli się bez słowa, jednak Neeve odniosła wrażenie, że z postaci mężczyzny

emanował gniew. Słyszała, że każdy człowiek wydziela aurę. Nie chce teraz zobaczyć koloru aury Gordona, pomyślała, wchodząc spieszenie do biura Sala.

Kiedy recepcjonistka spostrzegła Neeve, natychmiast zadzwoniła do prywatnego

gabinetu szefa. Po krótkiej chwili Anthony della Salva, wujek Sal, wypadł z rozmachem przez drzwi. Jego twarz cherubina promieniała, kiedy śpieszył objąć gościa.

Neeve uśmiechnęła się na widok stroju Sala. Stanowił najlepszą żywą reklamę swojej wiosennej kolekcji męskich ubrań. Jego wersja stroju safari wyglądała jak skrzyżowanie kombinezonu spadochroniarza z Jungle Jimem w najlepszym wydaniu.

— Wyglądasz bosko. Za miesiąc całe East Hampton będzie to nosić powiedziała z aprobatą, całując go na przywitanie.

— Już nosi. Nawet w Iowa City za tym szaleją. To mnie trochę przeraża. Chyba tracę wyczucie. Chodź, nie chcę na to patrzeć.

Po drodze do swojego gabinetu zatrzymał się, żeby przywitać kilku handlowców spoza miasta.

— Czy ktoś państwa obsługuje? Czy Susan dobrze się wami zajęła? Wspaniale. Susan, pokaż kolekcję wypoczynkową. Sama wyjdzie ze sklepu, zapewniam was.

— Wujku, chcesz sam ich obsłużyć? — zapytała Neeve, kiedy przechodzili przez salę wystawową.

— Absolutnie nie. Zmarnują dwie godziny Susan i w końcu kupią trzy czy cztery

najtańsze sztuki. — Z westchnieniem ulgi zamknął drzwi do swoich prywatnych pokoi.

— To był zwariowany dzień. Skąd oni wszyscy biorą pieniądze? Znowu podniosłem ceny.

Są skandaliczne, a ludzie biją się o zamówienia — mówił z obłudnie świętoszkowatym uśmiechem.

Przez ostatnie lata okrągła twarz Sala zrobiła się pulchna, a szpareczki oczu niemal ginęły pod ciężkimi powiekami. On, Myles i biskup dorastali w tej samej okolicy Bronksu, razem grali w baseball kijami od szczotek, razem poszli do szkoły średniej imienia Krzysztofa Kolumba. Trudno było uwierzyć, że on też ma sześćdziesiąt osiem lat.

Na biurku piętrzyły się sterty próbek.

— Dasz wiarę? Dostaliśmy zamówienie na projekt wnętrza modelu mercedesa dla

trzylatków. W wieku trzech lat miałem używane czerwone auto na pedały i jedno koło ciągle odpadało. Za każdym razem, jak odpadło, ojciec bił mnie za karę, że nie dbam o swoje piękne zabawki.

Neeve poczuła się lepiej.

— Wujku Sal, szczerze żałuję, że nie nagrałam cię na taśmę. Mogłabym zbić fortunę, gdybym cię szantażowała.

— Masz za dobre serce. Siadaj i napij się kawy. Świeżo zaparzona, przysięgam.

— Wiem, że jesteś zajęty, wujku. Zabiorę ci tylko pięć minut. — Neeve rozpięła żakiet.

— Przystaniesz z tym wujkiem? Za stary jestem, żeby mnie traktować z szacunkiem.

— Sal zmierzył ją wzrokiem. — Wyglądasz dobrze, jak zwykle. Jak interesy?

— Doskonale.

— Jak tam Myles? Słyszałem, że Nicky Sepetti wyszedł w piątek. Pewnie twój ojciec aż się skręca.

— Był zdenerwowany w piątek i całkiem spokojny przez weekend. Teraz sama nie wiem.

— Zaproś mnie na obiad w tym tygodniu. Nie widziałem Mylesa od miesiąca.

— Załatwione. — Neeve patrzyła, jak Sal nalewa kawy z ekspresu na tacy obok biurka. Rozejrzała się wkoło. — Uwielbiam ten pokój.

Ścianę za biurkiem pokrywała dekoracja z motywami rafy koralowej — projektu, który przyniósł Salowi sławę. Często opowiadał, skąd zaczerpnął inspirację do tej kolekcji.

— Neeve, oglądałem Akwarium w Chicago w 1972. Tamtego roku moda była do kitu.

Wszyscy mieli dość minispódniczek i wszyscy bali się spróbować czegoś nowego. Czołowi projektanci pokazywali kostiumy skrojone po męsku, szorty bermudy, obwisłe garsonki bez żadnej linii. Jasne odcienie. Ciemne kolory. Bluzki z falbankami, które nadawały się dla pensjonarek. Nic takiego, żeby kobieta powiedziała: „Chcę tak wyglądać”. Włączyłem się po Akwarium i zaszedłem na piętro, gdzie była wystawa „Rafa koralowa”. Neeve, to było jak spacer pod wodą. Akwaria od podłogi do sufitu, wypełnione setkami egzotycznych ryb, roślin, koralowych drzew i muszli. A kolory... zupełnie jakby namalował je Michał Anioł!

Desenie i wzory, dziesiątki rodzajów, każdy niepowtarzalny. Srebro przechodzące w błękit, koral przetykany czerwienią. Widziałem jedną żółtą rybę, jasną jak poranne słońce, z czarnymi plamkami. I ta płynność, ta gracia ruchów. Pomyślałem: gdybym tylko potrafił to przenieść na tkaninę! Zacząłem szkicować od razu na miejscu. Wiedziałem, że to

wspaniałe. Tamtego roku zdobyłem nagrodę Coty'ego. Postawiłem na głowie świat mody.

Projekty sprzedawały się fantastycznie. Licencje na produkcję masową i dodatki. I wszystko dlatego, że wystarczyło mi sprytu, żeby skopiować matkę naturę!

Teraz podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

— Ten projekt. Cudowny. Wesoły. Wytworny. Wdzięczny. Twarzowy. Wciąż najlepsza moja rzecz. Ale nie mów nikomu. Jeszcze mnie nie dogonili. W następnym tygodniu

pokażę ci zapowiedź mojej jesiennej kolekcji. Druga moja najlepsza rzecz. Sensacyjna. Jak tam twoje życie miłosne?

— Nie istnieje.

— A co z tym facetem, który zaprosił cię na obiad kilka miesięcy temu? Szalał za tobą.

— Nawet nie pamiętam jego imienia, co mówi samo za siebie. Dalej zbija kasę na

Wall Street. Właśnie kupił cessenę i udziały w Vail. Zapomnij o nim. Miał tyle osobowości co mokry makaron. Ciągle powtarzam Mylesowi i tobie też powiem: kiedy pojawi się ten właściwy, będę wiedziała.

— Nie czekaj za długo, Neeve. Wychowano cię na bajkowym romansie twoich rodziców. — Sal głośno przełknął resztę kawy. — Większość ludzi tak tego nie załatwia.

Neeve poczuła przelotne rozbawienie na myśl, że kiedy wujek rozmawiał z

przyjaciółmi albo miał przyływ elokwencji, jego aksamitny włoski akcent zniknął

zastąpiony rodzinnym żargonem.

— Spotykamy kogoś — ciągnął Sal. — Trochę się nim interesujemy. Potem mniej. Ale

wciąż się spotykamy i stopniowo coś się dzieje. Nie żadna magia, czasem po prostu zwykła przyjaźń. Dopasowujemy się jedno do drugiego. Możemy nie lubić opery, lecz chodzimy tam razem. Możemy nie znosić sportu, ale zaczynamy grać w tenisa albo biegać. Potem miłość przejmuje rządy. Dziewięćdziesiąt procent ludzi na świecie tak postępuje, Neeve.

Wierz mi.

— Czy z tobą też tak się stało? — zapytała słodko Neeve.

— Cztery razy — rozpromienił się Sal. — Nie bądź taka naiwna. Jestem optymistą.

Neeve dopiła kawę i wstała, wyraźnie rozweselona.

— Ja chyba też, ale ty pomagasz mi to wydobyć z siebie. Co powiesz na obiad w czwartek?

— Doskonale. I pamiętaj, nie stosuję diety Mylesa i nie mów, że powinienem.

Neeve pocałowała Sala na pożegnanie, zostawiła go w gabinecie i pośpiesznie przeszła przez salę wystawową. Wyćwiczonym okiem oceniła modele na manekinach. Niezbyt

błyskotliwe, ale dobre. Subtelne zastosowanie koloru, czyste linie, nowatorskie, lecz nie nazbyt śmiałe. Będą się dobrze sprzedawać. Zaciekawiała ją jesienna kolekcja Sala. Czy istotnie jest tak dobra, jak twierdził?

Wróciła do Salonu Neeve na czas, żeby omówić zmianę wystawy z dekoratorem. O

szóstej trzydzieści, po zamknięciu sklepu, już rutynowo zawiozła do domu ubrania Ethel Lambston. Znowu nie było żadnej wiadomości od niej, żadnej odpowiedzi na pół tuzina telefonów. Ale przynajmniej widziała przed sobą koniec kłopotów. Jutro rano pojedzie z Tse-tse do mieszkania pisarki i zostawi tam cały bagaż.

Ta myśl przypomniła jej fragment wzruszającego wiersza Eugene’a Fieldsa „Little

Boy Blue”: „Ucałował wszystkie i tam je zostawił”.

Ściskając mocniej w ramionach śliskie foliowe worki, Neeve przypomniła sobie, że mały smutny chłopczyk nigdy nie wrócił do swoich ślicznych zabawek.

Następnego ranka spotkały się w holu dokładnie o ósmej trzydzieści. Tse-tse zaplotła włosy w warkoczyki i upięła nad uszami. Czarna aksamitna peleryna luźno spływała jej z ramion aż do stóp. Pod spodem dziewczyna miała czarny mundurek z białym fartuszkiem.

— Właśnie dostałam rolę pokojówki w nowej sztuce — wyznała, odbierając pudła od

Neeve. — Pomyślałam, że poćwiczę. Jeśli Ethel jest w domu, padnie z wrażenia, gdy mnie zobaczy w kostiumie — zakończyła z doskonałym szwedzkim akcentem.

Energiczne dzwonienie nie wywołało żadnej reakcji w mieszkaniu Ethel. Tse-tse

wygrzebała z torebki klucz. Otworzyła drzwi, odsunęła się na bok i przepuściła swą towarzyszkę pierwszą. Z westchnieniem ulgi Neeve upuściła naręcze ubrań na kanapę.

— Dzięki Bogu — mruknęła prostując się i nagle umilkła.

Muskularny młody człowiek stał w korytarzyku prowadzącym do łazienki i sypialni.

Widocznie właśnie się ubierał, bo w rękę trzymał krawat. Miał na sobie nie całkiem zapiętą wykrochmaloną białą koszulę. Blandozielone oczy, zwięzione z irytacji, spoglądały z twarzy, która w innych okolicznościach mogła wyglądać atrakcyjnie. Nieuczesane włosy spadały na czoło niesforną masą loków. Zaskoczenie Neeve na ów widok ustąpiło miejsca przelotnemu wrażeniu, że splątane włosy mężczyzny stanowią produkt pianki fryzjerskiej. Za plecami usłyszała, jak Tse-tse gwałtownie wciąga powietrze.

— Kim pan jest? — zapytała Neeve. — I dlaczego pan nie otwierał drzwi?

— Myślę, że wy najpierw powinniście odpowiedzieć na to pytanie odparł nieznajomy sarkastycznym tonem. — A drzwi otwieram, kiedy mi się podoba.

Tse-tse przejęła inicjatywę.

— Pan jest bratankiem pani Lambston — oświadczyła. — Widziałam pana zdjęcie. —

Jej szwedzki akcent na przemian narastał i zanikał. — Pan się nazywa Douglas Brown.

— Wiem, kim jestem. Może teraz panie zechcą się przedstawić? — Sarkazm w głosie mężczyzny nie ustępował.

Neeve poczuła, że ogarnia ją złość.

— Jestem Neeve Kearny — oznajmiła. — A to Tse-tse. Sprząta mieszkanie pani

Lambston. Zechce mi pan powiedzieć, gdzie jest pańska ciotka? Nalegała, że potrzebuje tych ubrań na piątek, i od tamtej pory wożę je tam i z powrotem.

— Więc pani jest Neeve Kearny. — Teraz uśmiech stał się wręcz bezczelny. — „Buty

numer trzy nosić z beżowym kostiumem. Do tego torebka numer trzy i biżuteria z pudełka A”. Robi to pani dla wszystkich?

Neeve wysunęła podbródek do przodu.

— Pani Lambston jest bardzo dobrą klientką i bardzo zajęta pisarką. Ja też jestem bardzo zajęta. Czy pani Lambston jest w domu, a jeśli nie, to kiedy wraca?

Douglas Brown wzruszył ramionami. Wrogi wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

— Nie mam pojęcia, gdzie jest moja ciotka. Prosiła mnie, żebym spotkał się z nią tutaj w piątek po południu. Chciała, żebym coś dla niej zrobił.

— W piątek po południu? — powtórzyła szybko Neeve.

— Tak. Przyszedłem, ale jej nie było. Mam klucz, więc wszedłem do środka. Nie

pokazała się, więc pościeliłem sobie na kanapie. Właśnie wymówiono mi mieszkanie, a YMCA nie jest w moim guście.

Wyjaśnienie brzmiało trochę zbyt gładko. Neeve rozejrzała się po pokoju. Na jednym końcu kanapy, gdzie rzuciła ubrania, leżały poduszka i skłębiony koc. Na podłodze przed kanapą piętrzyły się sterty papierzysk. Wcześniej, kiedy tutaj przychodziła, notatki i czasopisma zaścielały kanapę tak dokładnie, że nie dało się odgadnąć koloru obicia.

Wycinki z gazet spięte zszywaczami walały się na podręcznym stoliku. Ponieważ

mieszkanie znajdowało się na parterze, okna były zakratowane i nawet te kraty

wykorzystano jako segregatory. Po drugiej stronie pokoju otwarte przejście prowadziło do kuchni. Jak zwykle blaty kuchenne wyglądały na zagracone. Ściany pokrywały zawieszone byle jak, niedbale oprawione zdjęcia Ethel, wycięte z gazet i czasopism. Ethel otrzymująca nagrodę Czasopisma Roku od Amerykańskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy i Autorów. To za jej zjadliwy artykuł o przytułkach i opuszczonych czynszówkach. Ethel u boku Lyndona i Lady Bird Johnson. Pracowała przy jego kampanii w 1964 roku. Ethel na podium w hotelu Waldorf z burmistrzem tego wieczoru, kiedy „Contemporary Woman” przyznała mu

wyróżnienie. Pewna myśl uderzyła Neeve.

— Byłam tutaj w piątek wczesnym wieczorem — oznajmiła. — Właściwie o której

pan przyjechał?

— Około trzeciej. Nie odbierałem żadnych telefonów. Ciotka nie życzy sobie, żeby ktokolwiek przyjmował telefony, kiedy jej nie ma.

— To prawda — potwierdziła Tse-tse. Na chwilę zapomniała o swoim szwedzkim akcencie, ale zaraz powrócił: — Taak, taak, to prawda.

Douglas Brown założył krawat.

— Muszę iść do pracy. Niech pani zostawi te ubrania, panno Kearny. — Odwrócił się do Tse-tse. — A jeśli pani znajdzie jakiś sposób, żeby tutaj posprzątać, też dobrze.

Pozbieram moje rzeczy na wypadek, gdyby ciotka Ethel zaszczyciła nas swoją obecnością.

Teraz zaczął się śpieszyć do wyjścia. Odwrócił się i ruszył w stronę sypialni.

— Chwileczkę — powiedziała Neeve. Zaczekała, aż się zatrzymał i obejrzał przez

ramię. — Mówi pan, że przyszedł pan w piątek około trzeciej. W takim razie musiał pan tutaj być, kiedy próbowałam dostarczyć te ubrania. Zechce mi pan wyjaśnić, dlaczego wtedy nie otworzył pan drzwi? To mogła być Ethel, która zapomniała kluczy, prawda?

— O której pani przyszła?

— Około siódmej.

— Wyszedłem coś zjeść. Przepraszam. Zniknął w sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Neeve i Tse-tse wymienili spojrzenia. Aktorka wzruszyła ramionami.

— Równie dobrze mogę wziąć się do roboty. Boże, szybciej bym posprzątała cały

Sztokholm niż te wszystkie rupiecie — przeciągnęła śpiewnie, a potem wróciła do amerykańskiej wymowy. — Myślisz, że coś się stało Ethel?

— Myślałam, żeby kazać Mylesowi sprawdzić raporty o wypadkach odparła Neeve.

— Chociaż muszę przyznać, że kochający bratanek jakoś nie szaleje z niepokoju. Kiedy wyjdzie, powieszę te rzeczy w szafie.

Douglas Brown wyłonił się z sypialni chwilę później. Ubrany w ciemnoniebieski

garnitur, z płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię i włosami

zaczesanymi w gęstą falującą fryzurę, wyglądał atrakcyjnie, lecz raczej ponuro. Wydawał

się zdziwiony i niezbyt zadowolony, że Neeve jeszcze nie wyszła.

— Podobno jest pani bardzo zajęta — powiedział. Zamierza pani pomagać w sprzątaniu?

Wargi Neeve zacisnęły się złowieszczo.

— Zamierzam powiesić te ubrania w szafie pańskiej ciotki, żeby mogła po nie sięgnąć w każdej chwili, a potem chcę wyjść. — Rzuciła mu swoją wizytówkę. — Proszę mnie

zawiadomić, jeśli ciotka skontaktuje się z panem. W przeciwnieństwie do pana zaczynam się martwić.

Douglas Brown zerknął na wizytówkę i schował ją do kieszeni.

— Nie widzę powodu. Przez te dwa lata, odkąd mieszkam w Nowym Jorku, ciotka

znikała co najmniej trzy razy i zwykle musiałem czekać na nią bez końca tutaj albo w jakiejś restauracji. Zaczynam podejrzewać, że jest kompletną wariatką.

— Zamierza pan tu zostać do jej powrotu?

— To chyba nie pani sprawa, panno Kearny, ale raczej tak.

— Poda mi pan swój służbowy numer, żeby mogła pana złapać w godzinach pracy?

— Neeve poczuła wzbierającą złość.

— Niestety w Cosmic Oil Building nie mają służbowych telefonów dla

recepjonistów. Widzi pani, podobnie jak moja kochana ciocia jestem pisarzem. Niestety, w przeciwnieństwie do niej wydawcy jeszcze mnie nie odkryli, więc zarabiam na kawałek chleba, siedząc za biurkiem w westybulu Cosmic i potwierdzając umówione spotkania. Nie jest to zajęcie dla umysłowego giganta, ale ostatecznie Herman Melville pracował jako urzędnik na Ellis Island.

— Uważa się pan za Hermana Melville'a? — Neeve nie ukrywała ironii w głosie.

— Nie, uprawiam inny rodzaj literatury. Moja ostatnia książka nosi tytuł: „Życie duchowe Hugh Hefnera”. Jak dotąd żaden wydawca nie poznał się na żarcie.

Wyszedł. Neeve i Tse-tse popatrzyły na siebie.

— Co za świr! — odezwała się aktorka. — I pomyśleć, że to jedyny krewny biednej Ethel.

Neeve poszperała w pamięci.

— Chyba nigdy mi o nim nie wspominała.

— Dwa tygodnie temu, kiedy tutaj była, rozmawiała z nim przez telefon i strasznie się wściekała. Ethel chomikuje pieniądze po całym mieszkaniu i uważała, że trochę zginęło.

Praktycznie oskarżyła go o kradzież.

Zakurzone, zagracone mieszkanie nagle przyprawiło Neeve o klaustrofobię. Chciała się stąd wydostać.

— Chodź, odwiesimy te ubrania.

Nawet jeśli Douglas Brown pierwszej nocy spał na kanapie, później na pewno

korzystał z sypialni ciotki. Na nocnym stoliku stała popielniczka pełna niedopałków, a Ethel nie paliła. Białe prowincjonalne antyki były — jak wszystko inne w mieszkaniu —

kosztowne, ale niemal niewidoczne z powodu bałaganu. Na toaletce wśród bezładnie rozstawionych perfum leżał zmatowiały srebrny komplet: grzebień, szczotka i lusterko.

Ethel zatknęła notatki za złotą ramę dużego lustra. Kilka męskich garniturów, sportowych marynarek i spodni spoczywało na szezlongu krytym różowym adamaszkiem. Na podłodze leżała męska walizka wepchnięta pod szezlong.

— Nawet on nie miał czelności grzebać w szafie Ethel — zauważyła Neeve. Tylną

ścianę dość dużej sypialni zajmowała rozbudowana szafa, biegnąca przez całą długość pokoju. Cztery lata wcześniej, kiedy pisarka po raz pierwszy poprosiła Neeve o przejrzanie swojej garderoby, Neeve stwierdziła, że nic dziwnego, że jej klientka nigdy nie może skompletować stroju. Potrzebuje więcej miejsca. Trzy tygodnie później Ethel ponownie zaprosiła Neeve. Zaprowadziła ją do sypialni i dumnie zaprezentowała swój najnowszy nabytek, wbudowaną szafę, która kosztowała dziesięć tysięcy dolarów. Szafa miała krótkie drążki na bluzki i wysoko umieszczone wieszaki na suknie wieczorowe. Była podzielona tak, że płaszcze wisiały w jednym miejscu, kostiumy w innym, dzienne suknie jeszcze dalej. Miała półki na swetry i torebki; stelaże na buty; przegródkę na biżuterię z mosiężnymi prętami w kształcie gałęzi drzewa, do wieszania bransoletek i naszyjników.

Obok sterczała para upiornie realistycznych gipsowych dłoni wzniesionych jak do modlitwy, z rozczapierzonymi palcami. Ethel wskazała na nie.

— Wyglądają, jakby chciały cię udusić, prawda? — zagadnęła wesoło. To na

pierścionki. Powiedziałam facetowi od szafy, że trzymam wszystko w oznakowanych

pudełkach, ale on powiedział, że i tak powinnam mieć te ręce. Pewnego dnia pożałuję, że ich nie

zamówiłam, tak mi powiedział.

W szafie panował nieskazitelny ład, kontrastujący z resztą mieszkania. Ubrania wisiały równiutko na obitych satyną wieszakach. Zamki błyskawiczne były zasunięte do samej góry, żakiety pozapinane.

— Odkąd zaczęłaś ubierać Ethel, ludzie ciągle mówią o jej strojach zauważyła Tse-tse.

— Uwielbia to.

Na wewnętrznej stronie drzwi pisarka przykleiła otrzymane od Neeve wskazówki, co z czym nosić.

— Przejrzałam wszystko z Ethel w zeszłym miesiącu — mruknęła Neeve. —

Zrobiłyśmy miejsce na nowe rzeczy.

Położyła ubrania na łóżku i zaczęła rozrywać plastikowe worki.

— Po prostu zrobię to samo, co bym zrobiła w jej obecności. Powieszę te rzeczy na miejsce i przypnę spis.

Sortując i chowając nowe stroje, przejrzała zawartość szafy. Sobolowe futro Ethel.

Kurtka z kunich skórek. Czerwone kaszmirowe palto. Płaszcz burberry. Peleryna w jodełkę.

Biały luźny płaszcz z karakułowym kołnierzem. Skórzany płaszcz z paskiem. Dalej wisiały kostiumy. Od Donny Karan, od Beene'a, z ultraskaju... Neeve zawahała się, trzymając w ręku dwa wieszaki z nowymi strojami.

— Zaczekaj — powiedziała.

Zajrzała na górną półkę. Wiedziała, że komplet podróżny Ethel marki Vuitton składał

się z czterech sztuk w jednakowy motyw tapety: pokrowiec na suknie z kieszeniami zapinanymi na suwaki, przesadnie duży podręczny neseser, wielka i średnia walizka.

Pokrowca, neseseru i jednej walizki brakowało.

— Pocziwa Ethel — westchnęła Neeve, wieszając nowe stroje w szafie. — Jednak wyjechała. Brakuje tego beżowego kompletu z kołnierzem z norek.

Zaczęła szperać wśród wieszaków. Biały wełniany kostium, zielony z dzianiny, komplet w czarno-biały drukowany wzór.

— Rzeczywiście, po prostu spakowała się i wyjechała. Przysięgam, że mogłabym ją

udusić gołymi rękami. — Odgarnęła włosy z czoła. — Patrz wskazała spis na drzwiach, a potem puste miejsca na półkach. — Wzięła wszystko, czego potrzebowała, żeby się

wyelegantować. Pewnie przez tę paskudną pogodę zdecydowała, że nie potrzebuje lekkich wiosennych rzeczy. No, gdziekolwiek pojechała, mam nadzieję, że trafi na

trzydziestostopniowy upał. Che noiosa spera che muore di caldo...

— Spokojnie, Neeve — powstrzymała ją Tse-tse. — Kiedy przechodzisz na włoski, to znaczy, że się wściekasz.

Ta wzruszyła ramionami.

— Do cholery, wyślę rachunek jej księgowemu. Przynajmniej on ma dobrze

poukładane w głowie i nie zapomina o terminach płatności. — Spojrzała na Tse-tse. — A co z tobą? Liczyłaś, że dzisiaj dostaniesz wypłatę?

Dziewczyna pokręciła głową.

— Ostatnim razem zapłaciła mi z góry. Wszystko w porządku.

W sklepie Neeve wyzaliła się przed Betty.

— Powinnaś doliczyć jej za taksówkę i pomoc przy osobistych zakupach — oświadczyła staruszka. — Ta kobieta przekracza wszelkie granice.

W południe, rozmawiając z ojcem, Neeve opowiedziała mu, co się stało.

— I chciałam cię poprosić, żebyś sprawdził raporty z wypadków — zakończyła.

— Słuchaj, gdyby tramwaj znalazł ją na swojej drodze, wyskoczyłby z szyn, żeby uniknąć zderzenia — odparł Myles.

Ale z jakiegoś powodu gniew Neeve nie trwał długo. Nie opuszczało jej natomiast

dręczące, uparte przecucie, że nagły wyjazd Ethel oznacza coś złego. Towarzyszyło jej, kiedy zamknęła sklep o szóstej trzydzieści i pobiegła na przyjęcie koktajlowe w hotelu St.

Regis, wydawane przez „Woman’s Wear Daily”. Wśród barwnego, modnie ubranego tłumu dostrzegła Toni Mendell, elegancką redaktor naczelną „Contemporary Woman”, i pośpieszyła do niej.

— Nie wiesz, na jak długo Ethel wyjechała? — zapytała, przekrzykując zgiełk.

— Dziwię się, że jej tu nie ma — odrzekła Toni. — Mówiła, że przyjdzie, no, ale wszyscy znamy Ethel.

— Kiedy ma się ukazać jej artykuł o modzie?

— Oddała tekst w czwartek rano. Musiałam dać go prawnikom do przejrzenia, żeby przypadkiem nikt nas nie zaskarżył. Kazali wyciąć kilka rzeczy, ale wciąż jest świetny.

Słyszałaś, że Givvons i Marks zawarli z nią wielki kontrakt?

— Nie.

Kelner roznosił przekąski — wędzonego łososia z kawiozem na grzankach. Neeve poczęstowała się jedną, a Toni smutno pokręciła głową.

— Teraz, kiedy wróciła zaznaczona talia, nie mogę sobie pozwolić nawet na oliwkę.

— Redaktorka nosiła rozmiar sześć. — W każdym razie artykuł mówi o wielkich trendach ostatnich pięćdziesięciu lat i stojących za nimi projektantach. Spójrzmy prawdzie w oczy, ten temat wałkowano bez końca, ale znasz Ethel. Wszystko traktuje jak plotkarską zabawę.

Ale dwa tygodnie temu zrobiła się strasznie tajemnicza. Jak słyszałam, pewnego dnia wtargnęła do gabinetu Jacka Campbella i wycisnęła umowę na książkę o modzie z

sześciocyfrową zaliczką. Pewnie zaszyła się gdzieś i pisze.

— Kochanie, jesteś boska! — dobiegły słowa gdzieś zza pleców Neeve. Toni pokazała w uśmiechu wszystkie nieskazitelne korony.

— Carmen, zostawiłam ci chyba z tuzin wiadomości. Gdzieś się ukrywała?

Neeve zaczęła się wycofywać, ale Toni ją zatrzymała.

— Neeve, właśnie wszedł Jack Campbell. To ten wysoki facet w szarym garniturze.

Może on wie, gdzie jest Ethel.

Zanim Neeve przedarła się przez całą salę, Jack Campbell był już otoczony gośćmi.

Czekała, wysłuchując składanych mu gratulacji. Z treści rozmowy zorientowała się, że właśnie został prezesem i wydawcą u Givvonsa i Marksa, że kupił apartament przy

Wschodniej Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy i że, jak sam zapewnił, uwielbia mieszkać w Nowym Jorku.

Oceniła go na sporo przed czterdziestką — był więc młody jak na zajmowane

stanowisko. Włosy miał ciemnobrązowe i krótko obcięte. Podejrzewała, że dłuższe

powinny się kręcić. Miał szczupłe, sprężyste ciało długodystansowca, chudą twarz, a oczy ciemnobrązowe tak jak włosy. Uśmiech Jacka wydawał się szczery i tworzył drobne

zmarszczki w kącikach jego oczu. Podobało jej się, jak Campbell pochyla głowę, żeby wysłuchać starszego wydawcy, a potem odwraca się do kogoś innego bez cienia

niegrzecznego pośpiechu.

Prawdziwa sztuka, pomyślała Neeve, zachowanie całkiem naturalne dla polityków, ale dla niewielu biznesmenów.

Mogła go obserwować nie zwracając niczyjej uwagi. Co takiego wydawało jej się

znajome w Jacku Campbellu? Coś. Na pewno już go spotkała. Ale gdzie?

Przeszedł kelner i Neeve wzięła następny kieliszek. Drugi i ostatni, ale przynajmniej, popijając wino, sprawiała wrażenie zajętej.

— Neeve Kearny, prawda?

W chwili, kiedy odwróciła się do Jacka plecami, ten podszedł do niej, by się

przypomnieć.

— Chicago, sześć lat temu. Wracaliś z nart, a ja byłem w podróży służbowej.

Zaczęliśmy rozmawiać pięć minut przed wylądowaniem samolotu. Byłaś bardzo

podekscytowana otwarciem sklepu odzieżowego. Jak ci poszło?

— Świetnie. — Neeve niejasno przypominała sobie wymianę zdań. Wyskoczyła z

samolotu w wariackim pośpiechu, żeby złapać połączenie. Praca. Tak to jest. — A ty właśnie zaczynałeś robotę u nowego wydawcy?

— Tak.

— Jak widać, podjąłeś słuszną decyzję.

— Jack, chciałbym, żebyś poznał kilka osób. — Redaktor naczelny „W” ciągnął go za rękaw.

— Nie chcę cię zatrzymywać — powiedziała szybko Neeve. — Tylko jedno pytanie.

Słyszałam, że pisze dla was książkę Ethel Lambston. Nie wiesz, gdzie mogę ją złapać?

— Mam jej domowy numer. Czy to pomoże?

— Dzięki, ja też mam. — Neeve uniosła rękę w szybkim geście odmowy. — Nie

powinnam cię zatrzymywać.

Odwróciła się i wśliznęła w tłum, nagle znużona paplaniną głosów, czując, że to był długi dzień.

Jak zwykle tłumek ludzi czekających na taksówki blokował chodnik przed wejściem

do hotelu. Neeve wzruszyła ramionami, przeszła do Piątej Alei i skierowała się w stronę śródmieścia. Wieczór był dość pogodny. Może iść skrótem przez park. Spacer do domu rozjaśni jej w głowie. Ale na Central Park South taksówka wyrzuciła pasażerów tuż pod jej nosem. Neeve zawahała się, a potem przytrzymała drzwi i wsiadła. Dalszy spacer na wysokich obcasach nagle stracił dla niej wszelki urok.

Nie widziała wyrazu rozczarowania na twarzy Denny'ego. Czekał cierpliwie przed

hotelem St. Regis i szedł za Neeve po Piątej Alei. Kiedy skręciła w stronę parku, myślał już, że nadarza mu się doskonała okazja.

O drugiej nad ranem Neeve ocknęła się z głębokiego snu. Śniło jej się, że stoi przed szafą Ethel i sporządza spis. Spis.

— Mam nadzieję, że pot ją zalewa, gdziekolwiek jest.

To było to. Płaszcz. Sobole. Kurtka. Peleryna. Burberry. Biały płaszcz. Palto.

Wszystkie wisiały na miejscu.

Ethel oddała artykuł w czwartek. Nikt jej nie widział w piątek. Oba dni były wietrzne i koszmarnie zimne. W piątek sypał śnieg. A wszystkie okrycia pisarki wisiały na miejscu w szafie...

* * *

Nicky Sepetti dygotał z zimna w wełnianej kamizelce, którą żona zrobiła mu na

drutach w tym roku, kiedy poszedł do więzienia. Nadal pasowała w ramionach, ale zwisała luźno wokół pasa. Stracił w więzieniu piętnaście kilogramów.

Tylko jedna przecznicą dzieliła jego dom od nabrzeża. Niecierpliwie potrząsając głową na troskliwą krzątanicę żony: „Nałóż szalik, Nicky, zapomniałeś, jak mocno wieje od oceanu” — pchnął frontowe drzwi i zamknął je za sobą. Zakręciło go w nosie od ostrego słonego powietrza. Odetchnął z przyjemnością. Wychował się w Brooklynie i matka często zabierała go autobusem na plażę Rockaway, żeby popływać. Trzydzieści lat temu kupił letni dom w Belle Harbor dla Marie i dzieciaków. Po procesie przeniosła się tam na stałe.

Siedemnaście lat, które skończyły się w zeszyły piątek! Pierwszy głęboki oddech poza murami więzienia wywołał fale bólu w klatce piersiowej. „Niech pan unika zimna”,

ostrzegali go lekarze.

Marie przygotowała wystawny obiad i napis: „Witaj w domu, Nicky”. Był taki

skonany, że w połowie posiłku poszedł do łóżka. Zadzwończyły dzieci, Nick junior i Tessa.

„Tatusiu, kochamy cię”, powiedzieli.

Nie pozwolił, żeby go odwiedzali w więzieniu. Tessa właśnie zaczynała studia, kiedy poszedł siedzieć. Teraz miała trzydzieści dwa lata, dwójkę dzieci i mieszkała w Arizonie.

Mąż nazywał ją Theresa. Nick junior zmienił nazwisko na Damiano, panięskie nazwisko Marie. Nicholas Damiano, dyplomowany księgowy w Connecticut.

— Nie przyjeżdżajcie teraz — ostrzegł ich Nicky. — Zaczekajcie, aż prasa przestanie węszyć.

Przez cały weekend zostali z Marie w domu, dwoje milczących obcych ludzi, podczas gdy kamery telewizyjne tylko czekały na jego wyjście.

Ale dzisiaj rano kamery zniknęły. Wczorajsza wiadomość. Oto, czym się stał. Chorym byłym więźniem. Nicky wciągnął słone powietrze i poczuł, jak wypełnia mu płuca.

Łysy facet w jednym z tych zwariowanych dresów podbiegł do niego i przystanął.

— Miło pana widzieć, panie Sepetti. Świetnie pan wygląda.

Nicky zmarszczył brwi. Nie chciał wysłuchiwać takiego gadania. Wiedział, jak

wygląda. Pół godziny wcześniej, po prysznicu, dokładnie i bezlitośnie obejrzał się w lustrze łazienki. Całkiem wyłysiał na czubku głowy, ale po bokach została mu jeszcze gęsta obwódka. Kiedy zaczynał odsiadkę, włosy miał czarne z nitkami siwizny — szpakowate, jak mówił fryzjer. Teraz te resztki przybrały odcień wyblakłej szarości albo brudnawej bieli, do wyboru. Dalsze oględziny również nie wypadły najlepiej. Wyłupiaste oczy, które zawsze go złościły, nawet kiedy był młodszy i całkiem przystojny, teraz wystawały jak u żaby.

Cienka zaogniona blizna na policzku odcinała się od bladej skóry. Utrata wagi nie poprawiła mu kondycji. Ciało wydawało się obwisłe, jak poduszka, z której wyjęto połowę pierza. Mężczyzna przed sześćdziesiątką. Miał czterdzieści dwa lata, kiedy go zamknęli.

— Tak, wyglądam świetnie — burknął. — Dziękuję.

Wiedział, że facet blokujący chodnik i szczerzący wielkie zęby w nerwowym

uśmiechu mieszka dwa lub trzy domy dalej, ale nie pamiętał jego nazwiska. Widocznie w jego głosie

zabrzmiała irytacja, bo biegaczowi zrzęda mina.

— W każdym razie cieszę się, że pan wrócił. — Uśmiech był teraz wymuszony. —

Piękny dzień, prawda? Dość zimno, ale czuje się wiosnę.

Jeśli potrzebuję prognozy pogody, to włączam radio, pomyślał Nicky i uniósł rękę w pożegnalnym geście.

— Tak, tak — mruknął i szybko ruszył na molo.

Wiatr ubijał kipiącą pianę na powierzchni oceanu. Nicky oparł się o poręcz, wspominając, jak uwielbiał w dzieciństwie jazdę na falach. Matka zawsze na niego wrzeszczała: „Nie wypływaj tak daleko! Utopisz się, zobaczysz”.

Niecierpliwie odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę plaży przy Dziewięćdziesiątej Ósmej Ulicy. Dojdzie tak daleko, żeby zobaczyć kolejkę górską, a potem zawróci. Chłopcy mieli po niego przyjechać. Najpierw wybiorą się do klubu, a potem na uroczysty lunch na Mulberry Street. To dowód szacunku dla niego, ale nie miał złudzeń. Siedemnaście lat to zbyt długa nieobecność. Zabrali się do rzeczy, na które nigdy by im nie pozwolił. Rozeszło się, że jest chory. Dokończą to, co rozpoczęli w ostatnich latach. Odstawią go na bok.

Dobrowolnie albo nie.

Joey został skazany razem z nim. Taki sam wyrok. Ale Joey wyszedł po sześciu latach i teraz rządził.

Myles Kearny. Mógł podziękować Mylesowi Kearny'emu za te dodatkowe jedenaście lat.

Nicky zgarbił się na wietrze i usiłował przełknąć dwie gorzkie pigułki. Dzieci

twierdziły, że go kochają, ale tak naprawdę wstydziły się go. Kiedy Marie pojechała do nich z wizytą, mówiła znajomym obojga, że jest wdową.

Tessa. Boże, jak go uwielbiała, kiedy była małą dziewczynką. Może popełnił błąd, że nie pozwolił się odwiedzać przez te wszystkie lata. Marie regularnie do niej jeździła. Tam i w Connecticut przedstawiała się jako pani Damiano. Chciał zobaczyć dzieci Tessy, ale jej mąż uważał, że trzeba zaczekać.

Marie. Nicky wyczuwał w niej pretensję za te wszystkie lata czekania. Gorzej niż pretensję. Próbowwała udawać, że wita go z radością, oczy jednak miała zimne i pełne jadu.

Czytał w jej myślach: „Za to, co zrobiłeś, Nicky, nawet wśród przyjaciół jesteśmy wyrzutkami”.

Marie skończyła dopiero pięćdziesiąt cztery lata, ale wyglądała o dziesięć starszej. Pracowała w dziale personalnym szpitala. Nie musiała, ale kiedy znalazła sobie tę pracę, powiedziała mu: „Nie mogę ciągle siedzieć zamknięta w czterech ścianach”.

Marie. Nick junior, nie, Nicholas, Tessa, nie, Theresa. Czy naprawdę by żalowali, gdyby Nicky zmarł na atak serca w więzieniu? Może gdyby wyszedł po sześciu latach jak Joey, nie byłoby za późno. Za późno na wszystko. Odsiedział te dodatkowe lata z powodu Mylesa Kearny’ego i dalej by kiblował, gdyby wykombinowali jakiś pretekst, żeby go tam trzymać.

Nicky minął Dziewięćdziesiątą Ósmą Ulicę, zanim sobie przypomniał, że nie zauważył niezgrabnych kształtów starej kolejki górskiej. Potem zobaczył z zaskoczeniem, że linię kolejki rozebrano. Zawrócił po własnych śladach, wepchnąwszy zmarznięte dłonie do kieszeni, kuląc ramiona na wietrze. W ustach miał smak żółci, zagłuszający słoną świeżość oceanu na wargach...

Samochód czekał, kiedy Nicky wrócił do domu. Louie siedział za kierownicą. Louie, jedyny facet, do którego zawsze mógł się odwrócić plecami. Louie, który nie zapominał o przysługach.

— Jak tylko będzie pan gotowy, pojedziemy, Don Sepetti — powiedział Louie. —

Dobrze znowu tak do pana mówić. — Nie udawał.

Wszedłszy do domu, by zmienić sweter na marynarkę od garnituru, Nicky dostrzegł

śląd posępnej rezygnacji w oczach Marie. Przypomniał sobie szkołę średnią, kiedy musiał

napisać streszczenie opowiadania. Wybrał historię człowieka, który znika, a żona uznaje go za zmarłego i „układa sobie wygodnie życie jako wdowa”. Marie też wygodnie ułożyła sobie życie bez niego.

Spójrzmy prawdzie w oczy. Nie chciała jego powrotu. Dzieci też odetchnęłyby z ulgą, gdyby zniknął jak Jimmy Hoffa. Jeszcze bardziej wolałyby miłą, czystą, naturalną śmierć, której nie musiałyby później wyjaśniać własnym dzieciom. Gdyby tylko wszyscy troje wiedzieli, jak niewiele ich dzieli od takiego rozwiązania.

— Chcesz zjeść kolację po powrocie do domu? — zapytała Marie. — Bo wiesz,

pracuję od południa do dziewiątej. Mam coś przygotować i zostawić w lodówce?

— Nie trzeba.

Milczał podczas jazdy przez Fort Hamilton Parkway i potem, przez tunel Brooklyn-

Battery, na dolny Manhattan. W klubie nic się nie zmieniło. Wciąż ta niechlujna zewnętrzna fasada. W środku stół do kart z krzesłami ustawionymi już do następnej gry; ogromny zaśniedziały ekspres do kawy; płatny telefon na podsłuchu, o czym wszyscy wiedzieli.

Jedyną różnicę stanowiło zachowanie rodziny. Och, oczywiście, zebrali się wokół niego, okazywali szacunek, i fałszywie uśmiechali się na powitanie. Ale on to wiedział.

Był zadowolony, kiedy przyszła pora jechać na Mulberry Street. Mario, właściciel restauracji, przynajmniej pozornie ucieszył się na jego widok. Prywatny pokój czekał na nich. Zakąski i pasta należały do ulubionych dań Nicky'ego przed więzieniem. Zaczął się odprężyć, poczuł, jak dawna siła napływa powoli do jego ciała. Zaczekał, aż podano deser, cannoli z gęstą czarną kawą espresso. Potem przebiegł spojrzeniem po twarzach dziesięciu mężczyzn, którzy siedzieli w dwóch rzędach niczym identyczne zestawy ołowianych

żołnierzyków. Kiwnął głową, witając tych po prawej stronie, a potem tych na lewo. Dwie twarze były dla niego nowe. Jedną zaakceptował. Druga została mu przedstawiona jako

„Carmen Machado”.

Nicky przyjrzał się uważnie nieznanemu. Około trzydziestki, gęste ciemne włosy i brwi, tępy nos, facet chudy, ale twardy. Kręcił się tu od trzech, czterech lat. Siedział w pierdlu za kradzież samochodów, kiedy Alfie go poznał, powiedzieli. Nicky instynktownie mu nie ufał. Postanowił wycisnąć z Joeya, ile właściwie wiedzą o tym gościu.

Zatrzymał wzrok na kumplu. Joey, który wyszedł po sześciu latach i przejął kontrolę nad interesami, kiedy on, Nicky, siedział w pudle. Okrągłą twarz kompana z więzienia przecinały zmarszczki, które udawały uśmiech. Joey wyglądał jak kot, który zjadł kanarka.

Nicky poczuł palący ból w piersi. Obiad nagle zaciążył mu w żołądku.

— Okay, gadaj — zwrócił się do Joeya. — O co ci chodzi? Kumpel dalej się uśmiechał.

— Z całym szacunkiem, mam dla ciebie wspaniałe nowiny. Wszyscy wiemy, co myślisz o tym sukinsynu Kearnym. Zaczekaj, aż to usłyszysz. Jest kontrakt na jego córkę. I to nie nasz. Steuber chce ją sprzątnąć. Prawie jakby robił ci prezent.

Nicky poderwał się i trzasnął pięścią w stół. Ogarnięty furją, walił mocno w ciężki dąb.

— Wy głupie dranie! — wrzasnął. — Wy śmierdzące głupie dranie! Odwołajcie to.

Na chwilę zawadził wzrokiem o tego Machado i nagle wiedział, że patrzy w twarz gliniarza.

— Macie to odwołać. To mój rozkaz, rozumiano?

Wyraz twarzy Joeeya zmieniał się od strachu poprzez troskę do żalu.

— Nicky, przecież wiesz, że to niemożliwe. Nikt nie może odwołać kontraktu. Za późno.

Piętnaście minut później Sepetti siedział obok milczącego Louiego za kierownicą w powrotnej drodze do Belle Harbor. Pulsujący ból palił go w klatce piersiowej.

Nitrogliceryna pod językiem nie pomagała. Kiedy załatwią córkę Kearny'ego, gliny nie spoczną, dopóki mu nie przykleją morderstwa — Joey o tym wiedział.

Z przerażeniem uświadomił sobie, że popełnił głupstwo, ostrzegając dawnego kompana przed Machadem.

— Nie ma mowy, żeby ten facet pracował na Florydzie dla rodziny Palino —

powiedział Joey owi. — Nawet go nie sprawdziłeś, co? Ty tępy bucu, kablujesz gliniarzowi za każdym razem, jak tylko otwierasz gębę.

We wtorek rano Seamus Lambston obudził się po czterech godzinach snu

nawiedzanego przez koszmary. Zamknął lokal o drugiej trzydzieści, trochę poczytał gazetę i cicho wśliznął się do łóżka, starając się nie zbudzić Ruth.

Kiedy dziewczynki były małe, mógł spać do późna i przychodzić do baru w południe.

Wracał do domu na wczesny obiad z rodziną, a potem zostawał w lokalu do zamknięcia.

Ale w ostatnich latach, kiedy obroty nieubłaganie się zmniejszały, a czynsz podwoił się i znowu podwoił, Seamus zwolnił barmanów i kelnerów i ograniczył menu restauracyjne do kanapek. Sam robił zakupy, przychodził do baru o ósmej albo ósmej trzydzieści i zostawał

do zamknięcia, przełykając tylko pośpieszny obiad. A jednak wciąż nie mógł wyjść na swoje.

Twarz Ethel prześladowała go we śnie. Jej wytrzeszczone oczy, kiedy się złościła.

Szyderczy uśmiech, który starł z jej twarzy.

Kiedy przyjechał do mieszkania byłej żony w czwartek po południu, wyjął fotografię dziewczynek.

— Ethel — prosił — spójrz na nie. Potrzebują pieniędzy, które ci płacę. Zlituj się.

Wzięła zdjęcie i obejrzała je dokładnie.

— One powinny być moje — powiedziała, oddając mu fotkę.

Teraz żołądek kurczył mu się z niepokoju. Termin płacenia alimentów przypadał piątego. Jutro. Czy odważy się nie wypisać czeku?

Była siódma trzydzieści i Ruth już wstała. Seamus słyszał plusk prysznic.

Wygramolił się z łóżka i poczłapał do pokoju, który służył mu za domowy gabinet.

Pomieszczenie wypełniało ostre światło wczesnego poranka. Usiadł przy biurku z

żałuzjowym zamknięciem, które należało do jego rodziny od trzech pokoleń. Ruth

nienawidziła tego mebla. Pragnęła zastąpić wszystkie stare, ciężkie sprzęty nowoczesnymi, w jasnych, pastelowych kolorach. „Przez te wszystkie lata nie kupiłam nawet nowego krzesła — lubiła wypominać mężowi. — Zostawiłeś Ethel wszystkie swoje najlepsze

meble, kiedy zerwaliście, a ja muszę mieszkać wśród tych gratów od twojej matki. Jedyne nowe meble, które miałam, to były kołyski i łóżka dla dziewczynek, i wcale nie takie, jakie mi się podobały”.

Seamus odłożył na później bolesną decyzję o czeku dla Ethel, żeby wypisać kilka

innych. Gaz i elektryczność, czynsz, telefon. Sześć miesięcy wcześniej zrezygnowali z telewizji kablowej. W ten sposób zaoszczędzili dwadzieścia dwa dolary miesięcznie.

Z kuchni dobiegł hałas czajnika stawianego na gazie. Kilka minut później Ruth weszła do gabinetu ze szklanką soku pomarańczowego i filiżanką parującej kawy na małej tacy.

Uśmiechała się i przez chwilę przypominała mu tę cichą, ładną kobietę, którą poślubił trzy miesiące po rozwodzie. Żona nie lubiła czułych gestów, ale kiedy postawiła tacę na biurku, pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy.

— Dopiero teraz to do mnie dociera, kiedy widzę, jak wypisujesz miesięczne czeki —

powiedziała. — Żadnych więcej pieniędzy dla Ethel. O Boże, wreszcie możemy odetchnąć.

Uczcijmy to dziś wieczorem. Weź kogoś na zastępstwo. Od miesięcy nie wychodziliśmy na kolację.

Seamus poczuł, że żołądek mu się skręca. Mocny aromat kawy nagle przyprawił go o mdłości.

— Skarbie, mam tylko nadzieję, że ona nie zmieni zdania — bąknął. To znaczy, nie

dała mi nic na piśmie. Nie sądzisz, że powinienem wystawić jej czek jak zwykle i poczekać, aż go odeśle? Naprawdę uważam, że tak będzie najlepiej. Ponieważ wtedy będziemy mieli coś legalnego, to znaczy dowód, że Ethel się zgadza, żebym przestał płacić.

Od piekącego policzka głos uwiązł mu w gardle, a głowa odskoczyła na lewe ramię.

Podniósł wzrok i zamrugał, widząc morderczą furię na twarzy żony. Widział taki sam wyraz na innej twarzy kilka dni wcześniej.

Potem gniew Ruth rozplątał się we łzach, a na policzkach wykwitły jej jaskrawoczerwone plamy.

— Seamus, przepraszam. Po prostu nie wytrzymałam. — Głos jej się załamał.

Przygryzła wargę i wyprostowała ramiona. — Ale żadnych czeków więcej. Niech Ethel dotrzyma słowa. Prędzej się zabiję, niż pozwolę, żebyś dalej jej płacił.

W środę rano Neeve powiedziała Mylesowi, że martwi się o Ethel Lambston. Ze zmarszczonym czołem, smarując twaróżkiem grzankę z bajgla, wypowiedziała na głos myśli, które nie dawały jej spać przez pół nocy.

— Jest dostatecznie roztrzepana, żeby odlecieć bez nowych ubrań, ale umówiła się z bratankiem na piątek.

— A raczej on tak twierdzi — wtrącił Myles.

— Właśnie. Wiem, że w czwartek oddała swój artykuł. W czwartek był mróz, a później zaczął padać śnieg. Piątek był jak środek zimy.

— Zmieniasz się w meteorologa — zauważył ojciec.

— Przestań, Myles. Uważam, że coś się stało. Wszystkie ciepłe płaszcze Ethel wiszą w szafie.

— Słuchaj, ta kobieta będzie żyła wiecznie. Już widzę, jak Bóg i diabeł wciskają ją sobie nawzajem: „Bierz ją, jest twoja”. — Myles uśmiechnął się z własnego dowcipu.

Neeve pokazała mu język, zirytowana, że nie traktował jej obaw poważnie, ale

wdzięczna za żartobliwy ton. Przez uchylone kuchenne okno wpadała bryza znad rzeki Hudson, maskująca słonawym posmakiem nieuniknione spaliny tysięcy samochodów,

jadących po Henry Hudson Parkway. Śnieg topniał równie szybko, jak się pojawił. W

powietrzu czuło się wiosnę i chyba ten fakt podniósł Mylesa na duchu. A może było to coś innego?

Neeve wstała, podeszła do kuchenki, sięgnęła po dzbanek z kawą i na nowo napełniła obie filiżanki.

— Jesteś dzisiaj jakiś weselszy — skomentowała. — Czy to znaczy, że przestałeś się przejmować Nickym Sepettim?

— Powiedzmy, że rozmawiałem z Herbem i mam pewność, że nawet kiedy Nicky czyści zęby, jeden z naszych chłopców ogląda mu ubytki.

— Rozumiem. — Neeve знаła ojca wystarczająco dobrze, żeby nie pytać więcej. —

No, skoro przestałeś trząść się nade mną... — Spojrzała na zegarek. — Muszę lecieć.

Przy drzwiach się zawahała.

— Myles, znam ubrania Ethel jak własne. Zniknęła w czwartek albo w piątek, w trzaskający mróz, bez ciepłego okrycia. Jak to wyjaśnisz?

Ojciec zaczął już czytać „Timesa”. Teraz odłożył gazetę z cierpliwą miną.

— Zagrajmy w udawanie — zaproponował. — Udawajmy, że Ethel zobaczyła na cudzej wystawie płaszcz i zdecydowała, że właśnie takiego potrzebuje.

Ta gra w udawanie zaczęła się, kiedy Neeve miała cztery latka i wypila zabronioną puszkę coca-coli. Podniosła wzrok od otwartych drzwi lodówki, gdzie z rozkoszą sączyła ostatnie krople, i zobaczyła Mylesa mierzącego ją groźnym wzrokiem. „Mam dobry

pomysł, tato — powiedziała spiesznie. — Zagrajmy w udawanie. Udawajmy, że cola to sok jabłkowy”.

Nagle zrobiło jej się głupio.

— Właśnie dlatego ty jesteś gliną, a ja prowadzę sklep z odzieżą mruknęła.

Ale zanim wzięła prysznic i ubrała się w ciepły kakaowobrazowy kaszmirowy żakiet z wyłogami i wywijanymi rękawami oraz miękko przymarszczoną czarną wełnianą spódnicę do pół łydki, odnalazła lukę w rozumowaniu Mylesa. Dawno temu cola nie zmieniała się w sok jabłkowy, a teraz Neeve mogła się założyć o cały swój majątek, że Ethel nie kupiła płaszcza u nikogo innego.

W środę rano Douglas Brown obudził się wcześniej i zaczął dzień od umocnienia swojej dominacji w apartamencie ciotki. Zeszłego wieczora po powrocie z pracy przeżył

przyjemną niespodziankę, kiedy zastał mieszkanie wysprzątane na wysoki połysk i nawet uporządkowane, o ile to możliwe przy stosach papierzysk Ethel. Znalazł w zamrażarce kilka gotowych dań, wybrał lasanię i sączył zimne piwo, kiedy włożył ją do kuchenki.

Zaniósł tacę do salonu i zasiadł do jedzenia przed nowym, potężnym, czterdziestocalowym telewizorem Ethel.

Teraz, leżąc na łożu z baldachimem w luksusowej jedwabnej pościeli, rozglądał się po sypialni. Jego walizka wciąż stała na szeszlunku, garnitury zwisały z oparcia krzesła. Niech to szlag. Nie powinien raczej używać drogocennej szafy ciotki, ale mógł przecież

skorzystać z mniejszej.

Ta druga wyraźnie służyła jako graciarnia. Douglas zdołał upchnąć albumy ze

zdjęciami, sterty katalogów i stosy czasopism na tyle, żeby wykorzystać wieszaki do powieszenia garniturów.

Nastawił kawę i wziął prysznic, podziwiając lśniące białe kafelki. Perfumy i kremy Ethel stały teraz równiutko na szklanej półeczce na prawo od drzwi. Nawet ręczniki leżały poskładane w Szafce łazienkowej. Zmarszczył brwi, uderzony pewną myślą. Pieniądze. Czy ta Szwedka, która sprzątała u Ethel, znalazła pieniądze?

Doug wyskoczył spod prysznica, wytarł się energicznie, owinał ręcznikiem w pasie i pośpieszył do salonu. Zostawił pojedynczą studolarówkę pod dywanem obok fotela z

poręczami. Wciąż tam leżała. Więc albo ta mała Szwedka była uczciwa, albo nie zauważyła banknotu.

Ethel to taka frajerka, stwierdził w duchu. Co miesiąc, kiedy przychodził czek od jej byłego, kazała sobie wypłacać w setkach. „Moja zwariowana forsa”, powiedziała. Właśnie tymi pieniędzmi płaciła, kiedy zabrała Douga na obiad do kosztownej restauracji. „Oni jedzą fasolę, a my opychamy się kawiozem — chichotała. — Czasami przepuszczam

wszystko przez miesiąc. Czasami setki się gromadzą. Co jakiś czas robię przegląd i odsyłam resztki mojemu księgowemu na ubrania. Restauracje i stroje. Tyle mi funduje ten głupi palant przez te wszystkie lata”.

Doug śmiał się razem z ciotką i stukał z nią kieliszkiem, kiedy wznosili toast za tego palanta Seamusa. Ale owego wieczoru zorientował się, że Ethel nigdy nie pamięta, ile pieniędzy schowała w mieszkaniu, tak więc nie zauważy kilku brakujących setek na

miesiąc, które on sobie przywłaszczał przez ostatnie dwa lata. Kilka razy coś podejrzewała, ale jak tylko podejmowała temat, Doug udawał oburzenie i zawsze się wycofywała.

— Gdybyś tylko zapisywała, na co wydajesz forszę, nie musiałabyś szukać! —

krzyczał.

— Przepraszam, Doug — odpowiadała. — Znasz mnie. Coś mnie ugryzie i zaczynam naskakiwać na ludzi.

Odepchnął od siebie wspomnienie ostatniej rozmowy, kiedy kazała mu coś załatwić w piątek i uprzedziła, żeby nie spodziewał się napiwku.

— Posłuchałam twojej rady — oświadczyła — i zapisuję wydatki. Przybiegł tutaj

przekonany, że potrafi ją ugłaskać, że gdyby go wyrzuciła, nie miałaby kim pomiatać...

Kiedy kawa się zaparzyła, Doug nalał sobie filiżankę i wrócił do sypialni, by się ubrać.

Zawiązując krawat, krytycznie obejrzał własne odbicie w lustrze. Wyglądał dobrze. Masaże twarzy, które zaczął brać za pieniądze podwędzone Ethel, oczyściły mu cerę. Znalazł

również przyzwoitego fryzjera. Dwa niedawno kupione garnitury leżały na nim tak, jak ubranie powinno leżeć. Nowa recepcjonistka w Cosmic robiła do niego słodkie oczy. Nie ukrywał przed nią, że przyjął tę nędzną biurową pracę tylko dlatego, że pisze sztukę. Znała nazwisko Ethel. „Ty też jesteś pisarzem”, westchnęła z podziwem. Miał ochotę

przyprowadzić tutaj Linde. Ale musiał uważać, przynajmniej na razie...

Przy drugiej filiżance kawy Doug metodycznie przewertował papiery na biurku Ethel.

Jeden rozciągliwy tekturowy segregator był oznaczony „ważne”. Przejrzał go i krew odpłynęła mu z twarzy. Ta stara torba Ethel miała akcje największych firm! Była

właścicielką nieruchomości na Florydzie! Miała polisę ubezpieczeniową na milion dolarów!

W ostatniej przegródce segregatora znajdowała się kopia jej testamentu. Nie wierzył własnym oczom, kiedy go przeczytał.

Wszystko. Wszystko zostawiła jemu, co do centa. A warta była sporo.

Spóźniał się do pracy, ale to nie miało znaczenia. Rozwiesił ubrania z powrotem na oparciu kanapy, starannie zasłał łóżko, wyniósł popielniczki, ułożył kołdrę, poduszkę i prześcieradła na kanapie jako sugestię, że tam właśnie spał, i napisał liścik:

„Kochana ciociu Ethel. Pewnie znowu wyjechałaś w niespodziewaną podróż.

Wiedziałem, że się nie pogniewasz, jeśli przekimam się na kanapie, dopóki nie wykończą mojego nowego mieszkania. Mam nadzieję, że bawisz się dobrze. Twój kochający bratanek, Doug”.

W ten sposób określiłem charakter naszego związku, pomyślał i zasalutował fotografii Ethel, wiszącej na ścianie obok wejściowych drzwi.

O trzeciej w środowe popołudnie Neeve zostawiła wiadomość na sekretarce Tse-tse.

Godzinę później aktorka oddzwoniła.

— Neeve, właśnie mieliśmy próbę kostiumową. Moim zdaniem sztuka jest świetna —

paplała. — Muszę tylko podać indyka i powiedzieć: „Tak”, ale nigdy nie wiadomo. Joseph Papp może być na widowni.

— Jeszcze zostaniesz gwiazdą — powiedziała Neeve całkiem szczerze. — Dopiero

będę się przechwalać: „Znałam ją jeszcze wtedy”. Tse-tse, muszę iść do mieszkania Ethel.

Masz jeszcze jej klucz?

— Z nikim się nie kontaktowała? — Głos dziewczyny stracił radosne brzmienie. —

Neeve, dzieje się coś dziwnego. Ten jej stuknięty bratanek. Śpi w łóżku Ethel i pali w sypialni. Albo nie spodziewa się jej powrotu, albo wszystko mu jedno, czy go wyrzuci na zbity pysk.

Neeve wstała. Nagle poczuła się uwięziona za biurkiem, a suknie, torebki i biżuteria rozrzucone po gabinecie wydały jej się straszliwie nieważne. Przebrała się w dwuczęściową garsonkę od jednego z najnowszych projektantów. Jasnoszara wełna ze srebrnym pasem opadającym na biodra. Tulipanowa spódnica, ledwie sięgająca kolan. Jedwabny szal w odcieniach brzoskwiniowym, srebrnym i szarym, zamotany luźno na szyi. Dwie klientki zamówiły ten komplet, kiedy ją zobaczyły tak ubraną w dziale sprzedaży.

— Tse-tse — poprosiła — czy mogłabyś znowu przyjść do mieszkania Ethel jutro

rano? Jeśli wróciła, to świetnie. Powiesz, że martwiłaś się o nią. Jeśli zastaniesz tylko jej bratanka, czy możesz wyjaśnić, że Ethel zleciła ci jakąś dodatkową robotę, na przykład wysprzątanie szafek kuchennych?

— Jasne — zgodziła się Tse-tse. — Z rozkoszą. Pamiętaj, że to off-off-Broadway.

Żadnej kasy, tylko prestiż. Ale muszę cię uprzedzić, że Ethel nie martwi się stanem swoich szafek kuchennych.

— Jeśli wróci i nie zechce ci zapłacić, sama to zrobię — obiecała Neeve. —

Zamierzam pójść z tobą. Wiem, że ma terminarz na biurku. Chciałabym się zorientować, jakie miała plany, zanim zniknęła.

Umówiły się na następny rano o ósmej trzydzieści w westybulu. Nadeszła godzina

zamknięcia sklepu i Neeve zamknęła na klucz wejście od Madison. Wróciła do gabinetu, żeby spokojnie popracować za biurkiem, o siódmej zadzwoniła do rezydencji kardynała przy Madison Avenue 1 połączono ją z biskupem Devinem Stantonem.

— Dostałem twoją wiadomość — powiedział. — Z przyjemnością przyjdę na obiad

jutro wieczorem, Neeve. Sal też będzie? To dobrze. Trzej muszkietierowie z Bronksu za rzadko się ostatnio spotykają. Nie widziałem Sala od Gwiazdki. Czy przypadkiem znowu się nie ożenił?

Na sam koniec rozmowy biskup przypomniał Neeve, że jego ulubione danie to pasta alpesto.

— Tylko twoja matka robiła to lepiej od ciebie, niech spoczywa w pokoju —

powiedział łagodnie.

Devin Stanton zwykle nie wspominał o Renacie w banalnych rozmowach

telefonicznych i Neeve nagle nabrała podejrzeń, że rozmawiał z Mylesem o wypuszczeniu Nicky'ego Sepettiego. Odłożyła słuchawkę, zanim zdążyła go przycisnąć w tej sprawie.

Dostaniesz swoje pesto, wujku Dev, pomyślała, ale dostaniesz również porządną burę. Nie mogę pozwolić, żeby ojciec trząsał się nade mną do końca życia.

Tuż przed wyjściem zadzwoniła do mieszkania Sala. Jak zwykle tryskał dobrym humorem.

— Skąd, wcale nie zapomniałem o jutrzejszym wieczorze. Co przygotujesz? Przyniosę wino. Twojemu ojcu tylko się zdaje, że zna się na winie.

Śmiejąc się razem z nim, Neeve odłożyła słuchawkę. Pogasiła światła i wyszła ze

sklepu. Kapryśna kwietniowa pogoda znowu przyniosła ochłodzenie, ale Neeve czuła

nieprzepartą potrzebę długiego spaceru. Ze względu na Mylesa nie biegła prawie od tygodnia i całe ciało miała sztywne.

Przeszła szybko z Madison na Piątą Aleję i postanowiła pójść skrótem przez park przy Siedemdziesiątej Dziewiątej. Zawsze starała się unikać miejsca na tyłach muzeum, gdzie znaleziono ciało Renaty.

Madison Avenue wciąż była zatłoczona przechodniami i samochodami. Na Piątej

taksówki, limuzyny i lśniące prywatne auta przemykały obok ze świstem, ale po zachodniej stronie ulicy, graniczącej z parkiem, prawie nie było już ludzi. Neeve postanowiła wziąć byka za rogi i nieustraszenie ruszyła w stronę Siedemdziesiątej Dziewiątej.

Właśnie skręcała do parku, kiedy obok niej zahamował policyjny samochód.

— Panna Kearny. — Uśmiechnięty sierżant opuścił szybę w oknie. Jak tam komisarz?

Neeve rozpoznała sierżanta. Kiedyś był kierowcą Mylesa. Podeszła, żeby z nim porozmawiać.

Kilka kroków za nią Denny zatrzymał się gwałtownie. Ubrany był w długi,

bezkształtny płaszcz z postawionym kołnierzem i wełnianą czapkę. Twarz miał prawie całkiem zakrytą. A jednak czuł przewiercające go na wylot oczy gliniarza z wozu

patrolowego. Gliny mają dobrą pamięć do twarzy, wystarczy im nawet kawałek profilu, żeby rozpoznać człowieka, Denny o tym wiedział. Ruszył dalej, ignorując Neeve i nie zwracając uwagi na gliny, ale wciąż czuł na sobie ich wzrok. Zobaczył tuż obok przystanek autobusowy. Kiedy autobus podjechał, Adler wmieszał się w tłumek czekających pasażerów i wsiadł. Płacąc za bilet, czuł krople potu na czole. Jeszcze sekunda i ten gliniarz mógł go rozpoznać.

Nadaşany Denny zajął miejsce. Ta robota była warta więcej, niż mu płacili. Kiedy

Neeve Kearny pójdzie do piachu, czterdzieści tysięcy nowojorskich gliniarzy wyruszy na polowanie.

Wchodząc do parku, Neeve zastanawiała się, czy spotkała sierżanta Collinsa wyłącznie przez przypadek. A może, rozmyślała, idąc szybko ścieżką, Myles namówił najlepszego nowojorskiego glinę, żeby odgrywał rolę anioła stróża?

Widziała sporo biegaczy, niewielu rowerzystów, kilku przechodniów i tragicznie wielu bezdomnych leżących pod warstwami gazet lub wystrzępionych koców. Mogą tu umrzeć i nikt nie zauważy, myślała Neeve, kiedy jej miękkie włoskie buty bezgłośnie poruszały się po ścieżce. Ku swojej irytacji przyłapała się na tym, że wciąż zerka przez ramię. Jako nastolatka poszła do biblioteki i znalazła w brukowej prasie zdjęcia ciała matki. Teraz, coraz bardziej przyśpieszając kroku, doznała upiornego wrażenia, że znowu ogląda tamte fotografie. Ale tym razem widziała własną twarz, nie Renaty, na pierwszej stronie „Daily News” pod wielkim nagłówkiem: ZAMORDOWANA.

Kitty Conway zapisała się do szkoły jeździeckiej w Morrison State Park tylko z

jednego powodu. Musiała jakoś wypełnić sobie czas. Była ładną kobietą w wieku

pięćdziesięciu ośmiu lat, z rudoblond włosami i szarymi oczami, podkreślonymi przez otaczające je cienkie zmarszczki. Niegdyś w tych oczach wiecznie tańczył radosny, przekorny błysk.

Przekroczywszy pięćdziesiątkę, Kitty zapytała Michaela:

— Dlaczego wciąż czuję się jak dwudziestolatka?

— Bo masz dwadzieścia lat — odpowiedział.

Michael nie żył prawie od trzech lat. Ostrożnie windując się na grzbiet kasztanowej klaczy, Kitty rozpamiętywała wszystkie swoje zajęcia przez te trzy lata. Była teraz licencjonowaną agentką nieruchomości — i to cholernie dobrą agentką. Przebudowała dom w Ridgewood w New Jersey, który kupili z Michaeliem zaledwie rok przed jego śmiercią.

Aktywnie uczestniczyła w zwalczaniu analfabetyzmu. Jeden dzień w tygodniu poświęcała na ochotniczą pracę w muzeum. Odbyła dwie podróże do Japonii, gdzie stacjonował Mikę junior, jej jedyny syn, zawodowy oficer, i spędziła cudowne chwile ze swoją półjapońską wnuczką.

Rozpoczęła również z entuzjazmem lekcje gry na fortepianie. Dwa razy w

tygodniu odwoziła niesprawnych pacjentów do lekarza, zaś najnowszą jej pasją była jazda konna. Bez względu jednak na to, co robiła, bez względu na to, ilu nowych przyjaciół

znalazła, zawsze prześladowało ją poczucie samotności. Nawet teraz, kiedy dzielnie dotrzymywała kroku innym uczniom jadącym za instruktorem, czerwona aureola wokół

drzew, będąca świetlistą zapowiedzią wiosny, napawała ją jedynie głębokim smutkiem.

— Och, Michael — szepnęła — wcale nie jest mi łatwiej. Chociaż naprawdę się staram.

— Jak ci idzie, Kitty? — zawołał instruktor.

— Dobrze! — odkrzyknęła.

— Jeśli nie chcesz spaść, ściągnij wodze. Pokaż jej, kto tu rządzi. I pięty niżej.

— Dobra.

Idź do diabła, pomyślała Kitty. Ta cholerna szkapą jest najgorsza z całej stajni. Miałam dostać Charleya, ale oczywiście przydzielili go tej nowej seksownej dziewczynie.

Szlak wznosił się stromo i klacz przystawała przy każdej kępcie zieleni obok drogi.

Pozostali uczniowie mijali Kitty jeden po drugim. Nie chciała odłączyć się od grupy.

— No rusz się, cholero! — mruknęła i kopnęła piętami w boki konia.

Nagłym ruchem klacz odrzuciła głowę do tyłu, a potem stanęła dęba. Zaskoczona

Kitty szarpnęła za wodze, kiedy wierzchowiec skręcił w boczną ścieżkę. Gorączkowo usiłowała pamiętać, żeby nie pochyłać się do przodu. Siedź prosto, kiedy masz kłopoty!

Wyczuwała luźne kamienie ślizgające się pod kopytami. Nierówny cwał przeszedł w galop, w dół zbocza, po niepewnym gruncie. Dobry Boże, jeśli koń upadnie, zmiżdzy ją!

Próbowała wysunąć buty ze strzemion i przytrzymywać się tylko noskami, żeby

wierzchowiec nie powlókł jej za sobą, gdyby spadła.

Za sobą słyszała krzyki instruktora: „Nie ściągaj wodzy!”. Klacz potknęła się, kiedy umknął jej spod tylnej nogi kamień. Przechyliła się do przodu, ale odzyskała równowagę.

Kawałek czarnego plastiku wleciał w powietrze i drasnął policzek Kitty. Spojrzała w dół i przez mgnienie wydawało się jej, że widzi rękę wystającą z jaskrawoniebieskiego mankietu.

Koń dotarł do dna skalnej rozpadliny i gryząc wędzidło, pogalopował po płaskim

terenie w stronę stajni. Kitty zdołała się utrzymać niemal do ostatniej chwili i wyleciała z siodła, kiedy zwierzę zahamowało ostro obok koryta z wodą. Każda kość w jej ciele jęknęła przy uderzeniu o ziemię. Podniosła się jakoś, potrząsnęła rękami i nogami, pokręciła głową na boki. Dzięki Bogu, niczego sobie nie złamała ani nie zwichnęła.

Instruktor nadjechał galopem.

— Mówiłem ci, że musisz nad nią panować. Ty jesteś szefem. Nic ci nie jest?

— Nigdy nie czułam się lepiej — odparła Kitty i ruszyła do samochodu. —

Zobaczymy się w następnym tysiącleciu!

Pół godziny później, odpoczywając w parującej, spienionej wannie jacuzzi, Kitty

zaczęła się śmiać. Więc nie zostanę mistrzem rodeo, pomyślała. To tyle na temat

królewskiego sportu. Odtąd po prostu będzie uprawiała jogging jak rozsądna istota ludzka.

Odtworzyła w pamięci okropne przeżycie. Pewnie trwało najwyżej dwie minuty, pomyślała.

Najgorzej było, kiedy ta wstrętna klacz się poślizgnęła... Powróciło wspomnienie kawałka plastiku przelatującego obok jej twarzy. A potem widok dłoni wystającej z błękitnego rękawa. Niedorzeczne. Ale przecież to widziała, prawda?

Zamknęła oczy, rozkoszując się kojącą, wirującą wodą i zapachem olejków

kąpielowych.

Zapomnij o tym, powiedziała sobie.

Ze względu na ostry wieczorny chłód w mieszkaniu nadal działało ogrzewanie.

Pomimo to Seamus czuł się przemarznięty do szpiku kości. Przesunąwszy kilkakrotnie po talerzu hamburgera i frytki, przestał udawać apetyt. Zdawał sobie sprawę, że Ruth przewierca go na wylot spojrzeniem.

— Zrobiłeś to? — zapytała wreszcie. — Nie.

— Dlaczego?

— Bo chyba lepiej wszystko tak zostawić.

— Kazałam ci zrobić to na piśmie. Podziękować jej za wyrażenie zgody, że ty

potrzebujesz pieniędzy, a ona nie potrzebuje. — Żona podniosła głos. — Powiedz jej, że przez te dwadzieścia dwa lata zapłaciłeś prawie ćwierć miliona dolarów jako dodatek do wielkiego

odszkodowania i nieprzyzwoicie jest żądać więcej za małżeństwo, które trwało niecałe sześć lat. Pogratuluj jej wspaniałej umowy na nową książkę, napisz, że cieszysz się, że Ethel nie potrzebuje pieniędzy, ale twoje dzieci na pewno ich potrzebują. Potem podpisz list i wrzuć do jej skrzynki. Zachowamy kopię. A jeśli zacznie jazgotać, cały świat się dowie, jaka z niej pazerna hipokrytka. Zobaczymy, ile uniwersytetów przyzna jej honorowy doktorat, jeśli się wycofa.

— Ethel karmi się groźbami — szepnął Seamus. — Opublikuje ten list i przedstawi alimenty jako triumf kobiecej siły. To błąd.

Ruth odepchnęła talerz.

— Napisz to!

W gabinecie mieli starą kserokopiarkę. Dopiero po trzech próbach otrzymali czytelną kopię listu. Żona podała Seamusowi płaszcz.

— Teraz idź tam i wrzuć list do jej skrzynki.

Postanowił przejść dziewięć przecznic piechotą. Z głową żałośnie zwieszoną, z rękami wciśniętymi w kieszenie, miętosił w palcach dwie koperty. Jedna zawierała czek. Oderwał

go z tyłu książeczki czekowej i wypisał bez wiedzy Ruth. List był w drugiej kopercie. Którą powinien włożyć do skrzynki Ethel? Tak wyraźnie, jakby stanęła przed nim, widział jej reakcję na list. Równie plastycznie wyobrażał sobie, co zrobi żona, gdyby zostawił czek.

Na rogu West End Avenue skręcił w Osiemdziesiątą Drugą. Nadal kręciło się tu sporo ludzi. Młode pary robiące zakupy po drodze z pracy dźwigały torby artykułów

spożywczych. Dobrze ubrani ludzie w średnim wieku przywoływali taksówki, wybierając się do teatru albo na kosztowną kolację. Wykolejeńcy kulili się pod murami z piaskowca.

Seamus drżał, podchodząc do domu Ethel. Skrzynki pocztowe znajdowały się w

westybulu za zamkniętymi na klucz głównymi drzwiami na szczycie schodów. Zawsze,

kiedy spóźniał się z czekiem, dzwonił do dozorczy, który wpuszczał go i pozwalał wrzucić czek do skrzynki. Ale dzisiaj nie było to konieczne. Znana mu z widzenia dziewczynka, mieszkająca na czwartym piętrze, otarła się o niego, wchodząc na schody. Pod wpływem impulsu Seamus złapał ją za ramię. Odwróciła się przestraszona. Wychudzony dzieciak, wąska twarz, ostre rysy. Na oko jakieś czternaście lat. Nie to, co moje ślicznotki, pomyślał

Seamus. Dzięki rodzicielskim genom odziedziczyły ładne twarze i ciepłe, czułe uśmiechy.

Na sekundę ogarnął go głęboki żal, kiedy wyjmował z kieszeni kopertę.

— Pozwolisz, że wejdem z tobą do westybulu? Muszę coś włożyć do skrzynki pani

Lambston.

Podszrzliwa mina zniknęła z twarzy nastolatki.

— No jasne. Znam pana. Pan jest jej były. Widocznie dzisiaj mamy piątego. Ona zawsze mówi, że tego dnia pan dostarcza okup — zaśmiała się smarkula, pokazując krzywe zęby.

Seamus bez słowa wygrzebał z kieszeni kopertę i zaczął, aż dziewczynka otworzy drzwi. Znowu poczuł przyływ morderczej furii. Więc był pośmiewiskiem dla całej kamienicy!

Skrzynki pocztowe znajdowały się tuż za drzwiami wejściowymi. Przegródka Ethel była wypełniona. Wciąż nie wiedział, co robić. Czy powinien zostawić list, czy czeka?

Dziewczynka czekała przy drzwiach wejściowych, obserwując go.

— Przyszedł pan w samą porę! — zawołała. — Ethel mówiła mojej mamie, że pozwie pana do sądu, jak pan się spóźni z czekiem.

Fala paniki zalała Seamusa. Trzeba będzie zostawić czek. Wyszarpnął kopertę z kieszeni i próbował ją wepchnąć w wąską szczelinę skrzynki.

Po powrocie do domu twierdząco kiwnął głową na gniewne pytanie Ruth. W tamtej chwili nie mógłby znieść eksplozji, która musiała nastąpić, gdyby się przyznał, że zapłacił alimenty. Kiedy Ruth wymaszerowała z pokoju, powiesił płaszcz i wyjął z kieszeni drugi list. Zajrzał do środka. Koperta była pusta.

Seamus opadł na krzesło, drżąc na całym ciele, z żołądkiem podchodzącym do gardła.

Objął głowę rękami. Znowu sfuszerował. Włożył czek i list do tej samej koperty i teraz oba leżały w skrzynce Ethel.

Nicky Sepetti spędził środowy poranek w łóżku. Pałący ból w klatce piersiowej dokuczał mu jeszcze bardziej niż w nocy. Żona wchodziła i wychodziła z sypialni.

Przyniosła na tacy sok pomarańczowy, kawę, świeży włoski chleb grubo posmarowany marmoladą. Nie ustąpiła, aż pozwolił jej wezwać lekarza.

Louie zjawił się w południe, wkrótce po wyjściu Marie do pracy.

— Z całym szacunkiem, Don Nicky, źle pan wygląda — powiedział. Nicky kazał mu

oglądać telewizję na dole. Zawiadomi go, kiedy będzie gotowy, żeby jechać do Nowego Jorku. Louie szepnął:

— Miał pan rację z tym draniem Machado. Dorwali go. — Uśmiechnął się i mrugnął.

Wczesnym wieczorem Nicky wstał i zaczął się ubierać. Lepiej się poczuje na

Mulberry Street, no i nie trzeba nikomu pokazywać, jak bardzo jest chory. Kiedy sięgnął po marynarkę, oblał się potem. Przytrzymując się słupka przy łóżku, usiadł, rozluźnił krawat i kołnierzyk koszuli. Położył się na plecach. Przez następne godziny ból w piersi wzbierał i opadał niczym gigantyczna fala. Miejsce pod językiem zaczęło go piec od tabletek

nitrogliceryny, które ciągle ssał. Wcale nie łagodziły cierpienia, tylko wywoływały znajomy, ostry, krótki ból głowy, kiedy się rozpuszczały.

W polu widzenia Nicky'ego pojawiały się znajome twarze. Twarz matki: „Nicky, nie zadawaj się z tymi facetami. Nicky, jesteś dobrym chłopcem. Nie wpakuj się w kłopoty”.

Wykazywanie się w mafii. Żadna robota nie była za trudna czy za łatwa. Ale nigdy kobiety.

Ta głupia pogróżka, którą wygłosił w sądzie. Tessa. Bardzo chciał jeszcze raz zobaczyć Tessę. Nicky junior. Nie, Nicholas. Theresa i Nicholas. Ucieszą się, że umarł w łóżku jak dżentelmen.

Hen, daleko usłyszał otwieranie i zamykanie kuchennych drzwi. Widocznie Marie

wróciła. Potem odezwał się dzwonek u drzwi, ostrym i natarczywym dźwiękiem. Gniewny głos żony mówił: „Nie wiem, czy jest w domu. Czego chcecie?”.

Jestem w domu, pomyślał Nicky. Taak. Jestem w domu. Drzwi sypialni otwarty się z

rozmachem. Jak przez mgłę zobaczył wstrząśniętą twarz Marie, usłyszał jej krzyk:

„Wezwijcie lekarza!”. Inne twarze. Gliny. Nie musieli nosić mundurów. Wyczuwał ich, nawet kiedy umierał. Potem zrozumiał, po co przyszli. Ten tajniak, którego sprzątnęli.

Gliny oczywiście przyszły prosto do niego!

— Marie — powiedział, ale wydobył z siebie tylko szept. Pochyliła się, przyłożyła ucho do jego ust i pogłaskała go po czole.

— Nicky! — płakała.

— Na... grób... mojej... matki... nie kazałem... zabić... żony Kearny'ego. Chciał

powiedzieć, że zamierzał odwołać kontrakt na córkę Kearny'ego, ale zdołał tylko zawołać

„Mamo!”, zanim ostatni oślepiający, rozdzierający ból przeszył mu klatkę piersiową i oczy przestały widzieć. Głowa opadła mu na poduszkę, rżący oddech wypełnił dom i nagle ucichł.

Ilu osobom ta papla Ethel powiedziała, że podejrzewa go o podkradanie pieniędzy,

które chowała w mieszkaniu? To pytanie dręczyło Douga w środę rano, kiedy siedział za swoim biurkiem w westybulu Cosmic Oil Building. Automatycznie sprawdzał umówione

spotkania, zapisywał nazwiska, wydawał plastikowe identyfikatory gościom i odbierał je z powrotem od wychodzących. Kilka razy Linda, recepcjonistka z siódmego piętra,

zatrzymywała się przy nim na pogawędkę. Dzisiaj traktował ją trochę chłodniej, co chyba uznała za intrygujące. Co by sobie pomyślała, gdyby wiedziała, że odziedziczy kupę forsy?

Gdzie ciotka zarobiła taką kasę?

Istniała tylko jedna odpowiedź. Ethel wyjawiała mu, że oskubała Seamusa do czysta

przy rozwodzie. Oprócz alimentów otrzymała słone odszkodowanie i pewnie była

dostatecznie bystra, żeby je zainwestować. No i ta książka, którą napisała pięć czy sześć lat temu, dobrze się sprzedawała. Ciotka, pomimo wszelkich pozorów roztrzepania, zawsze była bardzo sprytna. Właśnie ta myśl sprawiała, że Dougowi cierpła skóra. Ethel wiedziała, że podbierał jej pieniądze. Komu jeszcze o tym powiedziała?

Borykał się z owym problemem do południa, zanim podjął decyzję. Na rachunku

czekowym miał akurat taką nadwyżkę, żeby podjąć czterysta dolarów. Niecierpliwie czekał

w nieuniknionej kolejce w banku i zażądał wypłaty w studolarowych banknotach. Schowa je w różnych kryjówkach Ethel, w tych, których rzadziej używała. Tym sposobem, jeśli ktoś przeszuka mieszkanie, pieniądze będą na miejscu. Nieco uspokojony, zatrzymał się na hot doga przy ulicznym straganie i wrócił do pracy.

O szóstej trzydziści, kiedy Doug skręcał z Broadwayu w Osiemdziesiątą Drugą,

zobaczył Seamusa zbiegającego ze schodów przed domem ciotki. O mało nie roześmiał się głośno. Oczywiście! Dzisiaj był piąty i ten dupek przyleciał tutaj dokładnie o czasie z czekiem na alimenty. Wyglądał jak ostatni nędzarz w obszarganym płaszczu. Doug z żalem uzmysłowił sobie, że przez jakiś czas on sam też nie będzie mógł kupować sobie nowych ubrań. Odtąd musi być bardzo, bardzo ostrożny.

Wymował pocztę codziennie, posługując się kluczem, który Ethel trzymała w

szkatułce na biurku. Wciśnięta do skrzynki koperta od Seamusa wciąż trochę wystawała.

Poza nią przyszły same śmiecie. Rachunki Ethel wysyłano prosto do jej księgowego.

Przejrzał koperty i rzucił je na biurko. Wszystkie oprócz tej bez znaczka, okupu od Seamusa. Ten głupiec nie zakleił jej porządnie i w środku widać było list oraz wyraźny zarys czeku.

Łatwo mógł ją otworzyć, a potem znowu zakleić. Zwlekał przez chwilę, dotykając

skrzydełka, a potem otworzył kopertę, uważając, żeby nie rozedrzeć papieru. Czek wypadł.

Rany, chciałby zrobić analizę grafologiczną tego pisma. W pochyłych bazgrołach Seamusa stres był widoczny jak znaki drogowe.

Doug odłożył czek, otworzył list, przeczytał, przeczytał powtórnie i szczeka mu opadła ze zdziwienia. Co do diabła... Starannie włożył czek i list z powrotem do koperty, polizał

klej i mocno przycisnął brzeg skrzydełka. Obraz tamtego mężczyzny z rękami wciśniętymi w kieszenie, niemal biegiem przecinającego ulicę, tkwił w umyśle Douga jak stop-klatka.

Seamus coś kombinował. Dlaczego napisał, że Ethel zgodziła się nie brać alimentów, a potem dołączył czek?

Liczysz, że ona ci daruje? Akurat! — pomyślał Doug. Przeszedł go zimny dreszcz.

Czyżby list adresowany był do niego, nie do Ethel?

Po powrocie do domu Neeve odkryła z przyjemnością, że ojciec zrobił wielkie zakupy żywnościowe.

— Nawet poszedłeś do Zabara! — zawołała uszczęśliwiona. — Już sobie wyliczałam,

jak wcześnie powinnam jutro wyjść z pracy. Teraz mogę zacząć działać już dzisiaj

wieczorem.

Uprzedziła Mylesa, że zostanie po zamknięciu sklepu i zajmie się papierkową robotą.

W duchu odmówiła dziękczynną modlitwę, że nie zapytał jej, jak dotarła do domu.

Upiekł mały udziec jagnięcy, ugotował na parze świeżą fasolkę szparagową i zrobił

sałatkę z pomidorów i cebuli z sosem winegret. Nakrył przy małym stoliku w gabinecie i otworzył już butelkę burgunda. Neeve pośpiesznie przebrała się w sweter i spodnie, po czym z westchnieniem ulgi opadła na fotel i sięgnęła po wino.

— To bardzo uprzejmie z pana strony, komisarzu — powiedziała.

— No, skoro jutro masz nakarmić trzech podstarzałych muszkieterów z Bronksu,

pomyślałem, że zasługujesz na rewanż. — Zaczął kroić pieczeń.

Neeve obserwowała ojca w milczeniu. Cera mu się poprawiła, a oczy nie miały już tego ciężkiego, chorego wyrazu.

— Nie znoszę prawie ci komplementów, ale muszę przyznać, że wyglądasz cholernie zdrowo — powiedziała.

— Czuję się dobrze. — Myles ułożył idealnie odkrojone plastry jagnięciny na talerzu córki. — Mam nadzieję, że nie dodałem za dużo czosnku.

Neeve spróbowała pierwszy kęs.

— Świetne. Na pewno czujesz się lepiej, skoro tak dobrze gotujesz. Myles łyknął burgunda.

— Dobre wino, skoro sam tak mówię. — Oczy mu się zamglily. „Jakaś depresja —

powiedział jej wtedy lekarz. — Atak serca, odejście na emeryturę, operacja...” „I ciągle martwi się o mnie” — wtrąciła Neeve. „Ciągle martwi się o panią, bo nie może sobie wybaczyć, że nie martwił się o pani matkę”. „Co mam zrobić, żeby przestał?” „Zatrzymać Nicky’ego Sepettiego w więzieniu. Jeśli to niemożliwe, na wiosnę proszę namówić ojca, żeby znalazł sobie jakieś zajęcie. Na razie jest rozdarty wewnętrznie. Zginąłby bez pani, ale nienawidzi samego siebie za to uczuciowe uzależnienie. To dumny człowiek. I jeszcze jedno. Proszę przestać mu matkować”. Ta rozmowa odbyła się przed sześcioma miesiącami.

Teraz nadeszła wiosna. Neeve bardzo się starała traktować ojca jak dawniej. Prowadzili płomienne dyskusje na każdy temat, od pożyczki Sala na założenie sklepu począwszy — do polityki na wszelkich poziomach.

— Jesteś pierwszą Kearny od dziewięćdziesięciu lat, która głosuje na republikanów!

— wybuchnął kiedyś Myles.

— To nie to samo co utrata wiary.

I właśnie teraz, kiedy już był na dobrej drodze do wyzdrowienia, zaczął się denerwować Nickym Sepettim, co mogło trwać wiecznie, pomyślała Neeve.

Nieświadomie potrząsając głową, rozejrzała się i jak zawsze zauważyła w myślach, że gabinet jest jej ulubionym pokojem w całym domu. Wytarty wschodni dywan w różnych odcieniach czerwieni i błękitu; ładna, wygodna skórzana kanapa i dobrane do niej fotele.

Fotografie na ścianach: Myles odbierający niezliczone medale i odznaczenia, Myles z burmistrzem, gubernatorem, republikańskim (!) prezydentem. Okna wychodzące na rzekę.

Podwiązane wiktoriańskie zasłony, zawieszono jeszcze przez Renatę, w głębokim ciepłym kolorze niebieskim i purpurowym, delikatne prążki błyszczące w świetle kryształowych kinkietów na ścianach. Pomiędzy kinkietami wisiały zdjęcia matki. Pierwsze zrobił jej ojciec, kiedy miała dziesięć lat i właśnie uratowała Mylesa, a teraz patrzyła na niego z uwielbieniem, kiedy leżał oparty na poduszkach. Renata z maleńką Neeve, a potem Neeve jako małą dziewczynką. Renata, Neeve i Myles nurkujący z akwalungiem na Maui. Rok później matka zginęła.

Myles zapytał o menu na jutrzejszy obiad.

— Nie wiedziałem, co zaplanowałaś, więc kupiłem wszystko — oznajmił.

— Sal mi powiedział, że nie zamierza przestrzegać twojej diety. Biskup chcepesto.

Ojciec jęknął.

— Pamiętam czasy, kiedy Sal uważał metrową kanapkę za wyszukany przysmak, a

matka Devina posyłała go do delikatesów po dziesięciocentowe zapiekanki rybne i puszkę spaghetti Heinza.

Neeve wypła kawę w kuchni, gdzie zaczęła przygotowania do jutrzejszego obiadu.

Książki kucharskie Renaty stały na półce nad zlewozmywakiem. Sięgnęła po ulubioną, starą rodzinną pamiątkę z przepisami z północnych Włoch.

Po śmierci Renaty Myles posyłał Neeve do prywatnej nauczycielki, żeby ćwiczyła

włoską konwersację. Dorastając, co roku spędzała miesiąc letnich wakacji w Wenecji z dziadkami, a pierwszy rok studiów odbyła w Perugii. Przez lata omijała z daleka książki kucharskie, żeby nie oglądać notatek sporządzonych śmiałym, zamaszystym pismem matki:

„Więcej pieprzu. Piec tylko dwadzieścia minut. Nie wylewać oliwy”. Słyszała, jak Renata nuci przy gotowaniu, a pozwalając córce zamieszać albo odmierzyć porcje, wybucha:

„Cara, to jest albo błąd drukarski, albo kucharz był pijany. Kto dodaje tyle oliwy do sosu?

Lepiej wypić całe Morze Martwe!”.

Czasami mama szkicowała pośpieszne portreciki Neeve na marginesach kartek,

urocze, prześlicznie narysowane miniatury: Neeve w przebraniu księżniczki siedząca przy stole, Neeve pochylona nad wielką kuchenną miską, Neeve w staroświeckiej sukience próbuje ciasta. Dziesiątki szkiców, a każdy wywoływał poczucie głębokiej straty. Nawet teraz Neeve pozwalała sobie najwyżej na przelotne zerknięcia, gdyż budziły zbyt bolesne wspomnienia. Nagle oczy jej

zwilgotniały.

— Zawsze mówiłem, że powinna brać lekcje rysunku — odezwał się Myles.

Nie zauważyła, że zaglądał jej przez ramie.

— Mama lubiła swoją pracę.

— Sprzedawanie ubrań znudzonym kobietom. Neeve przygryzła wargę.

— Widocznie właśnie tak mnie klasyfikujesz. Zrobił skruszoną minę.

— Och, Neeve, przepraszam. Trochę przesadziłem, przyznaję.

— Przesadziłeś, ale mówiłeś szczerze. A teraz wynoś się z mojej kuchni. Umyślnie trzaskała garnkami, kiedy odmierzała, nalewała, kroїła, podsmażała, dusiła i piekła.

Spójrzmy prawdzie w oczy: tata był największym męskim szowinistą na świecie. Gdyby Renata uprawiała sztukę, gdyby wyrosła na mierną artystkę malującą akwarelami,

traktowałyby to jak hobby stosowne dla damy. Po prostu nie rozumiał, że pomaganie

kobietom w wybieraniu twarzowych strojów może wiele zmienić w ich życiu osobistym i zawodowym.

Pisano o mnie w „Vogue”, „Town and Country”, „The New York Times” i Bóg wie

gdzie jeszcze, myślała Neeve, ale to go nie udobruchało. Zupełnie jakby uważał, że okradam ludzi, sprzedając im kosztowne ubrania.

Przypomniała sobie, jaki wściekły był Myles, kiedy podczas gwiazdkowego przyjęcia przyłapał Ethel Lambston w kuchni, szperającą wśród książek kucharskich Renaty.

— Interesuje się pani gotowaniem? — zapytał lodowato. Naturalnie nie zauważyła jego irytacji.

— Ani trochę — odparła beztrąsko. — Czytam po włosku i przypadkiem zauważyłam te książki. Queste disegni sono stupendi.

Trzymała książkę ze szkicami. Myles wyjął jej tom z ręki.

— Moja żona była Włoszką. Ja nie znam tego języka.

Właśnie w tamtej chwili Ethel zrozumiała, że Myles jest samotnym wdowcem, i

przykleiła się do niego na resztę wieczoru.

Wreszcie wszystko było gotowe. Neeve wstawiła naczynia do lodówki, posprzątała i nakryła do stołu w jadalni. Ostentacyjnie ignorowała Mylesa, który oglądał telewizję w gabinecie. Kiedy ustawiała półmiski na kredensie, zaczęły się wiadomości o jedenastej.

Ojciec wyciągnął do niej kieliszek z brandy.

— Twoja matka też łomotała garnkami i patelniami, kiedy była na mnie wściekła. —

Uśmiechnął się jak chłopiec. To były jego przeprosiny.

Neeve przyjęła kieliszek.

— Szkoda, że nie rzucała w ciebie talerzami.

Śmiali się razem, kiedy zadzwonił telefon. Myles podniósł słuchawkę. Po wesołym „halo” szybko nastąpiła błyskawiczna seria pytań. Neeve patrzyła, jak zacisnął usta.

Odłożył słuchawkę i wyjaśnił bezbarwnym głosem:

— To był Herb Schwartz. Podstawił jednego z chłopców do wewnętrznej siatki

Nicky’ego Sepettiego. Właśnie znaleźli go w śmietniku. Jeszcze żył i ma szansę przeżyć.

Neeve słuchała i zasychało jej w ustach. Myles miał ściągnięte rysy, ale nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

— Nazywa się Tony Vitale — powiedział. — Ma trzydzieści jeden lat. Znają go pod nazwiskiem Carmen Machado. Strzelano do niego cztery razy. Powinien zginąć, ale jakoś wytrzymał. Chciał nam coś przekazać.

— Co takiego? — szepnęła Neeve.

— Herb był z nim na pogotowiu. Tony mu powiedział: „Nie ma kontraktu, Nicky, Neeve Kearny”. — Myles przeciągnął ręką po twarzy, jakby próbował coś zetrzeć.

Neeve spojrzała w jego udręczone oczy.

— Chyba nie myślałeś poważnie, że jest na mnie kontrakt?

— Owszem, myślałem. — Myles podniósł głos. — Tak właśnie myślałem. A teraz pierwszy raz od siedemnastu lat mogę spać spokojnie. — Położył jej ręce na ramionach. —

Neeve, poszli przesłuchać Nicky'ego. Nasi chłopcy. I przyszli w samą porę, żeby zobaczyć, jak umierał. Ten śmierdzący drań miał atak serca. On nie żyje, Neeve. Nicky Sepetti nie żyje!

Zamknął ją w uścisku. Czowała szaleńczy łomot jego serca.

— Więc niech jego śmierć cię uwolni, tato — błagała. Odruchowo ujęła jego twarz w dłonie i przypomniała sobie, że to była pieszczota Renaty. Świadomie zaczęła naśladować akcent matki. — Caro Milo, posłuchaj mnie.

Oboje zdobyli się na niepewne uśmiechy.

— Spróbuję — odpowiedział Myles. — Obiecuję.

Tajny detektyw Anthony Vitale, znany przestępczej rodzinie Sepettiego jako Carmen Machado, leżał na oddziale intensywnej opieki medycznej w szpitalu Świętego Wincentego.

Kule utkwily mu w płucach, połamały żebra i roztrzaskały lewe ramię. Cudem nie umarł. W jego ciele tkwiły rurki sączące antybiotyki i glukozę do żył. Respirator przejął funkcję oddychania.

W chwilach świadomości, które nadchodziły od czasu do czasu, Tony dostrzegał zbolące twarze rodziców. Jestem twardy, chciał ich zapewnić. Postaram się przeżyć.

Gdyby tylko mógł mówić. Czy zdołał cokolwiek powiedzieć, kiedy go znaleźli?

Próbował im powiedzieć o kontrakcie, ale nie bardzo mu wyszło.

Nicky Sepetti i jego gang nie zlecili kontraktu na Neeve Kearny. To ktoś inny. Tony wiedział, że postrzelono go we wtorek wieczorem. Jak długo leżał w szpitalu? Mętnie przypominał sobie fragmenty tego, co powiedzieli Nicky'emu: Nie można odwołać

kontraktu. Były komisarz powinien zaplanować następny pogrzeb.

Tony próbował się podnieść. Musiał ich ostrzec.

— Tylko spokojnie — mruknął jakiś łagodny głos.

Poczuł ukłucie w ramię i po chwili osunął się w spokojny sen bez snów.

W czwartek o ósmej rano Neeve i Tse-tse siedziały w taksówce naprzeciwko mieszkania Ethel Lambston, po drugiej stronie ulicy. We wtorek bratanek pisarki wyszedł do pracy o ósmej dwadzieścia. Dzisiaj nie chciały natknąć się na niego. Protesty taksówkarza: „Nie zarabiam na czekaniu”, Neeve uciszyła obietnicą dziesięciodolarowego napiwku. O ósmej piętnaście Tse-tse pierwsza dostrzegła Douga.

— Patrz.

Neeve widziała, jak zamknął drzwi mieszkania na klucz, rozejrzał się i ruszył w stronę Broadwayu. Ranek był chłodny i Doug miał na sobie trencz ściągnięty paskiem.

— To prawdziwe burberry — powiedziała. — Chyba strasznie dużo zarabia jak na recepcjonistę.

W mieszkaniu panował zadziwiający porządek. Prześcieradła i kołdra były złożone w kostkę na końcu kanapy. Poduszka leżąca na wierzchu miała wygniecioną powłoczkę, jakby ktoś na niej spał. Nie dostrzegły ani śladu używania popielniczek, ale Neeve wyraźnie wyczuła w powietrzu słaby odór dymu papierosowego.

— Pali, ale się z tym ukrywa — zauważyła. — Ciekawe, dlaczego. Sypialnia

wyglądała jak przykład schludności. Łóżko było zaścielone, na szezlongu leżała walizka Douga, a na niej wieszaki z garniturami, marynarkami i spodniami. Zobaczyły wiadomość dla Ethel przypiętą do lustra na toaletce.

— Kto tu kogo nabiera? — zapytała Tse-tse. — Czemu on to napisał i przestał używać jej sypialni?

Neeve wiedziała, że jej towarzyszka ma świetne oko do szczegółów.

— No dobrze, zacznijmy od tej notatki — zaproponowała. — Czy przedtem zostawiał dla niej wiadomości?

Aktorka nosiła strój szwedzkiej pokojówki. Energicznie potrząsnęła warkoczami.

— Nigdy — odrzekła stanowczo.

Neeve podeszła do szafy i otworzyła drzwi. Wieszak za wieszakiem przeglądała garderobę Ethel, żeby sprawdzić, czy nie przeoczyła któregoś płaszcza. Ale wszystkie były na

miejscu: sobole, kuny, kaszmir, biały płaszcz, burberry, skóra, peleryna. Na widok zdumionej miny Tse-tse wyjaśniła, czego szuka.

Dziewczyna potwierdziła jej wątpliwości.

— Ethel zawsze mi mówiła, że przestała kupować przypadkowo, odkąd zaczęłaś ją ubierać. Masz rację. Ona nie ma innego płaszcza.

Neeve zamknęła drzwi szafy.

— Nie lubię wtykać nosa w cudze sprawy, ale muszę. Ethel zawsze nosi kalendarzyk w torebce, na pewno jednak ma też duży terminarz.

— Owszem, ma — potwierdziła Tse-tse. — Na biurku.

Terminarz leżał obok stosu poczty. Neeve otworzyła go. Na każdy dzień miesiąca przypadała duża kartka formatu A-4, włącznie z grudniem ubiegłego roku. Neeve

przewertowała strony i znalazła 31 marca. Śmiałymi bazgrołami Ethel zapisała: „Kazać Dougowi odebrać ubrania w Salonie Neeve”. Zakreśliła okienko o godzinie trzeciej i obok dodała: „Doug u mnie”.

Tse-tse zaglądała Neeve przez ramię.

— Więc nie kłamał w tej sprawie — stwierdziła.

Poranne słońce jasno oświetliło pokój. Nagle skryło się za chmurą. Aktorka zadrżała.

— Słowo daję, Neeve, zaczynam się tutaj bać.

Neeve w milczeniu przekartkowała kwiecień. Tu i tam natrafiła na umówione

spotkania, przyjęcia koktajlowe, lunchy. Wszystkie stronice zostały przekreślone grubą linią. Pod datą pierwszego kwietnia Ethel wpisała: „Badania / pisanie książki”.

— Skreśliła wszystko. Zamierzała wyjechać albo przynajmniej zaszyć się gdzieś i pisać — mruknęła Neeve.

— Więc może wyjechała dzień wcześniej? — zasugerowała Tse-tse.

— Możliwe.

Neeve zaczęła przewracać stronice do tyłu. Ostatni tydzień marca szczelnie wypełniały nazwiska wybitnych projektantów mody: Nina Cochran, Gordon Steuber, Victor Costa, Ronald Altern, Regina

Mavis, Anthony della Salva, Kara Potter.

— Nie mogła spotkać się z nimi wszystkimi stwierdziła Neeve. — Myślę, że autoryzowała ich wypowiedzi przez telefon, zanim oddała artykuł. — Wskazała notatkę z czwartku, 30 marca: „Termin oddania artykułu do «Contemporary Woman»„.

Szybko przejrzała pierwsze trzy miesiące roku i zauważyła, że obok terminów spotkań Ethel wpisywała koszt taksówek i napiwków, uwagi na temat lunchów, obiadów i rozmów:

„Dobry wywiad, ale on się złości, jeśli każesz mu czekać... Carlos, nowy kierownik sali w Le Cygne... Nie korzystać z Valet Limo — samochód śmierdział jak fabryka serów...”.

Notatki były niechlujnie nabazgrane, liczby często przekreślone i poprawione. Poza tym Ethel miała zwyczaj machinalnie rysować, myśląc o czymś innym. Trójkąty, serca, zawijasy i inne gryzmoły pokrywały każdy centymetr kwadratowy dostępnej powierzchni.

Pod wpływem impulsu Neeve zajrzała na stronę 22 grudnia, daty przyjęcia gwiazdkowego u niej i Mylesa. Ethel widocznie potraktowała to jako ważne wydarzenie.

Adres Schwab House i nazwisko Neeve zapisała drukowanymi literami i podkreśliła.

Zakrętasy i zawijasy otaczały komentarz: „Ojciec Neeve, samotny i interesujący”. Na marginesie narysowała niezdarną imitację szkicu z książki kucharskiej Renaty.

— Myles dostałby wrzodów, gdyby to zobaczył — skomentowała Neeve. —

Musiałam jej powiedzieć, że wciąż jest zbyt chory, żeby prowadzić życie towarzyskie.

Chciała go zaprosić na uroczysty obiad w Nowy Rok. Mało się nie udławił.

Wróciła do ostatniego tygodnia marca i zaczęła przepisywać nazwiska zanotowane przez Ethel.

— Przynajmniej mamy od czego zacząć — stwierdziła.

Dwa nazwiska zwróciły jej uwagę. Toni Mendell, redaktor naczelna „Contemporary

Woman”. Przyjęcie koktajlowe nie było najlepszym miejscem, żeby ją zapytać, czy nie przypomina sobie jakiejś uwagi Ethel o ewentualnym wycofaniu się z książki. Drugie nazwisko to Jack Campbell. Najwyraźniej umowa na książkę była dla Ethel bardzo ważna.

Może powiedziała wydawcy więcej o swoich planach, niż sam zdawał sobie sprawę.

Neeve zatrzasnęła swój notes i zapięła teczkę.

— Lepiej stąd znikam.

Zawiązała na szyi czerwono-niebieski szal. Jej płaszcz miał wysoki kołnierz, a masa czarnych włosów była upięta w kok z tyłu głowy.

— Wyglądasz świetnie — zauważyła Tse-tse. — Dzisiaj rano w windzie słyszałam, jak facet z jedenaście C pytał, kim jesteś.

Neeve naciągnęła rękawiczki.

— Typ księcia z bajki, mam nadzieję. Aktorka zachichotała.

— Gdzieś pomiędzy czterdziestką a grobem. Fatalna peruka. Wygląda jak czarne pióra na polu bawełny.

— Jest twój. Okay, jeśli Ethel się objawi albo jej kochający bratanek wróci wcześniej do domu, wiesz, co mówić. Posprzątaj trochę w kuchennych szafkach, umyj szklanki na górnych półkach. Udawaj, że ciężko pracujesz, ale miej oczy otwarte. — Zerknęła na stos poczty. — Przejrzyj to. Może Ethel dostała list i dlatego zmieniła zdanie. Boże, czuję się jak podglądaczka, ale musimy to zrobić. Obie wiemy, że dzieje się coś dziwnego, ale nie możemy tutaj ciągle przychodzić. — Neeve ruszyła do drzwi, rozglądając się uważnie. —

Dzięki tobie mieszkanie wygląda jako tako stwierdziła. — W pewien sposób przypomina mija samą. Zwykle widać tutaj przede wszystkim powierzchowny bałagan, który każdego odrzuca. Ethel zawsze zachowuje się tak nieobliczalnie, że zapominasz, jaka bystra z niej kobieta.

Ścianę obok drzwi pokrywały tysiące prasowych fotografii pisarki. Neeve zatrzymała się z ręką na klamce i obejrzała zdjęcia. Na prawie wszystkich Ethel wyglądała tak, jakby sfotografowano ją w połowie zdania. Usta miała lekko rozchylone, mięśnie twarzy

wyraźnie napięte, oczy błyszczały energią.

Jedno zdjęcie przyciągnęło wzrok Neeve. Spokojny wyraz twarzy, milczące usta,

smutek w oczach. Co wyznała jej kiedyś Ethel? „Urodziłam się w dniu Świętego

Walentego. Łatwo zapamiętać, co? Ale wiesz, ile lat upłynęło, odkąd ktoś przysłał mi kartkę albo chociaż zadzwonił? W końcu sama składam sobie życzenia”.

W dzień Świętego Walentego Neeve zamierzała wysłać Ethel kwiaty i zaprosić ją na

lunch, ale w tamtym tygodniu wyjechała na narty do Vail. Przepraszam, Ethel, pomyślała.

Naprawdę mi przykro.

Wydawało jej się, że smutne oczy ze zdjęcia nie chcą przebaczyć.

Po operacji Myles nabrał zwyczaju długich popołudniowych spacerów. Neeve nie

wiedziała, że przez ostatnie cztery miesiące chodził również do psychiatry na Wschodnią Siedemdziesiątą Piątą. „Cierpisz na depresję, powiedział mu bez ogródek kardiolog.

Większość ludzi przechodzi załamanie po takiej operacji. To się wiąże z charakterem zabiegu, chodzi przecież o serce. Ale podejrzewam, że twoja depresja ma inne korzenie”.

Na siłę wysłał swego pacjenta na pierwszą wizytę do doktora Adama Feltona.

Myles chodził tam w czwartki o drugiej. Nie znosił kłaść się na kanapie i zamiast tego siadał w głębokim skórzanym fotelu. Adam Felton nie był stereotypowym psychiatrą, jakiego spodziewał się Myles. Przekroczył czterdziestkę, włosy miał obcięte najeża, okulary nałożone pod dziwnie zawadiackim kątem i szczupłe, żyłaste ciało. Po trzeciej czy czwartej wizycie zdobył zaufanie pacjenta. Myles nie miał już uczucia, że obnaża duszę przed obcym. Zamiast tego, rozmawiając z Feltonem, czuł się jak dawniej w pokoju odpraw na posterunku, kiedy wyjaśniał swoim ludziom szczegóły śledztwa.

Zabawne, pomyślał teraz, obserwując, jak lekarz obraca ołówek w palcach, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby pogadać z Devem. Ale ta sprawa nie nadawała się do

spowiedzi.

— Myślałem, że czubkologi nie mają nerwowych odruchów — zauważył zgryźliwie.

Adam Felton roześmiał się i jeszcze raz zręcznie zakręcił ołówkiem.

— Mam prawo do nerwowych odruchów, bo rzucam palenie. Jakoś ci dzisiaj wesoło

— dodał zdawkowym tonem, jak do znajomego na przyjęciu.

Myles opowiedział mu o śmierci Nicky’ego Sepettiego i na dociekliwe pytania lekarza odparł gwałtownie:

— Już to przerabialiśmy! Przez siedemnaście lat dręczył mnie strach, że coś się stanie Neeve, gdy tylko Sepetti wyjdzie z więzienia. Zawiodłem Renatę. Ile razy mam ci to powtarzać, do cholery? Nie potraktowałem poważnie groźby Nicky’ego. To zimnokrwisty zabójca. Nie minęły trzy dni od jego wyjścia na wolność, kiedy zastrzelono naszego chłopaka. Pewnie Nicky go odkrył. Zawsze mówił, że potrafi wyniuchać gliniarza.

— A teraz uważasz, że twoja córka jest bezpieczna?

— Wiem, że jest bezpieczna. Nasz człowiek zdążył przekazać, że nie ma na nią

kontraktu. Musieli o tym rozmawiać. Wiem, że reszta nie będzie próbowała. I tak

zamierzali wykopać Nicky’ego. Z radością zapakują go do drewnianej skrzynki.

Adam Felton znowu zaczął obracać ołówek, zawahał się i zdecydowanie wrzucił go do kosza na śmieci.

— Mówisz, że śmierć Sepettiego uwolniła cię od strachu, który odczuwałeś przez siedemnaście lat. Co to dla ciebie znaczy? Jak zmieni się twoje życie?

Czterdzieści minut później, kiedy Myles wyszedł z gabinetu i podjął spacer, poruszał się żwawym krokiem, niemal tak energicznie jak dawniej. Wiedział, że pod względem fizycznym prawie całkowicie odzyskał zdrowie. Teraz, kiedy nie musiał martwić się o Neeve, postanowił wrócić do pracy. Nie mówił Neeve, że dowiadywał się o możliwość kierowania Prezydencką Agencją do Zwalczania Narkotyków w Waszyngtonie. Musiałby

spędzać tam dużo czasu, wynająć mieszkanie. Ale samodzielność dobrze zrobie Neeve.

Córka przestanie spędzać tyle czasu w domu i zacznie się spotykać z młodymi ludźmi.

Zanim zachorował, spędzała letnie weekendy w Hamptons i znacznie częściej jeździła na nartach w Vail. W zeszłym roku musiał ją wysłać przemocą chociaż na kilka dni. Chciał, żeby wyszła za męża. On nie będzie żył wiecznie. Teraz, dzięki tak dobrze wyliczonemu w czasie zawałowi Nicky'ego, mógł spokojnie jechać do Waszyngtonu.

Myles dobrze pamiętał straszliwy ból, kiedy sam miał poważny atak serca. Zupełnie jakby walec drogowy z kolcami przetoczył się po jego klatce piersiowej. Mam nadzieję, że czułeś to samo przed śmiercią, kolego, pomyślał. Potem nagle zobaczył twarz matki, mierzającej go surowym wzrokiem. „Kto innym źle życzy, tego los pokarze. Zło rodzi się ze zła”, mówiła.

Przeszedł na drugą stronę York Avenue i minął restaurację Bella Vita. Ulotny

rozkoszny zapach włoskich potraw podrażnił mu nozdrza i przypomniał o obiedzie, który Neeve przygotowała na dzisiejszy wieczór. Dobrze będzie znowu spotkać się z Devem i Salem. Boże, ileż to czasu minęło, odkąd dorastali na Tenbroeck Avenue. Ale wtedy wszyscy pyskowali na Bronx! Wspaniale się tam mieszkalo. Tylko siedem domów na całej przecznicy, zagajniki pełne brzoź i dębów. Budowali tam domki na drzewach. Ogród

warzywny rodziców Sala, gdzie teraz przebiega przemysłowa Williamsbridge Road. Pola, gdzie z Salem i Devinem chodzili na sanki — teraz stoi tam Einstein Medical Cen ter... Ale zostało jeszcze sporo dobrych terenów mieszkalnych.

Na Park Avenue Myles ominął kupkę topniejącego śniegu. Przypomniał sobie, jak

kiedyś Sal stracił kontrolę nad sankami i przejechał po ramieniu Mylesa, łamiąc je w trzech miejscach. Przyjaciel zaczął płakać: „Ojciec mnie zabije!”, i Dev natychmiast wziął winę na siebie. Jego ojciec przyszedł z przeprosinami: „Chłopak nie chciał zrobić nic złego, ale straszna z niego niezdar”. Devin Stanton. Jego ekscelencja biskup. Krążyły plotki, że Watykan ma oko na Deva w związku z utworzeniem następnej archidiecezji, co mogło

oznaczać kapelusze kardynalski.

Myles dotarł do Piątej Alei i spojrzął w prawo. Zobaczył dach masywnej białej

budowli Metropolitan Museum of Art. Zawsze chciał lepiej obejrzeć świątynię Dendur. Pod wpływem impulsu przeszedł sześć przecznic i spędził następną godzinę, podziwiając wspaniałe pamiątki po zamierzonej cywilizacji.

Dopiero kiedy spojrzął na zegarek i stwierdził, że najwyższy czas wracać do domu i otworzyć barek, uświadomił sobie, iż tak naprawdę poszedł do muzeum, by odwiedzić miejsce śmierci Renaty. Daj spokój, skarcił się ostro. Ale kiedy opuścił muzeum, nogi same zaniósły go wokół budynku na miejsce, gdzie wtedy znaleziono jej ciało. Odbywał tę pielgrzymkę co cztery czy pięć miesięcy.

Czerwonawa mgiełka wokół drzew w Central Parku zapowiadała rychłe nadejście

wiosny. W parku było sporo ludzi: biegacze; niańki popychające wózki dziecięce; młode matki z energicznymi trzylatkami; bezdomni, żalosne ludzkie wraki skulone na ławkach.

Ciągły strumień ruchu. Dorożki ciągnięte przez dobrze utrzymane konie.

Myles zatrzymał się na polance, gdzie znaleziono Renatę. Dziwne, pomyślał, choć

została pochowana na cmentarzu Brama Niebios, ale dla mnie spoczywa ona właśnie tutaj.

Stał z pochyloną głową, z rękami w kieszeniach zamszowej kurtki. Gdyby wtedy był taki dzień jak dzisiaj, po parku spacerowałoby dużo ludzi. Ktoś mógłby zobaczyć, co się dzieje.

Fragment wiersza Tennysona przemknął mu przez myśl: „Drogi jak pocałunki po śmierci pamiętane / Jak pierwsza wielka miłość, żalem opętany / O śmierci za żywota, o dni, które odeszły!”.

Lecz dzisiaj pierwszy raz w tym miejscu Myles poczuł się niemal uzdrowiony.

— Nie ja to sprawiłem, ale przynajmniej nasza córeczka jest bezpieczna, carissima mia

— szepnął. — I mam nadzieję, że kiedy Nicky Sepetti stanie przed najwyższym sędzią, ty tam będziesz i pokażesz mu drogę do piekła.

Odwrócił się i energicznym krokiem ruszył przez park. Ostatnie słowa doktora Feltona brzmiały mu w uszach: „No więc dobrze. Nie musisz już się martwić Nickym Sepettim.

Siedemnaście lat temu przeżyłeś straszną tragedię. Rzecz w tym, czy wreszcie gotów jesteś żyć dalej?”.

Myles ponownie wyszeptał odpowiedź, którą zdecydowanie rzucił Adamowi w twarz:

— Tak.

Kiedy Neeve dotarła do sklepu po wizycie w mieszkaniu Ethel, większość personelu już była na miejscu. Oprócz Eugenii, swojej asystentki, zatrudniała siedem sprzedawczyń na stałe i trzy szwaczki.

Eugenia ubierała manekiny w sali wystawowej.

— Cieszę się, że znowu wróciły kostiumy — oznajmiła, zręcznie poprawiając żakiet cynamonowej jedwabnej garsonki. — Która torebka?

Neeve odstąpiła krok do tyłu.

— Przyłóż je jeszcze raz. Chyba ta mniejsza. Większa ma za dużo odcienia bursztynowego do tej sukienki.

Kiedy Eugenia porzuciła zawód modelki, radośnie utyla z rozmiaru cztery do dwunastki, zachowała jednak grację ruchów, dzięki której niegdyś stała się ulubienicą projektantów. Zawiesiła torebkę na ramieniu manekina.

— Jak zwykle masz rację — stwierdziła. — Zapowiada się pracowity dzień. Czuję to w kościach.

— Czuj tak dalej. — Neeve próbowała zażartować, ale głos ją zawiódł.

— Neeve, co z Ethel Lambston? Jeszcze się nie pokazała?

— Ani śladu. — Neeve rozejrzała się po sklepie. — Słuchaj, zamknę się w gabinecie i załatwię telefony. Nie mów nikomu, że jestem, chyba że w razie konieczności. Dzisiaj nie chcę się użerać z komiwojażerami.

Najpierw zadzwoniła do Toni Mendell z „Contemporary Woman”. Redaktorka była na całodziennym seminarium dla wydawców czasopism. Neeve spróbowała złapać Jacka

Campbella. Wyszedł na spotkanie. Zostawiła mu wiadomość, żeby oddzwonił. „To raczej pilne”, powiedziała jego sekretarce. Następnie zabrała się do listy projektantów, których nazwiska znalazła w terminarzu Ethel. Pierwszych trzech, do których dotarła, nie widziało pisarki w zeszłym tygodniu. Po prostu zadzwoniła do nich, żeby autoryzowali swe

wypowiedzi, które zamierzała zamieścić w artykule. Projektantka strojów sportowych Elke Pearson podsumowała irytację, jaką Neeve wyczuła w głosach wszystkich rozmówców.

— Sama nie wiem, dlaczego zgodziłam się udzielić wywiadu tej babie. Zасыpywała

mnie pytaniami, aż kręciło mi się w głowie. Musiałam dosłownie ją wyrzucić i mam przecucie, że ten cholerny artykuł wcale mi się nie spodoba.

Następny na liście był Anthony della Salva. Neeve nie zmartwiła się, kiedy nie mogła go złapać. Spotkają się na obiedzie dzisiaj wieczorem. Gordon Steuber. Ethel zdradziła, że zmieszała go z błotem w swoim artykule. Ale kiedy ostatnio ją widział? Niechętnie wybrała numer biura Gordona i natychmiast ją połączono.

Steuber nie tracił czasu na towarzyskie uprzejmości.

— Czego chcesz? — zapytał sucho.

Neeve wyobrażała go sobie, odchylonego na oparcie wyłaczanego fotela ze skóry z ozdobnymi mosiężnymi ćwiekami. Przybrała równie zimny ton.

— Zwrócono się do mnie, żebym spróbowała odszukać Ethel Lambston. To dość pilne.

— Pod wpływem przecucia dodała: — Z jej terminarza wynika, że spotkaliście się w zeszłym tygodniu. Czy wspominała ci, jakie ma plany?

Długie sekundy mijały w całkowitej ciszy. Steuber zastanawia się, co odpowiedzieć, pomyślała. Wreszcie odezwał się chłodnym, bezosobowym tonem:

— Kilka tygodni temu Ethel Lambston próbowała zrobić ze mną wywiad do artykułu,

który pisała. Nie spotkałem się z nią. Nie mam czasu dla wścibskich natrętów. Dzwoniła w zeszłym tygodniu, ale nie odebrałem jej telefonu.

Neeve usłyszała kliknięcie.

Zamierzała wystukać numer następnego projektanta z listy, kiedy telefon zadzwonił.

To był Jack Campbell. Mówił zatroskanym tonem.

— Sekretarka przekazała mi, że to pilna sprawa. Co się stało, Neeve? Nagle

pomyślała, jak to głupio tłumaczyć mu przez telefon, że martwi się o Ethel Lambston, bo ta nie odebrała swoich nowych strojów. Więc powiedziała:

— Na pewno jesteś okropnie zajęty, ale czy możesz możliwie szybko wykroić dla mnie pół godziny na rozmowę?

— Umówiłem się na lunch z autorem — odrzekł Jack. — Może o trzeciej u mnie w biurze?

Wydawnictwo Givvons i Marks zajmowało górne sześć pięter budynku na południowo-zachodnim rogu Park Avenue i Czterdziestej Pierwszej. Gabinet Jacka Campbella był wielkim narożnym pokojem na czterdziestym siódmym piętrze, z oszołamiającym widokiem na śródmieście Manhattanu. Za olbrzymim biurkiem, ozdobionym czarną emalią, całą ścianę zajmowały regały wypełnione maszynopisami. Czarna skórzana kanapa i takie same fotele stały wokół szklanego koktajlowego stolika.

Neeve zdziwiła się, nie widząc w gabinecie żadnych osobistych akcentów. Jack Campbell jakby czytał w jej myślach.

— Moje mieszkanie jeszcze nie jest gotowe, więc zatrzymałem się w Hampshire

House. Wszystkie moje rzeczy wciąż leżą w magazynie, dlatego ten pokój wygląda jak poczekalnia u dentysty.

Marynarka od garnituru wisiała na oparciu fotela. Jack miał na sobie kraciasty zielono-brązowy sweter. Pasuje do niego, stwierdziła Neeve. Jesienne kolory. Twarz miał zbyt chudą i rysy zbyt nieregularne, żeby uznać go za przystojnego, ale spokojna siła spojrzenia sprawiała, że wydawał się niezwykle atrakcyjny. Kiedy się uśmiechał, jego oczy nabierały ciepła. Neeve podświadomie poczuła zadowolenie, że zdążyła się przebrać w jeden z nowych wiosennych kompletów, turkusową wełnianą sukienkę i taki sam krótki żakiet.

— Co powiesz na kawę? — zaproponował Jack. — Sam piję za dużo, ale i tak się napiję.

Uświadomiła sobie, że nie jadła lunchu i trochę boli ją głowa.

— Z przyjemnością. Proszę czarną.

Czekając na kawę, skomentowała widok z okien.

— Chyba czujesz się jak król Nowego Jorku?

— Przez ten miesiąc, odkąd tutaj urzęduję, z trudem mogłem się skupić na pracy — przyznał. — Zostałem przyszlým obywatelem Nowego Jorku, kiedy miałem dziesięć lat.

Dwadzieścia sześć lat trwało, zanim zdobyłem w końcu Wielkie Jabłko.

Kiedy przyniesiono kawę, usiedli przy szklanym stoliku. Jack Campbell ulokował się na kanapie, a

Neeve przycupnęła na skraju fotela. Wiedziała, że musiał odwołać inne spotkania, żeby ją przyjąć tak szybko. Głęboko zaczerpnęła tchu i opowiedziała mu o Ethel.

— Ojciec myśli, że zwariowałam — wyznała. — Ale mam dziwne przeczucie, że coś jej się stało. Czy może dała ci jakąś wskazówkę, że zamierza wyjechać gdzieś sama?

Rozumiem, że ta książka, którą pisze dla ciebie, ma się ukazać na jesieni.

Jack Campbell słuchał z taką samą uważną miną, jaką miał na przyjęciu.

— Nie — zaprzeczył.

Neeve szeroko otworzyła oczy.

— Więc jak...?

Campbell wysączył ostatnie krople kawy.

— Poznałem Ethel kilka lat temu w Stowarzyszeniu Księgarzy, na promocji jej pierwszej książki dla Givvonsa i Marksa, tej o kobietach w polityce. Cholernie dobra rzecz.

Zabawna i plotkarska. Świetnie się sprzedawała. Dlatego kiedy Ethel chciała spotkać się ze mną, okazałem zainteresowanie. Przedstawiła mi szczegółowe streszczenie swojego

artykułu i oznajmiła, że natrafiła na temat, który może wstrząsnąć światem mody, i jeśli napisze o tym książkę, czyją wydam i jakiej zaliczki może się spodziewać. Powiedziałem, że oczywiście musiałbym wiedzieć więcej, ale zważywszy na sukces ostatniej książki, jeśli ta następna okaże się równie wystrzałowa, kupimy ją i prawdopodobnie będzie mowa o sześciocyfrowej zaliczce. W zeszłym tygodniu przeczytałem na szóstej stronie w „Post”, że podpisała ze mną umowę na pół miliona dolarów, a książka ukaze się na jesieni. Telefony zaczęły się urywać. Wszystkie wydawnictwa chciały uczestniczyć w licytacji na prawa do wydania w miękkiej oprawie. Zadzwoiłem do agenta Ethel. Nic mu o tym nie wspominała.

Daremnie próbowałem dodzwonić się do niej samej. Ani nie potwierdzałem warunków

umowy, ani nie zaprzeczałem. Ona rzeczywiście uwielbia rozgłos, ale jeśli napisze tę książkę i rzecz będzie dobra, nie mam nic przeciwko tej całej wstępnej reklamie.

— I nie wiesz przypadkiem, co to za temat, który według niej wstrząśnie światem mody?

— Nie mam pojęcia. Neeve westchnęła i wstała.

— Zabrałam ci już dosyć czasu. Chyba powinnam poczuć się uspokojona. To całkiem

podobne do Ethel, żeby zapalić się do jakiegoś projektu i zaszyć gdzieś w leśnej chacie.

Lepiej zajmę się własnymi sprawami. Wyciągnęła rękę do Jacka. — Dziękuję.

Nie puścił jej dłoni od razu. Uśmiech miał ciepły i szczery. — Zawsze tak szybko uciekasz? — zapytał. — Sześć lat temu wybiegłaś z samolotu jak strzała. Wtedy na przyjęciu zniknęłaś, kiedy się odwróciłem. Neeve cofnęła dłoń.

— Czasami zwalniam do truchcika — odparła — ale teraz muszę lecieć i dopilnować interesu.

Odprowadził ją do drzwi.

— Słyszałem, że Salon Neeve to jeden z najmodniejszych sklepów w Nowym Jorku.

Mogę tam zajrzeć?

— Jasne. Nawet nie musisz niczego kupować.

— Moja matka mieszka w Nebrasce i nosi praktyczne ubrania.

W windzie jadącej na dół Neeve zastanawiała się, czy Jack Campbell próbował dać jej do zrozumienia, że w jego życiu nie ma innej kobiety. Przyłapała się na tym, że nuci cichutko, wychodząc z budynku w ciepłe kwietniowe popołudnie.

Kiedy wróciła do sklepu, czekała na nią wiadomość od Tse-tse, żeby zaraz zadzwoniła do mieszkania Ethel. Aktorka odebrała po pierwszym dzwonku.

— Neeve, dzięki Bogu, że dzwonisz. Chciałam stąd wyjść, zanim ten kopnięty

bratanek wróci do domu. Neeve, coś jest nie tak. Ethel ma zwyczaj chomikowania

studolarówek w całym mieszkaniu. Dlatego ostatnim razem zapłaciła mi z góry. Kiedy tutaj byłam w czwartek, widziałam jeden banknot pod dywanem. Dzisiaj rano znalazłam jeden w szafce na naczynia i trzy inne schowane w meblach. Neeve, na pewno nie było ich tam w czwartek.

Seamus wyszedł z baru o czwartej trzydzieści i nie zważając na popychających go

przechodniów, pędził po zatłoczonym chodniku. Musiał wrócić do mieszkania Ethel i nie chciał, żeby Ruth o tym wiedziała. Odkąd zeszłego wieczoru odkrył, że włożył czek i list do tej samej koperty, czuł się jak zwierzę w pułapce, rzucające się dziko i szukające drogi ucieczki.

Pozostawała tylko jedna nadzieja. Nie wepchnął koperty zbyt głęboko do skrzynki. W

myślach widział jeszcze, jak brzeżek wystaje ze szpary. Mógł ją odzyskać. Szansa jedna na milion.

Zdrowy rozsądek ostrzegał, że jeśli listonosz przyniósł więcej poczty, pewnie wepchnął kopertę głębiej. Ale ta szansa, jedyne wyjście z sytuacji, wciąż kusila Seamusa.

Skręcił w przecznicę prowadzącą do domu Ethel. Prześlizgiwał się wzrokiem po

twarzach przechodniów z nadzieją, że nie napotka żadnych sąsiadów byłej żony. Kiedy dotarł na miejsce, jego przygnębienie przerodziło się w czarną rozpacz. Nie mógł zabrać listu bez włamania się do budynku. Potrzebował klucza, żeby wejść do westybulu, gdzie znajdowały się skrzynki pocztowe. Zeszłego wieczoru wpuściła go ta wstrętna smarkula.

Teraz musiałby dzwonić po dozorcę, który z pewnością nie pozwoliłby mu grzebać w przegródce Ethel.

Stał przed frontem kamienicy. Mieszkanie Ethel miało oddzielne wejście na lewo. Do głównych drzwi prowadziło w górę dwanaście stopni. Wciąż jeszcze się wahał, kiedy na trzecim piętrze otworzyło się okno i wychyliła się stamtąd jakaś kobieta. Ponad jej ramieniem dostrzegł twarz dziewczynki, z którą rozmawiał wczoraj.

— Nie ma jej przez cały tydzień — poinformował go przenikliwy głos. — I słuchaj pan, w zeszły czwartek już chciałam wezwać gliny, jak pan na nią wrzeszczał.

Seamus odwrócił się i uciekł. Dyszał chrapliwie, pędząc na oślep przez West End

Avenue. Nie przystanął, dopóki nie znalazł się bezpiecznie we własnym mieszkaniu i nie zaryglował drzwi. Dopiero wtedy poczuł łomotanie serca i rżenie w płucach walczących o tlen. Ku swojemu przerażeniu usłyszał kroki w sypialni i na korytarzu. Żona już wróciła do domu. Pośpiesznie wytarł twarz ręką i próbował wziąć się w garść.

Ruth chyba nie zauważyła jego opłakanego stanu. Trzymała brązowy garnitur Seamusa przewieszony przez ramię.

— Chciałam to odnieść do pralni — powiedziała. — Zechcesz mi łaskawie

powiedzieć, dlaczego, na litość boską, masz w kieszeni studolarowy banknot?

Jack Campbell został w gabinecie jeszcze prawie przez dwie godziny po wyjściu

Neeve. Lecz maszynopis, przysłany z entuzjastyczną notką przez agenta, któremu ufał, po prostu nie mógł wzbudzić zainteresowania Campbella. W końcu, po daremnych próbach skupienia się na lekturze, Jack odsunął go na bok w rzadkim odruchu zniecierpliwienia.

Złościł się na siebie. To niesprawiedliwe oceniać czyjąś ciężką pracę, kiedy

dziewięćdziesiąt dziewięć procent umysłu masz zaprzątnięte czym innym.

Neeve Kearny. Zabawne, jak sześć lat temu przeżył chwilę żalu, że nie wziął od niej numeru telefonu. Nawet zajrzał do książki telefonicznej Manhattanu, będąc kilka miesięcy później w Nowym Jorku. Znalazł całe stronicy Kearnych, ale żadnej Neeve. Wspomniała coś o sklepie odzieżowym. Poszukał pod Kearny. Nic.

A potem wzruszył ramionami i zepchnął to wspomnienie na samo dno umysłu. O ile

wiedział, mieszkała z chłopakiem, lecz z jakiegoś powodu ciągle ją pamiętał. Na przyjęciu, gdy do niego podeszła, rozpoznał ją natychmiast. Nie była już dwudziestojednoletnią dziewczyną w narciarskim swetrze, lecz wyrafinowaną, modnie ubraną młodą kobietą. Ale jej kruczoczarne włosy, jej mlecznobiała skóra, ogromne brązowe oczy, kilka piegów na mostku nosa — pozostały takie same.

Jack przyłapał się na tym, że zastanawia się, czy Neeve jest z kimś poważnie związana. Jeśli nie...

O szóstej jego asystentka wsunęła głowę do pokoju.

— Mam dość — oznajmiła. — Ostrzegam cię uroczyście, że zniszczysz zdrowie sobie i innym, jeśli będziesz siedział do późna.

Jack odsunął nieprzeczytany maszynopis i wstał.

— Już wychodzę — przyrzekł. — Tylko jedno pytanie, Ginny. Co wiesz o Neeve Kearny?

Dumał nad odpowiedzią, wracając piechotą do wynajętego mieszkania przy Central

Park South. Neeve Kearny była właścicielką niezwykle popularnego butiku. Ginny

kupowała tam swoje wyjściowe stroje. Neeve była ogólnie lubiana i szanowana. Narobiła szumu kilka miesięcy temu, kiedy zerwała współpracę z projektantem, który zatrudniał na czarno dzieci w szwalniach. Mogła być wojownikiem.

Zapytał również o Ethel Lambston. Ginny przewróciła oczami.

— Wolę nie zaczynać.

Jack pokręcił się przez chwilę po mieszkaniu i w końcu doszedł do wniosku, że nie ma ochoty robić sobie obiadu. Zdecydował się na pasta u Nicoli. Restauracja znajdowała się przy Osiemdziesiątej Czwartej, pomiędzy Lexington a Trzecią.

Decyzja okazała się słuszna. Jak zawsze kolejka czekała na stoliki, ale po jednym drinku w barze Lou, ulubiony kelner Jacka poklepał go po ramieniu.

— Wszystko gotowe, panie Campbell.

Jack wreszcie mógł się odprężyć nad połową butelki Valpolicelli, sałatką z endywii i rukwi wodnej oraz linguini z frutti di mare. Potem zamówił podwójne espresso i poprosił o rachunek.

Wyszedłszy z restauracji, wzruszył ramionami. Przez cały wieczór wiedział, że pójdzie na Madison Avenue i obejrzy sklep Neeve. Kilka minut później, wyraźnie czując na coraz zimniejszym wietrze, że wciąż jest kwiecień, a pogoda bywa kapryśna wczesną wiosną, oglądał elegancko udekorowane okna wystawowe. Podobały mu się witryny. Delikatne, kobiece, lekkie wzorzyste sukienki i dobrane do nich parasolki. Stanowcze pozy

manekinów, niemal arogancko przechylone głowy. Nie wiadomo skąd wiedział, że to połączenie siły i miękkości stanowi pewnego rodzaju deklarację właścicielki.

Lecz podczas uważnego studiowania wystawy powróciła ulotna myśl, która umknęła mu wcześniej, kiedy próbował dokładnie powtórzyć Neeve słowa pisarki.

„To dreszczyk, to plotka, to uniwersalność w modzie — powiedziała mu Ethel swoim chaotycznym, zdyszczanym głosem. — O tym jest mój artykuł. Ale założmy, że dam wam dużo więcej. Prawdziwą bombę. Dynamit”. Spóźniał się już na spotkanie, więc zbył ją krótko: „Proszę mi przysłać konspekt”. Uparta, natarczywa Ethel nie dawała za wygraną.

„Ile jest wart wstrząsający skandal?”. Przypomniał sobie własną, prawie żartobliwą odpowiedź: „Jeśli jest wystarczająco sensacyjny, sześciocyfrowa liczba”.

Jack zapatrzył się na manekiny trzymające pastelowe parasolki. Zatrzymał wzrok na kremowo-błękitnej markizie z ozdobnym napisem: „Salon Neeve”. Jutro zadzwoni do niej i dokładnie powtórzy, co mówiła Ethel.

Skręcając w Madison Avenue, żeby po raz kolejny rozładować w marszu niejasne, nieokreślone obawy, pomyślał: Już szukam pretekstu. Dlaczego po prostu gdzieś jej nie zaproszę?

W pewnej chwili odkrył przyczynę swojego niepokoju. Absolutnie nie chciał usłyszeć, że Neeve jest związana z kimś innym.

Czwartek był pracowitym dniem dla Kitty Conway. Od dziewiątej rano do południa zawoziła starszaków na wizyty do lekarzy, a po południu pracowała jako wolontariuszka w małym sklepiku w Garden State Museum. Oba zajęcia dawały jej poczucie, że robi coś pożytecznego.

Dawno temu studiowała antropologię z niejasnym zamiarem, żeby zostać drugą

Margaret Mead. Potem jednak poznała Mike'a. Teraz, kiedy pomagała szesnastolatce

wybrać kopię egipskiego naszyjnika, pomyślała, że może latem zapisze się na ciekawą antropologiczną wycieczkę.

Intrygująca perspektywa. Jadąc do domu w kwietniowe popołudnie, Kitty odczuwała

narastające zniecierpliwienie. Pora zacząć żyć. Skręciła z Lincoln Avenue i uśmiechnęła się widząc własny dom, przycupnięty wysoko na łuku Grand View Circle, imponujący biały kolonialny budynek z czarnymi okiennicami.

W środku przeszła przez pokoje na parterze, zapalając światła, potem włączyła gazowy kominek w gabinecie. Kiedy Michael żył, rozpalał piękny ogień, wprawnie piętrzył kłody nad podpałką i regularnie dokładał drewna, aż zapach hikory wypełniał pokój. Choć Kitty bardzo się starała, nie potrafiła porządnie rozpaścić w kominku, więc przepraszając w duchu Michaela, kazała zainstalować gazowy palnik.

Weszła na górę do głównej sypialni, którą urządziła w kolorach brzoskwini i bladej zieleni, wzór skopiowany z muzealnego gobelinu. Ściągnęła szarą wełnianą sukienkę, myśląc, żeby wziąć prysznic i przebrać się w wygodną piżamę i szlafrok. Zły nawyk, skarciła się stanowczo. Przecież dopiero szósta.

Zamiast tego wyciągnęła z szafy szafirową bluzę sportową i sięgnęła po tenisówki.

— Od tej chwili wracam do biegania — zapowiedziała na głos.

Ruszyła swoją zwykłą trasą: Grand View do Lincoln Avenue, następnie w kierunku

miasta, okrążyć dworzec autobusowy i z powrotem do domu. Z miłym poczuciem

spełnionego obowiązku wrzuciła bluzę i bieliznę do kosza z praniem w łazience, wzięła prysznic, nałożyła domową piżamę i przejrzała się w lustrze. Zawsze była szczupła i zachowała dość dobrą figurę. Włosy wyglądały całkiem naturalnie. Kolorystka w salonie piękności dobrała farbę do jej własnego rudego odcienia. Nieźle, powiedziała Kitty do swojego odbicia, ale bogowie, za dwa lata stuknie mi sześćdziesiątka!

Czas na wiadomości o siódmej i obowiązkowa pora na sherry. Kitty przeszła przez

sypialnię w stronę holu i zorientowała się, że nie zgasiła światła w łazience. Kto nie trwoni, ten nie zbiednieje, a zresztą elektryczność należy oszczędzać. Pośpieszyła więc z powrotem i sięgnęła do przełącznika. Palce jej zdrętwiały. Rękaw niebieskiej bluzy zwisał z kosza na brudy. Strach jak zimna stalowa obręcz ścisnął ją za gardło, w ustach jej zaschło. Czowała, jak włosy na karku stają dęba. Ten rękaw. Powinna z niego wystawać ręka. Wczoraj. Kiedy koń ją poniósł. Ten odłamek plastiku, który drasnął ją w policzek. Ten rozmazany obraz niebieskiej tkaniny i ręki. Nie zwariowała. Widziała rękę.

Kitty zapomniała włączyć wiadomości o siódmej. Zamiast tego usiadła przed

kominkiem, skulona na kanapie, popijając sherry. Ani ogień, ani sherry nie mogły usunąć zimna obejmującego jej ciało. Czy powinna zadzwonić na policję? Załóżmy, że się

pomyliła. Wyjdzie na idiotkę.

Nie pomyliłam się, powiedziała sobie, ale zaczekam do jutra. Pojadę z powrotem do parku i przejdę się w tym miejscu. Widziałam rękę, ale temu, do kogo należała, nic już nie pomoże.

— Mówisz, że bratanek Ethel u niej mieszka? — zapytał Myles, napełniając wiaderko lodem. — Więc pożyczył trochę pieniędzy, a potem oddał. Takie rzeczy się zdarzają.

Po raz kolejny rozsądne wyjaśnienie okoliczności zniknięcia pisarki, jej zimowych okryć i teraz studolarówek sprawiło, że Neeve poczuła się trochę głupio. Dobrze, że nie powiedziała jeszcze Mylesowi o spotkaniu z Jackiem Campbellem. Po powrocie do domu przebrała się w niebieskie jedwabne spodnie i pasującą do nich bluzkę z długimi rękawami.

Oczekiwała, że ojciec powie: „Ale się wystroiłaś do roboty”. Zamiast tego oczy mu złagodniały, kiedy weszła do kuchni.

— Twoja matka zawsze ślicznie wyglądała w niebieskim — zauważył. Z wiekiem robisz się coraz bardziej do niej podobna.

Neeve sięgnęła po książkę kucharską Renaty. Zamierzała podać cienko pokrojoną szynkę z melonem, pasta z pesto, solę faszerowaną krewetkami, mieszankę młodych

warzyw, sałatkę z arugula i endywii, ser i ciasto. Przekartkowała książkę, aż dotarła do strony ze szkicami. Znowu ominęła je wzrokiem i skupiła się na ręcznie nagryzmołonych instrukcjach matki co do czasu pieczenia soli.

Uznawszy, że wszystko jest dobrze zorganizowane, podeszła do lodówki i wyjęła słoik kawioru. Myles patrzył, jak układa małe grzanecki na drewnianym talerzu.

— Nigdy tego nie polubiłem — wyznał. — Wiem, że mam plebejski gust.

— Wcale nie jesteś plebejski. — Neeve nałożyła kawior na trójkątną grzanekę. — Ale dużo tracisz.

Przyjrzała mu się z uznaniem. Włożył granatową marynarkę, szare spodnie, jasnobłękitną koszulę i ładny czerwono-niebieski krawat, który dała mu na Gwiazdkę.

Przystojny facet, pomyślała, a co najlepsze, nigdy by nie zgadła, że był taki chory.

Powiedziała mu to.

Myles sięgnął po grzanekę z kawiolem i nieufnie wsunął ją do ust.

— Wciąż mi nie smakuje — stwierdził i dodał: — Czuję się dobrze, a beczyność

działa mi na nerwy. Podpytywali mnie, czy nie chciałbym kierować Agencją do Zwalczania Narkotyków w Waszyngtonie. Musiałbym jednak spędzać tam większość czasu. Co ty na to?

Neeve wydała okrzyk i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— To cudownie. Zgódź się. W takiej pracy naprawdę możesz się wykazać.

Nuciła, niosąc kawior i talerz sera brie do salonu. Gdyby jeszcze znalazła się Ethel Lambston. Właśnie próbowała odgadnąć, jak szybko Jack Campbell do niej zadzwoni,

kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Dwaj zaproszeni gości przyszli razem.

Biskup Devin Stanton należał do tych nielicznych duchownych, którzy nawet w życiu prywatnym czuli się swobodniej w koloratce niż w sportowej marynarce. Przerzedzone miedziane włosy przetykane siwizną okalały łysiejącą czaszkę. Za okularami w srebrnych oprawkach bladobłękitne oczy promieniowały ciepłem i inteligencją. Wysoka, chuda

sylwetka poruszała się szybko jak żywe srebro. Neeve zawsze odnosiła niemiłe wrażenie, że biskup potrafi czytać w jej myślach, oraz przyjemne odczucie, że pochwała to, co odczytał. Pocałowała go serdecznie.

Anthony della Salva znowu wyglądał olśniewająco w swojej własnej kreacji. Włożył

grafitowy garnitur z włoskiego jedwabiu. Elegancki krój maskował dodatkowe kilogramy obciążające jego zawsze zaokrąglone ciało. Neeve zapamiętała uwagę Mylesa, że Sal przypomina mu dobrze odżywnego kota. Porównanie pasowało jak ulał. Czarne włosy, nietknięte siwizną, błyszcząły równie mocno jak lśniąca mokasyny od Gucciego.

Obliczanie kosztów ubrań stało się drugą naturą Neeve. Doszła do wniosku, że garnitur wujka kosztowałby w detalu jakieś półtora tysiąca.

Jak zwykle Sal tryskał dobrym humorem.

— Dev, Myles, Neeve, troje moich ulubieńców, nie licząc mojej obecnej dziewczyny, ale z pewnością włączając moje byłe żony. Dev, myślisz, że nasza matka Kościół przyjmie mnie z powrotem, kiedy się zestarzeję?

— Syn marnotrawny winien powrócić skruszony i w łachmanach — odparł sucho

biskup.

Myles zaśmiał się i objął obu przyjaciół za ramiona.

— Boże, dobrze znowu spotkać się z wami. Czuję się jak dawniej w Bronksie. Ciągłe pijesz wódkę Absolut, czy przerzuciłeś się na coś bardziej stylowego?

Wieczór rozpoczęto jak zwykle w przyjemny, niezobowiązujący sposób, który stał się już rytuałem. Dyskusja nad propozycją drugiego martini, wzruszenie ramion: „czemu nie, przecież nie tak często się spotykamy” biskupa, „dla mnie wystarczy” Mylesa,

nonszalanckie „oczywiście” Sala. Rozmowa zeszła z bieżącej polityki („Czy burmistrz znowu wygra wybory?”) na problemy Kościoła („Nie można kształcić dziecka w szkole parafialnej za mniej niż tysiąc sześćset dolarów rocznie. Boże, pamiętacie, jak chodziliśmy do Świętego Franciszka Ksawerego i nasi rodzice płacili dolara miesięcznie? Parafia utrzymywała szkołę z gry w bingo”), lamentsy Sala nad zagranicznym importem („Jasne, powinniśmy popierać pracę związkową, ale możemy mieć ubrania szyte w Korei i

Hongkongu za jedną trzecią tej ceny. Jeśli nie znajdziemy tańszych podwykonawców, przepłacimy. Jeśli znajdziemy, narazimy się związkom”) i suchy komentarz Mylesa: „Nadal uważam, że nie wiemy nawet o połowie mafijnej forsy na Siódmej Alei”.

W nieunikniony sposób wypłynął temat śmierci Nicky’ego Sepettiego.

— To za łatwe dla niego, umrzeć w łóżku — oświadczył Sal, a jowialny wyraz zniknął z jego twarzy. — Po tym, co zrobił twojej ślicznej.

Neeve widziała, jak Myles zacisnął usta. Dawno temu Sal usłyszał, jak Myles,

przekomarzając się, nazwał Renatę „swoją śliczną” i ku irytacji przyjaciela natychmiast to podchwycił. „Jak tam moja śliczna?”, witał Renatę. Neeve wciąż pamiętała tę chwilę na pogrzebie, kiedy wujek ukląkł przy trumnie z oczami pełnymi łez, a potem wstał, objął

Mylesa i powiedział: „Spróbuj myśleć, że twoja śliczna śpi”.

Ojciec odpowiedział wtedy bezbarwnym głosem: „Ona nie śpi. Ona nie żyje. I nigdy więcej nie nazywaj jej tak, Sal. Tylko ja ją tak nazywałem”.

Wujek nigdy nie złamał zakazu — aż do tej pory. Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia. Potem Sal przełknął resztę martini i wstał.

— Zaraz wracam — oznajmił radośnie i ruszył przez hol do gościnnej łazienki.

Devin westchnął.

— Może jest genialnym projektantem mody, ale zawsze musi coś chlapać.

— Pomógł mi na starcie — przypomniała im Neeve. — Gdyby nie Sal, pewnie byłabym teraz asystentką w dziale zakupów u Bloomingdale’a.

Zobaczyła minę Myleśa i ostrzegła:

— Tylko mi nie mów, że tak byłoby dla mnie lepiej.

— Nawet mi to nie przyszło do głowy.

Neeve zapaliła świece i przyciemniła górny żyrandol, zanim podała obiad. Pokój

wypełniły miękkie cienie. Każde danie oceniano jako znakomite. Myles i biskup brali dokładki wszystkiego. Sal dokładał sobie po dwa razy.

— Mniejsza o dietę — stwierdził. — To najlepsza kuchnia na Manhattanie. Przy

deserze rozmowa w nieunikniony sposób zeszła na Renatę.

— To jeden z jej przepisów — oznajmiła Neeve. — Przygotowany specjalnie dla was

dwóch. Tak naprawdę dopiero zaczęłam korzystać z jej książek kucharskich i to świetna zabawa.

Myles powiedział im o możliwości kierowania Agencją do Zwalczenia Narkotyków.

— Może dotrzymam ci towarzystwa w okolicach Waszyngtonu — powiedział Devin z

uśmiechem i zastrzegł: — Tylko nieoficjalnie.

Sal nalegał, że pomoże Neeve sprzątnąć ze stołu, i zaofiarował się przygotować

espresso. Kiedy zajął się ekspresem do kawy, Neeve wyjęła z serwantki prześliczne zielono-złote filiżaneczki, które należały do rodziny Rossettich od pokoleń.

Huk i okrzyk bólu sprowadził ich w pośpiechu do kuchni. Zbiornik ekspresu

przewrócił się, zalewając blat i książkę kucharską Renaty. Sal trzymał ogniście czerwoną dłoń pod strumieniem zimnej wody. Twarz miał upiornie bladą.

— Urwała się rączka od tego cholernego pojemnika — wyjaśnił, siląc się na

nonszalancki ton. — Myles, chyba próbujesz odegrać się na mnie za to, że w dzieciństwie złamałem ci rękę.

Oparzenie wyraźnie było paskudne i bolesne.

Neeve wygrzebała liście eukaliptusa, które ojciec zawsze trzymał pod ręką na

wypadek oparzeń. Osuszyła dłoń Sala, obłożyła liśćmi i owinęła miękką lnianą ściereczką.

Potem biskup postawił zbiornik prosto i zaczął zbierać szmatą wodę z podłogi. Myles wycierał książkę. Neeve zobaczyła wyraz jego oczu, kiedy oglądał szkice Renaty, teraz całkiem zmoczone i

zaplamione.

Sal również to zauważył. Wyrwał rękę opatrywaną przez Neeve.

— Myles, na Boga, przepraszam.

Ten otrząsnął książkę nad zlewem, osuszył z plam kawy, owinał ręcznikiem i ostrożnie położył na lodówce.

— Za co masz przepraszać, do cholery? Neeve, nigdy przedtem nie widziałem tego przeklętego ekspresu. Skąd go masz?

Neeve nastawiła świeżą kawę w starym dzbanku.

— To prezent — wyznała niechętnie. — Ethel Lambston przysłała ci go na Gwiazdkę po tym, jak była u nas na przyjęciu.

Devin Stanton spojrzał zaskoczony, kiedy Myles, Neeve i Sal parsknęli ironicznym śmiechem.

— Wyjaśnię to, jak usiądziemy, wasza wielbność — obiecała Neeve. Mój Boże, nawet podczas obiadu ani na chwilę nie mogę się uwolnić od Ethel.

Przy kawie espresso z sambuccą opowiedziała o tajemniczym zniknięciu pisarki.

Myles skomentował:

— Oby tylko się nie znalazła.

Starając się nie krzywić z bólu w ręce, szybko pokrywającej się pęcherzami, Sal nalał sobie drugi kieliszek sambucki i powiedział:

— Na Siódmej Alei nie ma ani jednego projektanta, którego nie zamęczała swoim artykułem. Odpowiadając na twoje pytanie, Neeve, zadzwoniła do mnie w zeszłym

tygodniu i nalegała, żeby ją połączono. Właśnie mieliśmy spotkanie. Zadała mi kilka pytań w rodzaju: „Czy to prawda, że bił pan rekordy w hokeju w szkole średniej imienia

Krzysztofa Kolumba?”.

Neeve wytrzeszczyła na niego oczy.

— Chyba żartujesz.

— Wcale nie żartuję. Domyślam się, że artykuł Ethel miał zdemaskować wszystkie

historyjki, za które projektanci płacą dziennikarzom, żeby mydlili ludziom oczy. Może to wystrzałowy temat na artykuł, ale nie wmawiaj mi, że książka byłaby warta pół miliona zielonych! To się nie mieści w głowie.

Neeve miała już zdradzić, że Ethel wcale nie dostała takiej zaliczki, ale ugryzła się w język. Jack Campbell na pewno nie chciał, żeby to się rozniosło.

— Nawiasem mówiąc — dodał Sal — podobno twój cynk o nielegalnych szwalniach

Steubera narobił niezłego smrodu. Neeve, trzymaj się z dala od tego faceta.

— Co to ma znaczyć? — zapytał ostro Myles.

Neeve nie powiedziała ojcu, że Gordon Steuber rzekomo przez nią mógł stanąć przed sądem. Potrząsnęła głową w stronę wujka.

— To projektant, od którego przestałam kupować ubrania, gdyż nie podoba mi się jego sposób prowadzenia interesów. — Zwróciła się do Sala: — Dalej twierdzę, że jest coś dziwnego w zniknięciu Ethel. Wiesz, że tylko u mnie kupowała stroje, a wszystkie jej zimowe płaszcze wiszą w szafie.

Ten wzruszył ramionami.

— Neeve, szczerze mówiąc, Ethel jest taka postrzelona, że pewnie wybiegła na mróz bez płaszcza i nawet tego nie zauważyła. Tylko zaczekaj. Zobaczysz, że pojawi się w jakiejś szmacie kupionej z wieszaka w J. C. Penney.

Myles się roześmiał. Neeve pokręciła głową.

— Bardzo mi pomogłeś.

Zanim wstali od stołu, Devin Stanton odmówił modlitwę.

— Dziękujemy ci, Panie, za ten pyszny posiłek, za piękną młodą kobietę, która go przygotowała, i prosimy o błogosławieństwo dla duszy Renaty, którą wszyscy kochaliśmy.

— Dziękuję ci, Dev. — Myles dotknął dłoni biskupa, a potem parsknął śmiechem. —

Gdyby tu była, kazałaby ci sprzątnąć kuchnię, Sal, bo narobiłeś bałaganu.

Po wyjściu gości Neeve z Mylesem wstawili naczynia do zmywarki i pozmywali

garnki i patelnie w przyjaznym milczeniu. Neeve podniosła winowajcę — pojemnik od ekspresu.

— Lepiej go wyrzucę, zanim znowu kogoś poparzy — stwierdziła.

— Nie, zostaw — zaprotestował Myles. — Wygląda na kosztowny. Naprawię go

któregoś dnia podczas oglądania „Ryzykownej gry”.

Ryzykowna gra. Neeve miała wrażenie, że te słowa zawisły w powietrzu.

Niecierpliwie potrząsnęła głową, zgasiła światło w kuchni i pocałowała ojca na dobranoc.

Rozejrzała się, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Światło z korytarza wpadało do gabinetu i Neeve zamrugała, kiedy zatrzymała wzrok na pomarszczonych, poplamionych stronicach książki kucharskiej Renaty, którą Myles położył na swoim biurku.

W piątek rano Ruth Lambston wyszła z mieszkania, kiedy Seamus się golił. Nie

powiedziała mu „do widzenia”. Wspomnienie jego twarzy wykrzywionej z gniewu, kiedy pokazała mu banknot studolarowy, wyryło się w jej umyśle. Przez ostatnie lata

comiesięczny czek alimentacyjny zdusił w niej wszelkie uczucia do niego oprócz pogardy.

Teraz doszło nowe uczucie. Bała się. Seamusa? O Seamusa? Nie wiedziała.

Ruth zarabiała dwadzieścia sześć tysięcy dolarów rocznie jako sekretarka. Po odjęciu podatku, składek na ubezpieczenie, wydatków na samochód, ubrania i lunche obliczyła, że jej zarobki netto z trzech dni w każdym tygodniu ledwo pokrywały alimenty dla Ethel.

„Haruję na tę jędzę”, regularnie wyrzucała Seamusowi.

Zwykle mąż próbował ją uspokajać. Ale wczoraj wieczorem jego twarz wykrzywiła się z furii. Podniósł pięść i Ruth uchyliła się przekonana, że zamierza ją uderzyć. Seamus jednak chwycił studolarówkę i przedarł ją na pół.

— Chcesz wiedzieć, skąd mam pieniądze? — krzyknął. — Ta suka mi to dała. Kiedy

ją poprosiłem, żeby mnie zwolniła z płacenia, powiedziała, że chętnie mi pomoże. Ostatnio była zbyt zajęta, żeby jadać na mieście, więc jej to zostało z zeszłego miesiąca.

— Więc nie powiedziała ci, żebyś przestał wysyłać czeki? — zawołała Ruth.

Gniew na jego twarzy zmienił się w nienawiść.

— Może ją przekonałem, że są granice tego, co człowiek potrafi znieść. Może ciebie też powinienem tego nauczyć.

Te słowa tak bardzo wzburzyły Ruth, że jeszcze teraz oddychała urywanie i chrapliwie.

— Jak śmiesz mi grozić! — wrzasnęła i patrzyła z przerażeniem, jak Seamus

wybuchnął płaczem.

Szlochając opowiedział jej, że włożył list i czek do jednej koperty, a dziewczynka mieszkająca nad Ethel mówiła, że dostarczył okup. „Cały dom śmieje się ze mnie”.

W nocy Ruth leżała bezsennie w sypialni jednej z córek, tak przepełniona pogardą dla męża, że nie mogła nawet znieść myśli o jego bliskości. Nad ranem zrozumiała, że gardziła również sobą. Ta kobieta zmieniła mnie w sekutnicę, pomyślała. To się musi skończyć.

Teraz wargi miała zaciśnięte w surową prostą linię, kiedy zamiast skrócić w prawo, w stronę Broadwayu i stacji metra, ruszyła prosto przez West End Avenue. Dmuchał ostry poranny wiatr, ale Ruth maszerowała szybko na niskich obcasach.

Zamierzała stawić czoło Ethel. Powinna to zrobić wiele lat wcześniej. Czytała

dostatecznie dużo jej artykułów, aby wiedzieć, że tamta pozowała na feministkę. Teraz jednak, kiedy podpisała lukratywną umowę na książkę, odsłoniła swoje słabe miejsce.

„Post” z rozkoszą wydrukuje na stronie szóstej, że Ethel wyciąga tysiąc dolarów

miesięcznie od człowieka, który ma trzy córki na studiach. Żona Seamusa pozwoliła sobie na ponury uśmiech. Jeśli ta pijawka nie zrezygnuje z prawa do alimentów, Ruth zagra ostro.

Najpierw gazeta. Potem sąd.

Zwróciła się do działu personalnego w swoim biurze o nadzwyczajną pożyczkę, żeby

pokryć czek na czesne. Kierowniczką była wstrząśnięta, kiedy dowiedziała się o

alimentach.

— Mam przyjaciółkę, która jest dobrym adwokatem — oznajmiła. Może sobie

pozwolić na pracę za darmo i będzie zachwycona taką sprawą. Jak rozumiem, nie możecie złamać nieodwołalnej umowy alimentacyjnej, ale chyba najwyższa pora ją zmienić. Jeśli podburzycie opinię publiczną, różnie może się zdarzyć.

Ruth zawahała się wtedy.

— Nie chcę narobić wstydu dziewczynkom. Musielibyśmy się przyznać, że z barem

ledwie wychodzimy na swoje. Pozwól mi się zastanowić.

Przechodząc na drugą stronę Siedemdziesiątej Trzeciej, Ruth pomyślała: Albo ona

zrezygnuje z alimentów, albo pójdę do tej prawniczki.

Młoda kobieta pchała wózek dziecięcy prosto na nią. Ruth odsunęła się z drogi i

wpadła na jakiegoś mężczyznę w czapce niemal zakrywającej chudą twarz i obszernym płaszczu, śmierdzącego stęchłym winem. Zmarszczyła nos ze wstrętem, mocniej chwyciła torebkę i umknęła na drugą stronę chodnika. Ulice są takie zatłoczone, pomyślała.

Dzieciaki biegnące do szkoły, staruszkowie na codziennym spacerze do kiosku z gazetami, ludzie, którzy śpieszą do pracy i próbują złapać taksówkę.

Ruth nigdy nie zapomniała domu, którego o mało nie kupili w Westchester

dwadzieścia lat temu. Trzydzieści pięć tysięcy dolarów, a teraz na pewno jest wart dziewięć razy więcej. Kiedy jednak bank zobaczył wysokość alimentów, odmówił pożyczki na hipotekę.

Skręciła na wschód w Osiemdziesiątą Drugą, przecnicę obok domu Ethel.

Wyprostowała ramiona, poprawiła okulary bez oprawek, nieświadomie przygotowując się jak wojownik do walki. Seamus powiedział jej, że Ethel zajmuje mieszkanie na parterze z oddzielnym wejściem. Nazwisko nad dzwonkiem, „E. Lambston”, potwierdziło ten fakt.

Z wnętrza dochodził stłumiony hałas grającego radia. Ruth mocno przycisnęła

dzwonek palcem wskazującym. Lecz pierwszy i drugi dzwonek pozostały bez odpowiedzi.

Ruth nie dała za wygraną. Za trzecim razem naciskała dzwonek bez litości.

Donośny terkot dźwięczał długo, zanim nagroził ją trzask otwieranego zamka. Drzwi otwały się z rozmachem. Rozczochrany młody człowiek w rozpiętej koszuli zmierzył Ruth wściekłym wzrokiem.

— Czego, do cholery? — warknął. Potem zrobił widoczny wysiłek, żeby się uspokoić.

— Przepraszam. Pani jest przyjaciółką cioci Ethel?

— Tak i muszę się z nią zobaczyć.

Ruth zrobiła krok do przodu i młody człowiek musiał albo zastąpić jej drogę, albo ją wpuścić. Odsunął się i weszła do salonu. Rozejrzała się szybko. Seamus zawsze narzekał na bałaganiarstwo Ethel, tutaj jednak panował nieskazitelny porządek. Zbyt wiele papierów, ale poukładanych w schludne stosy. Piękne stylowe meble. Seamus opowiadał o antykach, które kupił dla Ethel. A ja muszę mieszkać wśród tych okropnych gratów, pomyślała Ruth.

— Jestem Douglas Brown. — Doug poczuł zimne macki niepokoju. Coś w tej

kobiecie, w jej zachowaniu, przyprawiało go o dreszcze. — Bratanek Ethel. Czy umówiła się z panią?

— Nie. Ale chcę z nią porozmawiać natychmiast. — Ruth się przedstawiła. — Jestem

żoną Seamusa Lambstona i przyszłam odebrać ostatni czek, który wysłał pańskiej ciotce.

Odtąd koniec z płaceniem alimentów.

Na biurku leżał stos korespondencji. Prawie na wierzchu Ruth dostrzegła białą kopertę z kasztanową ramką — z papeterii, którą córki dały Seamusowi na urodziny.

— Wezmę to — oświadczyła.

Zanim Doug zdążył ją powstrzymać, chwyciła kopertę, rozdarła i wyjęła zawartość.

Podarła czek na strzępy, a list włożyła z powrotem do koperty.

Na oczach Douglasa, zbyt zaskoczonego, żeby protestować, sięgnęła do torebki i wyjęła połówki studolarowego banknotu, przedartego przez Seamusa.

— Zakładam, że ciotki nie ma w domu — powiedziała.

— Ma pani cholerny tupet — warknął Doug. — Mogę kazać panią aresztować.

— Nie radzę — ostrzegła go Ruth. — Proszę. — Wcisnęła mu do ręki kawałki

banknotu. — Niech pan powie tej pijawce, żeby to skleiła i zafundowała sobie ostatni wytworny obiad na koszt mojego męża. Niech pan jej powie, że nie dostanie więcej ani grosza, a jeśli spróbuje nas przyciskać, będzie tego żałowała do końca życia. — Nie dała mu szansy na odpowiedź. Podeszła do ściany ze zdjęciami Ethel i obejrzała je dokładnie. —

Ta baba popisuje się działalnością na rzecz nie wiadomo jakich słusznych spraw i

przyjmuje ze wszystkich stron te cholerne nagrody, ale jedyne go człowieka, który próbował

traktować ją jak kobietę, jak istotę ludzką, zaszczuła prawie na śmierć. — Odwróciła się do Douga. — Uważam, że jest podła. Wiem, co myśli o panu. Objada się pan w eleganckich restauracjach, za które płacimy ja, mój mąż i nasze dzieci, ale tego jeszcze za mało, musi pan okradać ciotkę. Ethel opowiedziała o wszystkim mojemu mężowi. Mogę tylko dodać, że jesteście siebie warci.

Wyszła. Doug z poszarzałą twarzą osunął się na kanapę. Komu jeszcze ta gaduła Ethel opowiedziała o jego zwyczaju podbierania pieniędzy z alimentów?

Kiedy Ruth wyszła na ulicę, pomachała do niej jakaś kobieta stojąca na stopniach

budynku. Wyglądała na niewiele po czterdziestce. Ruth zauważyła, że tamta ma modnie rozwichrzone blond włosy, elegancki pulower i wąskie spodnie, a jej twarz wyrażała niepohamowaną ciekawość.

— Przepraszam, że panią zaczepiani — powiedziała. — Jestem Georgette Wells, sąsiadka Ethel, i martwię się o nią.

Chuda nastolatka otworzyła drzwi, z łomotem zbiegła po schodach i stanęła obok

Georgette. Jej bystre oczy dokładnie obejrzały Ruth i odnotowały, że stała przed wejściem do mieszkania Ethel.

— Czy pani jest przyjaciółką pani Lambston? — zapytała.

Ruth natychmiast odgadła, że właśnie ta dziewczynka wyszydziła Seamusa.

Gwałtowna odraza zmieszana z zimnym, lepkiem strachem ścisnęła ją w żołądku. Dlaczego ta kobieta martwiła się o Ethel? Ruth pomyślała o morderczej furii na twarzy męża, kiedy opowiadał, jak była żona wsunęła mu do kieszeni banknot studolarowy. Pomyślała o

wysprzątanym mieszkaniu, z którego właśnie wyszła. Ileż to razy Seamus jej mówił, że każdy pokój, przez który przeszła Ethel, wyglądał jak po wybuchu bomby atomowej. Ethel Lambston nie przebywała ostatnio w tym mieszkaniu.

— Tak — potwierdziła Ruth, siląc się na przyjazny ton. — Zdziwiłam się, że Ethel nie ma, ale czy to powód do zmartwienia?

— Dana, marsz do szkoły — rozkazała matka dziewczynki. — Znowu się spóźnisz.

Tamta się nadała.

— Chcę posłuchać.

— No dobrze, dobrze — rzuciła niecierpliwie Georgette i odwróciła się do Ruth. —

Coś dziwnego się dzieje. W zeszłym tygodniu Ethel złożył wizytę jej były. Zwykle

przychodzi tylko piątego każdego miesiąca, jeśli nie wysłał alimentów pocztą. Więc kiedy zobaczyłam, jak kręcił się tutaj w zeszły czwartek po południu, pomyślałam, że to dziwne.

Przecież był dopiero trzydziesty, więc dlaczego chciał płacić wcześniej? No i powiem pani, że doszło do karczemnej awantury! Wyraźnie słyszałam, jak na siebie wrzeszczeli.

Ruth zdołała zapanować nad głosem.

— I co mówili?

— No, słyszałam tylko wrzaski, ale nie mogłam rozróżnić słów. Zaczęłam już schodzić po schodach na wypadek, gdyby Ethel miała kłopoty...

Nie, chciałaś lepiej wszystko słyszeć, pomyślała Ruth.

— ...ale wtedy zadzwonił telefon i to była moja matka, dzwoniła z Cleveland w

sprawie rozwodu mojej siostry i dopiero po godzinie przerwała, żeby nabrać tchu. Do tej pory awantura się skończyła. Zadzwoniłam do Ethel. Ona zawsze się wyśmiewa ze swojego byłego. Cudownie potrafi go naśladować, wie pani? Ale nie odbierała, więc pomyślałam, że wyszła. Wie pani, jaka jest Ethel... zawsze gdzieś pędzi. Ale zwykle mnie uprzedza, jeśli zamierza wyjechać na

dłużej, a tym razem nie powiedziała ani słowa. Teraz jej bratanek tam mieszka i to naprawdę dziwne. Georgette Wells skrzyżowała ramiona. — Trochę

zimno, prawda? Zwariowana pogoda. Pewnie przez ten sprej do włosów w warstwie ozonowej. W każdym razie — ciągnęła, podczas gdy Ruth wpatrywała się w nią, a Dana łowiła każde słowo — miałam bardzo dziwne przeczucie, że coś się stało Ethel i ten palant, jej były mąż, maczał w tym palce.

— I nie zapominaj, mamó — wtrąciła Dana — że wrócił w środę i wyglądał, jakby czegoś się bał.

— Miałam do tego dojść. Widziałaś go w środę. To było piątego, więc pewnie dostarczył czek. Potem ja widziałam go wczoraj. No, niech mi pani powie, po co tu wracał?

I nikt nie widział Ethel. No więc tak sobie myślę, że ten facet coś jej zrobił i zostawił ślady, dlatego się wystraszył. Georgette Wells z triumfalnym uśmiechem zakończyła swoją

historię. Jako dobra przyjaciółka Ethel — zwróciła się do Ruth — niech mi pani poradzi.

Czy powinnam zadzwonić na policję i powiedzieć im, że podejrzewam, iż moja sąsiadka została zamordowana?

W piątek rano Kitty Conway odebrała telefon ze szpitala. Jeden z kierowców wolontariuszy zachorował. Czy mogłaby go zastąpić?

Wróciła do domu dopiero późnym popołudniem, przebrała się w dres i buty do

biegania, wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku Morrison State Park. Cienie już się wydłużały i przez całą drogę dyskutowała ze sobą, czy nie zaczekać do jutra rana, ale odważnie jechała dalej, aż do parku. Przez ostatnich kilka dni słońce wysuszyło parking i prowadzące od niego ścieżki, ale na gęsto zalesionych terenach ziemia wciąż była wilgotna.

Kitty obeszła stajnię, próbując znaleźć szlak, na którym poniósł ją koń czterdzieści osiem godzin wcześniej. Ale ku swojemu zmartwieniu odkryła, że zupełnie nie wie, którą trasę wybrać.

— Absolutny brak poczucia kierunku — mruknęła, kiedy gałąź chlasnęła ją po twarzy.

Przypomniała sobie, jak Mikę rysował drobiazgowo szkice pokazujące skrzyżowania i punkty orientacyjne za każdym razem, kiedy jechała sama w nieznanne miejsce.

Po czterdziestu zmarnowanym minutach, z obolałymi nogami, w przemoczonych i zabłoconych tenisówkach, musiała przyznać się do klęski. Zatrzymała się na odpoczynek na polance,

gdzie uczniowie ze szkoły jeździeckiej robili przerwę na przegrupowanie. Nie widziała innych spacerowiczów i nie słyszała żadnych jeźdźców na szlaku. Słońce prawie zaszło. Chyba zwariowałam, pomyślała. Nie powinnam chodzić sama po lesie. Wrócę tutaj jutro.

Wstała i ruszyła z powrotem. Zaraz, pomyślała, to było gdzieś tutaj. Skręciłam w prawo na rozwidleniu i pojechałam w górę po stoku. Gdzieś tutaj ta cholerna szkapa postanowiła bryknąć.

Wiedziała, że się nie myli. Bliskość celu w połączeniu z narastającym lękiem przyprawiły ją o gwałtowne bicie serca. Podczas bezsennej nocy jej umysł przypominał rozbujane wahadło. Naprawdę widziała rękę... Powinna zawiadomić policję... Śmieszne.

Coś jej się przywidziało. Wyjdzie na idiotkę. Powinna zadzwonić z anonimową informacją na posterunek i nie mieszać się do tego. Nie. Założmy, że miała rację, a oni namierzą jej telefon. W końcu wróciła do pierwotnego planu. Sama sprawdzi.

Dwadzieścia minut zabrało jej pokonanie odległości, którą koń przebiegł w pięć minut.

Tutaj ten głupi zwierzak zaczął skubać porosty, przypomniała sobie. Szarpnęła za wodze, a koń ruszył tędy, prosto na dół.

„Tędy” — oznaczało stromą skalistą pochyłość. W gęstniejącej ciemności Kitty

zaczęła schodzić po stoku. Kamienie wyslizgiwały jej się spod tenisówek, raz nawet straciła równowagę, upadła i obtarła sobie rękę. Tylko tego mi brakowało, pomyślała. Pomimo zimna na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Otarła je dłonią umazaną błotem spomiędzy kamieni. Nigdzie nie widziała ani śladu niebieskiego rękawa.

W połowie drogi dotarła do wielkiego głazu i zatrzymała się, żeby na nim odpocząć.

Zwariowałam, pomyślała. Dzięki Bogu, że nie zrobiła z siebie kompletnej idiotki i nie zadzwoniła na policję. Odsapnie i wraca do domu wziąć prysznic.

— Nie rozumiem, dlaczego ludzie lubią piesze wycieczki — powiedziała na głos.

Po chwili, kiedy odzyskała oddech, wytarła dłonie o swój jasnozielony dres. Prawą ręką oparła się o krawędź głazu, żeby wstać. I coś poczuła.

Spojrzała w dół. Chciała wrzasnąć, ale wydała tylko cichy, niedowierzający jęk.

Palcami dotykała innych palców, wymanikiurowanych, z paznokciami pokrytymi ciemnoczerwonym lakierem, przytrzymywanych w górze przez luźne kamienie,

obramowanych niebieskim rękawem, który zapisał się w podświadomości Kitty, ze strzępkiem plastiku niczym żałobna opaska otaczająca smukły, bezwładny nadgarstek.

Denny Adler w przebraniu pijaka zajął stanowisko pod murem dokładnie naprzeciwko

Schwab House o siódmej rano w piątek. Wciąż było zimno i wietrznie, więc pomyślał, że Neeve Kearny raczej nie pójdzie piechotą do pracy w taką pogodę. Ale już dawno temu nauczył się cierpliwości, kiedy kogoś śledził. Duży Charley powiedział, że Neeve zwykle wychodziła do sklepu dość wcześnie, pomiędzy siódmą trzydzieści a ósmą.

Za kwadrans ósma rozpoczął się eksodus. Szkolny autobus zabierał dzieciaki do jednej z tych wymyślnych prywatnych szkół. Ja też chodziłem do prywatnej szkoły, pomyślał

Denny. Szkoła w Domu Poprawczym Brownsville w New Jersey.

Z budynku zaczęli wylewać się japisi. Wszyscy w identycznych płaszczach

przeciwdeszczowych... nie, w burberry, poprawił się Denny. Potem siwowłosi dyrektorzy, mężczyźni i kobiety. Wyglądali gładko i zamożnie. Ze swojego miejsca Adler widział ich doskonale.

Za dwadzieścia dziewięć Denny doszedł do wniosku, że dzisiaj nie ma szczęścia. Nie mógł ryzykować, że kierownik w delikatesach wścieknie się na niego. Wiedział, że z taką kartoteką zatrzymają go do przesłuchania, gdy tylko wykona robotę. Ale wiedział również, że nawet kurator za niego poręczy. „Jeden z moich najlepszych podopiecznych”, powie Toohey. „Nigdy nawet nie spóźnił się do pracy. On jest czysty”.

Denny wstał niechętnie, otrzepał ręce i zerknął w dół. Nosił obszerny brudny płaszcz, cuchnący tanim winem, za dużą czapkę z nausznikami, praktycznie zakrywającą twarz, i dziurawe tenisówki. Nie było natomiast widać, że pod płaszczem miał na sobie schludne ubranie do pracy, spłowiałą drelichową kurtkę zapinaną na zamek błyskawiczny i takie same dzinsy. Trzymał torbę na zakupy, która zawierała jego codzienne obuwie, mokrą ściereczkę i ręcznik. Nóż sprężynowy schował w prawej kieszeni płaszcza.

Planował wejść na stację metra na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Broadwayu, dojść do końca peronu, wrzucić płaszcz i czapkę do torby na zakupy, zmienić dziurawe tenisówki na codzienne buty i wytrzeć z brudu twarz i ręce.

Gdyby tylko ta kobieta nie wsiadła do taksówki wczoraj wieczorem! Gotów był

przysiąc, że chciała wracać do domu na piechotę. Miałby świetną okazję załatwić ją w parku...

Cierpliwość zrodzona z absolutnej pewności, że dopadnie swojej ofiary, jeśli nie tego ranka, to może wieczorem, jeśli nie dzisiaj, to jutro, kazała Denny'emu odejść. Umyślnie zataczał się i wymachiwał torbą, jakby nie zdawał sobie sprawy, że ją niesie. Nieliczni przechodnie, którzy na niego spoglądali, odsuwali się z wyrazem wstrętu lub litości.

Na skrzyżowaniu Siedemdziesiątej Drugiej i West Endu wpadł na jakąś starą babę, która szła z pochyloną głową i groźnie zaciśniętymi ustami, ściskając ramieniem torebkę.

Fajnie by było ją popchnąć i wyrwać torebkę, pomyślał Denny, ale odrzucił ten pomysł.

Minął ją pośpiesznie, skręcił w Siedemdziesiątą Drugą i wszedł na stację metra.

Kilka minut później wyłonił się z czystymi rękami i twarzą, z przylizanymi włosami, w wyblakłej drelichowej kurtce zapiętej starannie pod samą szyję. W torbie na zakupy niósł

płaszcz, czapkę, ściereczkę i ręcznik zwinięte w schludny tobołek.

O dziesiątej trzydzieści dostarczył kawę do gabinetu Neeve.

— Cześć, Denny — powiedziała na jego widok. — Zaspałam dzisiaj rano i teraz nie mogę się rozruszać. I nieważne, co mówią wszyscy, twoja kawa bije na głowę tę lurę, którą tutaj parzą w ekspresie.

— Wszyscy musimy zapaść raz na jakiś czas, panno Kearny — odrzekł Denny, wyjął pojemnik z torby i otworzył go usłużnie.

Neeve obudziła się w piątek rano i z zaskoczeniem zobaczyła, że jest za piętnaście dziewiąta. Dobry Boże, pomyślała, odrzucając kołdrę i wyskakując z łóżka, nie ma to jak siedzieć pół nocy z chłopakami z Bronksu. Narzuciła szlafrok i pospieszyła do kuchni.

Myles nastawił kawę, nalał soku i przygotował muffiny na grzanki.

— Trzeba było mnie zawołać, komisarzu — zrobiła mu wymówkę.

— Świat mody nie ucierpi, jeśli zaczeka na ciebie pół godziny — odparł, nie odrywając się od „Daily News”.

Neeve zajrzała mu przez ramię.

— Coś ciekawego?

— Na pierwszej stronie podsumowanie życia i czasów Nicky’ego Sepettiego. Jutro go chowają, wyprowadzenie zwłok na cmentarz Kalwaria po mszy u Świętej Kamili.

— Spodziewałeś się, że spuszczą go do kanalizacji?

— Nie, miałem nadzieję, że go skremują, a mnie przypadnie w udziale przyjemność wsunięcia trumny w ogień.

— Och, Myles, przestań. — Neeve spróbowała zmienić temat. — Wczoraj był niezły ubaw, nie?

— Rzeczywiście ubaw. Ciekawe, jak tam ręka Sala. Założę się, że wczorajszej nocy nie kochał się ze swoją najnowszą narzeczoną. Słyszałaś, że zamierza znowu się ożenić? Neeve dopiła sok pomarańczowy zawierający „wszystkie witaminy w jednym”.

— Żartujesz. Kim jest ta szczęściara?

— „Szczęściara” to chyba nie jest właściwe słowo — skomentował Myles. — Miał ich do wyboru, do koloru. Nie ożenił się, dopóki nie zbił majątku, a potem przeleciał cały asortyment, od modelki z reklam bielizny do baletnicy, od damy z wyższych sfer do fanatyczki zdrowia. Działał na obszarze od Westchester do New Jersey i od Connecticut do Sneden’s Landing, a każdej zostawił piękny dom. Bóg jeden wie, ile go to kosztowało przez te lata.

— Czy on się kiedyś ustatkuje? — zapytała Neeve.

— Kto wie? Nieważne, ile kasy tłucze, Sal Esposito zawsze pozostanie zakompleksionym dzieciakiem, który chce się sprawdzić.

Neeve wrzuciła muffina do tosterka.

— Co jeszcze straciłam, kiedy krzątałam się przy garach?

— Deva wezwano do Watykanu. To tylko między nami. Powiedział mi, kiedy już wychodzili i Sal poszedł się odlać... przepraszam, twoja matka zabroniła mi tak mówić.

Kiedy Sal poszedł umyć ręce.

— Słyszałam, że mówił coś o Baltimore. Tamejsza archidiecezja?

— Myśli, że tak.

— To może oznaczać czerwony kapelusz.

— Możliwe.

— Muszę przyznać, że chłopcy z Bronksu naprawdę są przebojowi. Widocznie coś tam musi być w powietrzu.

Grzanki wyskoczyły z tosterka. Neeve posmarowała masłem muffina, nałożyła obficie

marmolady i ugryzła. Chociaż zapowiadał się ponury dzień, kuchnia wyglądała wesoło z dębowymi szafkami pomalowanymi białą transparentną farbą wodną i terakotą podłogową w kolorach białym, niebieskim i zielonym. Na wąskim stole leżały lniane maty, miętowo zielone prostokąty z dobranymi serwetkami. Talerze, filiżanki, półmiski, dzbanek i dzbanuszek na śmietankę stanowiły dziedzictwo rodzinne Mylesa. Neeve nie wyobrażała sobie początku dnia bez tej znajomej porcelany.

Uważnie przyjrzała się ojcu. Naprawdę znowu był sobą. Nie chodziło tylko o

Nicky'ego Sepettiego. Chodziło o perspektywę podjęcia pracy, robienia czegoś, co jest potrzebne. Wiedziała, jak ojciec nienawidził handlu narkotykami, dziesiątkującymi młodzież. Kto wie? Może w Waszyngtonie pozna kogoś. Powinien znowu się ożenić. Bóg świadkiem, że przystojny z niego mężczyzna. Powiedziała mu to.

— Wczoraj wieczorem też to mówiłaś — zauważył Myles. — Zamierzam pozować do rozkładówki w „Playgirl”. Myślisz, że mnie wezmą?

— Jeśli tak, to panienki będą się ustawiać w kolejce do ciebie — zapewniła go Neeve.

Zabrała kawę do swojego pokoju, ponieważ był już najwyższy czas ruszać do pracy.

Seamus skończył się golić, wyszedł z łazienki i zobaczył, że Ruth nie ma w

mieszkanie. Przez chwilę stał niezdecydowany, potem poczłapał przez hol do sypialni, rozwiązał pasek brązowego frotowego szlafroka, który dostał od dziewczynek na

Gwiazdkę, i padł na łóżko. Ogarnęło go tak przemożne zmęczenie, że z trudem unosił

powieki. Chciał tylko wpełznąć do pościeli, naciągnąć kołdrę na głowę i spać, spać, spać.

Przez te wszystkie trudne lata Ruth ani razu nie zostawiła go samego w sypialni.

Czasami nie dotykali się przez całe tygodnie, a nawet miesiące, tak przytłoczeni troskami finansowymi, że ledwie mogli oddychać, ale nawet wtedy na mocy obopólnej niepisanej umowy leżeli razem w łóżku, związani tradycją wymagającą, żebyżona spała u boku męża.

Seamus rozejrzał się po pokoju i zobaczył go oczami Ruth. Umeblowanie sypialni,

które kupiła jego matka, kiedy miał dziesięć lat. Nie stylowe, lecz po prostu stare —

mahoniowy fornir, lustro chybotające się gwałtownie na obłuzowanych słupkach nad

toaletką. Pamiętał, jak matka polerowała ten mebel, chuchała i dmuchała na niego. Dla niej komplet mebli — łóżko, toaletka i komoda — stanowił osiągnięcie, symbol „ładnego

domu”.

Ruth zwykle wycinała z „House Beautiful” zdjęcia pokojów, jakie chciałyby mieć.

Nowoczesne meble. Pastelowe kolory. Jasne, przestronne wnętrza. Troski finansowe starły z twarzy żony blask i nadzieję, kazały jej traktować córki zbyt surowo. Seamus pamiętał, jak wrzasnęła na Marcy: „Co to znaczy: rozdarłaś? Oszczędzałam na tę sukienkę!”.

Wszystko przez Ethel.

Oparł głowę na rękach. Rozmowa telefoniczna, którą niedawno odbył, ciążyła mu na sumieniu. Bez wyjścia. Jak tytuł filmu sprzed kilku lat: „Bez wyjścia”.

Wczoraj wieczorem o mało nie uderzył Ruth. Wspomnienie tych ostatnich kilku minut z Ethel, chwila, gdy całkiem stracił panowanie nad sobą, kiedy...

Opadł bezwładnie na poduszkę. Po co chodzić do baru, po co silić się na zachowanie pozorów? Zrobił coś, w co sam ledwie mógł uwierzyć. Za późno, żeby to odwołać, wiedział

o tym. Zresztą i tak nic by nie pomogło. O tym też wiedział. Zamknął oczy.

Nie zdawał sobie sprawy, że zasnął, nagle jednak Ruth była obok. Siedziała na brzegu łóżka. Gniew odpłynął z jej twarzy. Wydawała się zaszczuta i przerażona jak skazaniec przed plutonem egzekucyjnym.

— Seamus — odezwała się — musisz mi wszystko powiedzieć. Co jej zrobiłeś?

* * *

Gordon Steuber zjawił się w swoim biurze przy Zachodniej Trzydziestej Siódmej w piątek o dziesiątej rano. Wjechał windą razem z trzema konserwatywnie ubranymi

mężczyznami, w których natychmiast rozpoznał państwowych rewidentów, powracających, żeby dalej ślęczyć nad jego księgami. Wystarczyło, że personel zobaczył zmarszczone czoło szefa i gniewny krok, a natychmiast rozesłano ostrzeżenie: „Uwaga!”.

Steuber przeszedł przez salę wystawową, ignorując zarówno klientów, jak

pracowników, szybko minął biurko sekretarki, nie racząc odpowiedzieć na jej potulne

„Dzień dobry panu”, i zatrzasnął za sobą drzwi gabinetu.

Kiedy usiadł za biurkiem i odchylił się do tyłu w fotelu z wytłaczanej marokańskiej skóry, który zawsze wzbudzał podziw gości, mars na czole zniknął, zastąpiony przez troskę.

Steuber rozejrzał się po gabinecie, wchłaniając atmosferę, którą stworzył sam dla siebie: kanapy i fotele z wytłaczanej skóry; obrazy, które kosztowały bająńskie sumy; rzeźby mające wartość muzealną, jak go zapewnił rzeczoznawca... Dzięki tej cholernej Neeve Kearny groziło mu, że w

przyszłości spędzi więcej czasu na sali sądowej niż w swoim gabinecie. Albo w więzieniu, jeśli nie będzie uważał.

Steuber wstał i podszedł do okna. Trzydziesta Siódma Ulica. Gorączkowa krzątania ulicznych handlarzy. Ta atmosfera pozostała. Pamiętał, jak w dzieciństwie przychodził

zaraz po szkole pracować u ojca, futrzarza. Tanie futra. Przy takich kreacje I. J. Foxa wyglądały jak sobole. Ojciec ogłaszał bankructwo co kilka lat, regularnie jak w zegarku.

Zanim Gordon skończył piętnaście lat, wiedział, że nie spędzi życia, kichając od króliczej sierści i wmawiając frajerom, że wyglądają dobrze w nędznych zwierzęcych skórkach.

Podszewki. Zrozumiał to, zanim jeszcze zaczął się golić. Jedno jest pewne: czy

sprzedajesz kurtkę, długi płaszcz, czapkę, mufkę czy etolę każde z ubrań musi mieć podszewkę.

To proste odkrycie wraz z niechętną pożyczką od ojca stanowiło początek

przedsiębiorstwa Steubera. Dzieciaki, które zatrudniał świeżo po F. I. T.* [* F. I. T. (Florida Institute of Technology) — znana politechnika na Florydzie (przyp. tłum.)] czy szkole wzornictwa na Rhode Island, miały zapał i wyobraźnię. Jego podszewki z ekscytującymi wzorami chwyciły.

Lecz podszewki nie zapewniały uznania w branży, gdzie liczyło się wyrobione

nazwisko. Właśnie wtedy zaczął szukać młodych ludzi, którzy potrafili projektować kostiumy. Ambitnie zapragnął zostać nową Chanel.

I znowu odniósł sukces. Jego kostiumy trafiły do najlepszych sklepów. Ale dziesięciu albo i dwudziestu takich jak on walczyło o tego samego wymagającego klienta. Za mało pieniędzy.

Steuber sięgnął po papierosa. Złota zapalniczka wysadzana rubinami tworzącymi jego inicjały stała na biurku. Po zapaleniu papierosa jeszcze przez chwilę obracał w palcach kosztowny drobiazg. Wystarczyło, żeby federalni podliczyli wartość wyposażenia tego pokoju i dodali cenę zapalniczki, a zaczną kopać i nie przestaną, dopóki nie wygrzebią dostatecznie dużo, żeby go oskarżyć o uchylanie się od płacenia podatku dochodowego.

To te cholerne związki nie pozwalają osiągać przyzwoitych zysków, pomyślał Gordon.

Wszyscy o tym wiedzieli. Za każdym razem, kiedy Steuber widział reklamę

Międzynarodowego Związku Zawodowego Wytwórców Konfekcji Damskiej, miał ochotę

rzucić czymś w telewizor. Chcieli tylko więcej pieniędzy. Zatrzymaj cały import. Zatrudnij nas!

Dopiero trzy lata temu zaczął robić to, co inni, tworzyć nielegalne zakłady dla

imigrantów bez zezwoleń na pracę. Dlaczego nie? Meksykanki były dobrymi szwaczkami.

A potem odkrył, gdzie leżą prawdziwe pieniądze. Zamierzał właśnie pozamykać

wszystkie nielegalne szwalnie, kiedy Neeve Kearny narobiła wokół niego hałasu. Później ta wariatka Ethel Lambston zaczęła węszyć. Ciągłe ją widział, jak wtargnęła tutaj w zeszłym tygodniu, w ubiegłą środę wieczorem. May jeszcze siedziała w sekretariacie. Gdyby nie ona, to z miejsca...

Wyrzucił wtedy tę żołą, dosłownie chwycił ją za ramiona i wyprowadził przez całą salę wystawową do głównego wyjścia, a potem wepchnął do windy, aż Ethel się zatoczyła.

Nawet to jej nie powstrzymało. Kiedy zatrzaskał drzwi, wrzasnęła: „W razie gdybyś nie wiedział, dobiorą się do ciebie za oszustwa podatkowe, nie tylko za nielegalne szwalnie. A to tylko na początek. Odkryłam, co kombinujesz!”.

Zrozumiał wtedy, że nie może pozwolić, żeby dalej grzebała w jego sprawach. Musiał ją uciszyć.

Zadzwonił telefon: miękki mrużący dźwięk. Zirytowany Gordon podniósł słuchawkę.

— O co chodzi, May?

Sekretarka mówiła przeproszającym tonem.

— Wiem, że miałam panu nie przeszkadzać, ale agenci z biura prokuratora generalnego nalegają na spotkanie.

— Przyślij ich.

Steuber wygładził marynarkę swojego jasnobieżowego jedwabnego włoskiego

garnituru, stał chusteczką pyłki z kwadratowych diamentowych spinek w mankietach i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Kiedy weszli trzej agenci, bardzo profesjonalni i rzeczowi, przypomniał sobie po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny, że to wszystko przez Neeve Kearny, która narobiła hałasu wokół jego nielegalnych szwalni.

W piątek rano o jedenastej Jack Campbell wrócił z zebrania pracowników i ponownie zaatakował maszynopis, który zamierzał przeczytać poprzedniego wieczoru. Tym razem zmusił się do skupienia na pikantnych przygodach wybitnej trzydziestotrzyletniej

specjalistki psychiatrii, która zakochuje się w pacjencie, podstarzałym gwiazdorze filmowym. Razem wyjeżdżają na potajemne wakacje do St. Martin. Aktor dzięki swoim długim i bogatym doświadczeniom z kobietami przełamuje bariery, jakie pani doktor psychiatra zbudowała wokół swojej kobiecości. W zamian, po trzech tygodniach

nieustannego spółkowania pod gwiazdzistym niebem, ona pomaga mu odzyskać wiarę w siebie. Idol jedzie do Los Angeles, by przyjąć rolę dziadka w nowej komedii sytuacyjnej.

Pani doktor zaś wraca do swojej praktyki, wiedząc, że pewnego dnia spotka odpowiedniego mężczyznę. Książka kończy się, kiedy pani doktor przyjmuje nowego pacjenta,

przystojnego trzydziestoosmioletniego maklera giełdowego, który jej mówi: „Jestem zbyt bogaty, zbyt przestraszony, zbyt zagubiony”.

O mój Boże, pomyślał Jack, przeglądając ostatnie strony. Rzucił maszynopis na biurko akurat wtedy, kiedy Ginny weszła do gabinetu ze stosem listów. Ruchem głowy wskazała dzieło.

— No i jak?

— Straszne, ale dobrze się sprzeda. Zabawne, przy tych wszystkich scenach

erotycznych w ogrodzie ciągle myślałem o ugryzieniach komarów. Czy to znaczy, że się starzeję?

Sekretarka się uśmiechnęła.

— Wątpię. Pamiętasz, że jesteś umówiony na lunch?

— Zapisalem sobie.

Jack wstał i przeciągnął się mocno. Ginny z aprobatą zmierzyła go wzrokiem.

— Wiesz, że wszystkie młodsze redaktorki szczebioczą o tobie? Ciągle mnie pytają, czy na pewno nie jesteś z nikim związany.

— Powiedz im, że ty i ja jesteśmy parą.

— Chciałabym. Gdybym była o dwadzieścia lat młodsza, kto wie. Uśmiech Jacka

zmienił się w grymas niepokoju.

— Ginny, właśnie coś mi przyszło do głowy. Ile czasu zostało do zamknięcia numeru

„Contemporary Woman”?

— Nie wiem dokładnie. A dlaczego?

— Zastanawiam się, czy mógłbym dostać kopię artykułu, który dla nich napisała Ethel Lambston, tego o modzie. Wiem, że Toni zwykle nie pokazuje niczego, zanim nie zapnie magazynu na ostatni guzik, ale spróbuj, okay?

— Jasne.

Godzinę później, kiedy Jack wyszedł na lunch, Ginny zadzwoniła do niego.

— Artykuł ukaze się w przyszłym tygodniu. Toni mówi, że w drodze wyjątku pozwoli ci go przeczytać. Przyśle ci również skserowane notatki Ethel.

— To wspaniale.

— Sama zaproponowała — ciągnęła sekretarka. — Powiedziała mi, że odrzuty z artykułów Ethel zwykle są bardziej sensacyjne niż to, co prawnicy pozwolą wydrukować.

Toni też martwi się o Ethel. Mówi, że skoro wydajesz jej książkę o modzie, to chyba nie naruszy tajemnicy służbowej.

Zjeżdżając windą w drodze na spotkanie, Jack uświadomił sobie, że chciałby jak najszybciej zobaczyć te odrzuty z teczki Ethel, zbyt sensacyjne do druku.

* * *

Ani Ruth, ani Seamus nie poszli w piątek do pracy. Siedzieli w domu, spoglądając na siebie jak ludzie, którzy zostali uwięzieni w lotnych piaskach i toną, bezradnie oczekując na nieuniknione. W południe Ruth zrobiła mocną kawę i grzanki z serem, a potem zmusiła męża, żeby wstał i się ubrał.

— Jedz — nakazała — i powiedz mi jeszcze raz dokładnie, co się stało.

Słuchając, ledwie mogła sobie wyobrazić, co to znaczy dla dziewczynek. Nadzieje

położone w córkach. Studia, na które wysupłała ostatni grosz. Lekcje tańca i śpiewu, ubrania tak pieczołowicie kupowane na wyprzedazach. Co to pomoże, jeśli ich ojciec trafi do więzienia?

Seamus ponownie wyrzucił z siebie całą historię. Z okrągłą twarzą lśniącą od potu, z grubymi rękami ułożonymi bezwładnie na kolanach, opowiadał, jak błagał Ethel, żeby go zdjęła z haka, a ta z niego drwiła. „Może ci daruję, a może nie”, oświadczyła. Potem szperała między poduszkami kanapy. „Zobaczmy, czy znajdę trochę pieniędzy, których mój bratanek zapomniał ukraść”, rzuciła ze śmiechem i znalazwszy banknot studolarowy, włożyła mu do kieszeni, wyjaśniając, że w tym miesiącu nie miała czasu chodzić po knajpach.

— Uderzyłem ją — oznajmił bezbarwnie Seamus. — Nie wiedziałem, że to zrobię.

Głowa jej odskoczyła na bok. Ethel upadła na plecy. Nie wiedziałem, czy jej nie zabiłem, ale podniosła się i wyglądała na przestraszoną. Powiedziałem, że jeśli zażąda ode mnie choćby centa więcej, zabiję ją. Wiedziała, że nie żartuję. Wtedy się zgodziła: „No dobrze, koniec z alimentami”.

Seamus przełknął resztkę kawy. Siedzieli w gabinecie. Dzień wstał szary i zimny, a teraz wyglądał jak wczesny wieczór. Szary i zimny. Zupełnie jak w zeszły czwartek w mieszkaniu Ethel. Następnego

dnia rozpełtała się zamieć. Zamieć znowu nadejdzie.

Przeczuwał to.

— A potem wyszedłeś? — ponagliła go Ruth. Seamus się zawahał.

— Potem wyszedłem...

Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu. Ruth rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na ciężkie dębowe meble, których nienawidziła przez dwadzieścia lat, na wyblakły

maszynowy perski dywan, którego widok musiała znosić, i zrozumiała, że mąż nie powiedział jej całej prawdy. Spuściła wzrok na swoje ręce. Za małe. Kwadratowe.

Serdelkowate palce. Wszystkie trzy córki miały długie, smukłe dłonie. Czyje geny?

Seamusa? Prawdopodobnie. Jej zdjęcia rodzinne przedstawiały małych, krępych ludzi. Ale silnych. A on był słaby. Słaby, przerażony mężczyzna, który wpadł w desperację. Jak wielką?

— Nie powiedziałaś mi wszystkiego — oświadczyła. — Chcę znać prawdę. Muszę wiedzieć. Tylko wtedy mogę ci pomóc.

Z twarzą ukrytą w dłoniach wyznał jej resztę.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Ruth. — O mój Boże!

O pierwszej Denny przyszedł do Salonu Neeve, niosąc kartonowy pojemnik,

zawierający dwie kanapki z tuńczykiem i kawę. Ponownie recepcjonistka machnięciem ręki skierowała go do gabinetu szefowej. Neeve była zajęta rozmową ze swoją asystentką, tą fajną czarną laską. Denny nie dał im czasu, żeby go odprawiły. Otworzył torbę, wyjął

kanapki i zapytał:

— Będziecie jadły tutaj?

— Denny, rozpieszczasz nas. To prawie jak obsługa hotelowa — powiedziała Neeve.

Zamarł, ponieważ uświadomił sobie własny błąd. Za bardzo rzucił się w oczy. Ale

chciał poznać rozkład dnia swej ofiary. Jak na zamówienie Neeve powiedziała do Eugonii:

— Muszę zaczekać do późnego popołudnia, żeby mieć z czym iść w poniedziałek na

Siódmą Aleję. Pani Poth przyjdzie o wpół do drugiej i chce, abym pomogła jej wybrać suknie.

— Zarobimy na czynsz na następne trzy miesiące! — zawołała dziarsko Eugenia.

Denny poskładał serwetki. Poniedziałek, późne popołudnie — dobrze wiedzieć.

Rozejrzał się po pokoju. Mały gabinet bez okna. Fatalnie. Przez okno mógłby jej strzelić prosto w plecy. Ale Charley uprzedzał, że to nie powinno wyglądać na zamach. Zmierzył

wzrokiem Neeve. Naprawdę niezła. Ma klasę. Szkoda, że trzeba sprzątnąć taką sztukę, kiedy jest tyle gorszych. Wymamrotał „do widzenia” i wyszedł, odprowadzany ich

podziękowaniami. Recepcjonistka zapłaciła mu, jak zwykle dodając hojny napiwek. Ale przy dwóch dolcach za dostawę długo trzeba czekać, zanim się uzbiera dwadzieścia tysięcy, pomyślał Denny, kiedy otwierał ciężkie szklane drzwi i wychodził na ulicę.

Pogryzając kanapkę, Neeve wybrała numer Toni Mendell z „Contemporary Woman”.

Wysłuchawszy prośby Neeve, redaktorka zawołała:

— Bogowie, co w was wstąpiło? Sekretarka Jacka Campbella dzwoniła w tej samej

sprawie. Powiedziałam jej, że też martwię się o Ethel. Będę szczerą, pozwoliłam Jackowi obejrzeć notatki Ethel, bo to jej wydawca. Nie mogę ich dać tobie, ale dostaniesz artykuł.

— Zdusiła w zarodku podziękowania Neeve. — Tylko, na litość boską, nie pokazuj go nikomu. I tak dostatecznie dużo facetów od mody wpadnie w rozpacz, kiedy go przeczytają.

Godzinę później Neeve i Eugenia ślęczały nad odbitką artykułu Ethel. Tytuł brzmiał:

„Mistrzowie i mistrzowscy fałszerze mody”, zjadliwy nawet jak na Ethel Lambston.

Zaczęła od omówienia trzech najważniejszych trendów mody z ostatnich pięćdziesięciu lat: nowej linii Christiana Diora z roku 1947, minispódniczek Mary Quant z początku lat sześćdziesiątych i motywu rafy koralowej Anthony’ego della Salvy z 1972 roku.

O Diorze napisała:

W 1947 roku w modzie wciąż panował zastój i wciąż dominowały wojskowe fasony z

lat wojny. Oszczędny krój, kwadratowe ramiona, mosiężne guziki. Dior, nieśmiały młody projektant, oświadczył, że chcemy całkowicie zapomnieć o wojnie. Odrzucił krótkie spódniczki jako pamiątkę wojennych ograniczeń. Miał odwagę powiedzieć

niedowierzającemu światu, dowodząc tym swego geniuszu, że codzienna suknia przyszłości wydłuży się do trzydziestu centymetrów nad ziemią.

Nie było mu łatwo. Kalifornijska niezdara potknęła się o długą spódnicę, wysiadając z autobusu i pomogła rozdmuchać narodową rewoltę przeciwko nowej linii. Ale Dior nie złożył broni, czy raczej

nożyczek, i sezon po sezonie wprowadzał piękne, pełne wdzięku kreacje — zakładki pod dekoltem, wymodelowana talia z niezaprasowanymi plisami,

przechodzącymi w wąską spódnicę. A jego dalekosiężne przepowiednie sprawdziły się w ostatnim katastrofalnym najeździe minispódniczek. Może pewnego dnia wszyscy

projektanci nauczą się, że tajemniczość stanowi ważny element w modzie.

We wczesnych latach sześćdziesiątych czasy się zmieniały. Nie można zwać

wszystkiego na Wietnam czy Watykan II, ale zmiana wisiała w powietrzu, kiedy młoda, energiczna angielska projektantka wkroczyła na scenę. Nazywała się Mary Quant, mała dziewczynka, która nie chciała dorosnąć i nigdy, przenigdy nie zamierzała nosić dorosłych ubrań. Pojawia się minispódniczka, suknia-koszulka, kolorowe rajstopy, wysokie buty.

Pojawia się zasada, że młodość nigdy, pod żadnym pozorem nie może wyglądać staro.

Kiedy poproszono Mary Quant, żeby wyjaśniła założenia swojej mody i wskazała, dokąd prowadzi, odrzekła beztrasko: „Seks”.

W 1972 roku skończyły się minispódniczki. Kobiety, zmęczone nieustanną walką z podjeżdżającymi do góry obrąbkami, poddały się i przestawiły na męskie ubrania.

Wkracza Anthony della Salva i motyw rafy koralowej, della Salva przyszedł na świat nie w pałacu na jednym z siedmiu wzgórz Rzymu, jak każą wam wierzyć dziennikarze, lecz jako Sal Esposito na farmie przy Williamsbridge Road w Bronksie. Prawdopodobnie

rozwinął swoje wrodzone wyczucie koloru, pomagając ojcu układać owoce i warzywa na ciężarówce, z której sprzedawali swój towar na sąsiednich ulicach. Jego matka Angelina, bynajmniej nie contessa Angelina, słyszała ze swojego żargonowego zawołania: „Witajcie, witajcie, Boziu wam błogosław. Kupicie te piękne grejpfruty?”.

Sal był miernym uczniem w szkole średniej imienia Krzysztofa Kolumba (w Bronksie, nie we Włoszech), niezbyt zdolnym studentem w F. I. T. Jeden z wielu projektantów, który w końcu zrzędzeniem losu okazał się tym wybranym. Zaprezentował kolekcję, a ta

wyniosła go na szczyty: motyw rafy koralowej, jego jedyny oryginalny pomysł.

Ale jaki pomysł, della Salva jednym wspaniałym posunięciem skierował modę z

powrotem na właściwe tory. Każdy, kto widział ów pierwszy pokaz w 1972, nadal pamięta wrażenie wywołane przez te pełne wdzięku stroje, które zdawały się spływać z modelek: tuniki z falującym karczkiem, wełniane popołudniowe suknie skrojone w ten sposób, że układały się miękko na figurze, plisowane rękawy z lśniącej tkaniny, która w świetle mieniła się różnymi odcieniami. I te kolory. Zapożyczył kolory od tropikalnej oceanicznej flory i fauny, od koralu, podwodnych roślin oraz morskich stworzeń, i wykorzystał ich naturalne ubarwienie, żeby stworzyć własne egzotyczne wzory,

niektóre olśniewająco zuchwałe, niektóre zgaszone, jak błękity i srebro. Kreator motywu rafy koralowej zasługuje na największe zaszczyty, jakie mu przyznał świat mody.

W tym miejscu Neeve zaśmiała się z przymusem.

— Sal będzie zachwycony tym, co Ethel napisała o rafie koralowej powiedziała — ale co do reszty nie wiem. Tyle w życiu nakłamał i niemal sam siebie przekonał, że urodził się w Rzymie, a jego matka była hrabiną. Z drugiej strony sam mówił wczoraj wieczorem, że spodziewał się czegoś w tym rodzaju. Wszyscy wrzeszczą, jak ciężko mieli ich starzy w tamtych czasach. Sal pewnie sprawdzi, na którym statku jego rodzice przyплыли na Ellis Island, i każe zrobić jego replikę.

Po omówieniu największych przełomów w modzie tak, jak je widziała, Ethel przeszła do tych projektantów, którzy według jej słów nie potrafili „odróżnić guzika od pętelki” i wynajmowali utalentowanych młodych ludzi, żeby wymyślali i tworzyli ich kolekcje.

Opisała znowę projektantów, którzy idą na łatwiznę i co kilka lat usiłują wywrócić modę do góry nogami, nawet jeśli to oznacza przebieranie wiekowych matron za tancerki

kankana. Bezlitośnie wyszydziła owczy pęd ludzi goniących za modą, którzy wyrzucają trzy lub cztery tysiące dolarów na garnitur z niespełna dwóch metrów gabardyny.

Potem Ethel wzięła pod lupę Gordona Steubera:

Pożar Triangle Shirtwaist Company w 1911 roku otworzył oczy społeczeństwa na straszliwe warunki pracy robotników zatrudnionych w przemyśle tekstylnym.

Międzynarodowy Związek Zawodowy Wytwórców Konfekcji Damskiej (MZZWKD)

sprawił, że obecnie ludzie z talentem mogą przyzwoicie zarobić w branży mody. Lecz niektórzy biznesmeni znaleźli sposób, żeby zwiększyć swoje dochody kosztem

bezbronnych. Nowe „czarne” fabryki powstają w południowym Bronksie i Long Island

City. Nielegalni imigranci, często niemal dzieci, harują za nędzne grosze, ponieważ nie mają zielonych kart i boją się protestować. Królem tych bezwzględnych fabrykantów jest Gordon Steuber. Dużo, dużo więcej o Steuberze w następnym artykule, ale pamiętajcie o jednym. Za każdym razem, kiedy wkładacie jego kostium czy garnitur, pomyślcie o

dziewczynce, która go uszyła. Prawdopodobnie nie stać jej na porządny posiłek.

Artykuł kończył się peanem na cześć Neeve Kearny z Salonu Neeve, która rozpoczęła dochodzenie w sprawie Steubera i wyrzuciła jego ubiory ze sklepu.

Neeve pobieżnie przejrzała resztę tekstu i odłożyła papiery.

— Przypięła łatkę każdemu znaczniejszemu projektantowi w branży! Może

wystraszyła się i postanowiła przywarować, dopóki emocje nie opadną. Zaczynam się martwić.

— Czy Steuber może zaskarżyć ją i czasopismo? — zapytała Eugenia.

— Prawda jest najlepszą obroną. Na pewno dysponują wymaganymi dowodami. Ale najbardziej mnie dobija, że Ethel kupiła u mnie ostatnio jego kostium... ten, który mieliśmy zwrócić.

Zadzwonił telefon. Po chwili w interkomie zabrzmiał głos recepcjonistki:

— Pan Campbell do ciebie, Neeve. Eugenia wzniosła oczy do nieba.

— Powinnaś zobaczyć wyraz swojej twarzy.

Zgarnęła resztki kanapek w papierowe opakowania i wrzuciła do kosza razem z kubkami po kawie.

Neeve zaczęła, aż za asystentką zamknęły się drzwi, zanim podniosła słuchawkę.

Siląc się na zdawkowy ton, powiedziała:

— Neeve Kearny, słucham.

Z konsternacją stwierdziła, że brakuje jej tchu. Jack od razu przeszedł do rzeczy.

— Neeve, zjesz ze mną obiad dzisiaj wieczorem? — Nie czekał na odpowiedź. —

Zamierzałem ci powiedzieć, że mam notatki Ethel Lambston i pragnę je przejrzeć wspólnie z tobą, ale tak naprawdę to chcę cię zobaczyć.

Neeve poczuła się zażenowana, gdyż serce waliło jej jak szalone. Umówili się na siódmą w Carlyle'u.

Przez resztę popołudnia panował nadzwyczajny ruch. O czwartej Neeve wyszła do

działu sprzedaży i zaczęła obsługiwać klientki. Same nowe twarze. Młoda dziewczyna, najwyżej dziewiętnastoletnia, kupiła suknię wieczorową za tysiąc czterysta dolarów i sukienkę koktajlową za pięćset. Bardzo nalegała, żeby Neeve pomogła jej dokonać wyboru.

— Wie pani — zwierzyła się — moja przyjaciółka pracuje w „Contemporary Woman”

i widziała artykuł, który ukaże się w przyszłym tygodniu. Tam piszą, że pani ma więcej gustu w małym palcu niż wszyscy projektanci z Siódmej Alei i nikomu pani nigdy źle nie doradziła. Kiedy to powiedziałam mamie, przysłała mnie tutaj.

Dwie inne nowe klientki mówiły to samo. Ktoś znał kogoś, kto im powiedział o

artykule. O szóstej trzydzieści Neeve z ulgą wywiesiła na drzwiach napis: „Zamknięte”.

— Chyba nie powinniśmy obgadywać biednej Ethel — stwierdziła. Rozkręciła nam interes lepiej, niż gdybym dała reklamę na każdej stronie „Woman”.

Po pracy Doug Brown wstąpił do miejscowego supermarketu w drodze do mieszkania Ethel. Dochodziła szósta trzydzieści, kiedy przekręcając klucz w zamku, usłyszał natarczywy dzwonek telefonu.

Początkowo postanowił go zignorować, jak to robił od tygodnia. Lecz kiedy telefon brzęczał nieustępliwie, Doug zaczął się wahać. Ciotka nie lubiła, żeby ktoś odbierał jej telefony, to jedna sprawa. Ale chyba logiczne, że po tygodniu spróbuje się z nim skontaktować?

Postawił torbę z zakupami w kuchni. Ostre dzwonienie trwało. W końcu podniósł słuchawkę.

— Halo.

Głos po drugiej stronie był bełkotliwy i gardłowy.

— Chcę rozmawiać z Ethel Lambston.

— Nie ma jej. Jestem jej bratankiem. Chce pan zostawić wiadomość?

— No pewno. Powiedz pan Ethel, że jej były wisi kupę forsy niewłaściwym ludziom i nie może ich spłacić, dopóki płaci alimenty. Jeśli nie zdejmie z haka Seamusa, dostanie od nich nauczkę. Powiedz pan jej, że trudno pisać z połamanymi palcami.

Doug usłyszał kliknięcie i połączenie zostało przerwane.

Rzucił słuchawkę na widełki i opadł na kanapę. Czuł kropelki potu na czole i pod pachami. Splótł dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie.

Co powinien zrobić? Czy to prawdziwa groźba, czy tylko nabieranie? Nie mógł

przejsć nad tą rozmową do porządku dziennego. Nie chciał dzwonić na policję. Zaczną zadawać pytania.

Neeve Kearny.

To ona martwiła się o Ethel. Powie jej o telefonie. Zagra przejętego, przestraszonego bratanka

proszącego o radę. W ten sposób będzie kryty na wypadek, gdyby groźba okazała się prawdziwa.

* * *

Eugenia zamykała na klucz gabloty z cenną modną biżuterią, kiedy w sklepie zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

— Neeve, do ciebie. Ktoś bardzo zdenerwowany.

Myles! Następny atak serca? Neeve podbiegła do telefonu. — Tak?

Ale to był Douglas Brown, bratanek Ethel Lambston. Zwykła ironiczna wyniosłość zniknęła z jego głosu.

— Panno Kearny, czy ma pani chociaż cień pomysłu, gdzie mogę znaleźć ciotkę?

Właśnie wróciłem do mieszkania i odebrałem telefon. Jakiś facet kazał ją ostrzec, że Seamus, jej były mąż, ma wielkie długi i nie może ich spłacić, dopóki płaci alimenty. Jeśli Ethel nie zdejmie go z haka, dadzą jej nauczkę. Trudno pisać z połamanymi palcami, tak powiedział ten facet. — Douglas Brown mówił niemal płaczliwie. — Panno Kearny,

musimy ostrzec Ethel.

Odłożywszy słuchawkę, Doug wiedział, że podjął słuszną decyzję. Za radą córki

byłego komisarza zadzwoni teraz na policję i zgłosi groźbę. Policjanci potraktują go jak przyjaciela rodziny Kearnych.

Sięgał po słuchawkę, kiedy telefon znowu zadzwonił. Tym razem Douglas odebrał bez wahania.

Policja dzwoniła do niego.

* * *

W piątki Myles Kearny starał się jak najmniej rzucać w oczy. Lupe, ich długoletnia dochodząca sprzątaczką, przez cały dzień odkurzała i trzepała, szorowała i glansowała.

Kiedy zjawiła się z poranną pocztą w ręku, Myles wycofał się do gabinetu. Otrzymał

kolejny list z Waszyngtonu, ponagający go do objęcia stanowiska szefa Agencji do Zwalczenia Narkotyków.

Myles poczuł przyływ adrenaliny w starych żyłach. Sześćdziesiąt osiem lat. Jeszcze nie jest taki stary. I nareszcie zajmie się czymś pożytecznym. Neeve. Za dużo jej naopowiadałem o miłości od pierwszego wejrzenia, pomyślał. To się wcale nie sprawdza dla większości ludzi. Jeśli nie będę

przy niej cały czas, wróci do realnego świata.

Odchylił się do tyłu w starym, wygodnym skórzanym fotelu, który stał w jego gabinecie przez szesnaście lat pracy na stanowisku komisarza policji. Pasuje do mojego tyłka, pomyślał. Jeśli pojedę do Waszyngtonu, każę go sprowadzić.

Z korytarza dochodził szum odkurzacza. Nie chcę tego słuchać przez cały dzień, pomyślał Myles. Pod wpływem impulsu wybrał swój dawny numer, biuro komisarza, przedstawił się sekretarce Herba Schwartza i po chwili rozmawiał z nim samym.

— Myles, o co chodzi?

— Najpierw moje pytanie — odparł Myles. — Jak tam Tony Vitale?

Wyobrażał sobie Herba: niski, drobny, bystre i przenikliwe spojrzenie, potężny intelekt, niesamowita zdolność syntetycznego ujęcia problemu. A co najlepsze, wierny przyjaciel.

— Jeszcze nie mamy pewności. Zostawili go na śmierć i uwierz mi, mieli prawo sądzić, że nic nie ryzykują. Ale ten chłopak jest niesamowity. Wbrew wszelkim rokowaniom lekarze myślą, że przeżyje. Wybieram się później do niego. Chcesz iść ze mną?

Umówili się na lunch.

Nad kanapkami z indykiem w barze, niedaleko szpitala Świętego Wincentego, Herb opowiedział Mylesowi o zbliżającym się pogrzebie Nicky'ego Sepettiego.

— Obstawiamy go i FBI go obstawia. Biuro prokuratora generalnego również. Ale sam nie wiem, Myles. Moim zdaniem przed czy po śmierci Sepetti to stara historia.

Siedemnaście lat to dostatecznie długo, żeby wypaść z obiegu. Cały świat się zmienił. W dawnych czasach mafia nie tykała narkotyków, a teraz kąpią się w prochach. Świat Nicky'ego już nie istnieje. Gdyby Sepetti przeżył, kazaliby go sprzątnąć.

Po lunchu poszli na oddział intensywnej opieki do Świętego Wincentego. Tajny detektyw Anthony Vitale leżał spowity bandażami. Płyn z kroplówki skapywał mu do żył. Maszyny rejestrowały ciśnienie krwi i bicie serca. Rodzice siedzieli w poczekalni.

— Co godzinę pozwalają nam go zobaczyć na kilka minut — powiedział ojciec. — On przeżyje — dodał z przekonaniem.

— Twardego gliniarza nawet siekierą nie dobijesz — zażartował Myles, ściskając mu rękę.

— Komisarzu — odezwała się matka Tony'ego.

Patrzyła na Mylesa, więc chciał jej wskazać Herba, ale ten powstrzymał go nieznacznym przeczącym gestem.

— Komisarzu, myślę, że Tony próbuje nam coś powiedzieć.

— Przekazał nam to, co musieliśmy wiedzieć. Że Nicky Sepetti nie zlecił kontraktu na moją córkę.

Rosa Vitale pokręciła głową.

— Komisarzu, byłam przy Tonym co godzinę przez ostatnie dwa dni. To nie wszystko.

On chce nam przekazać coś jeszcze.

Tony'ego pilnowano przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Herb Schwartz skinął na młodego detektywa, który siedział w dyżurce pielęgniarek na oddziale intensywnej opieki.

— Słuchaj wszystkiego — powiedział do chłopaka.

Myles i Herb razem weszli do windy.

— I co myślisz? — zapytał Herb. Myles wzruszył ramionami.

— Jeśli nauczyłem się czemuś ufać, to instynktowi matki. Pomyślał o tym odległym dniu, kiedy matka kazała mu odszukać tę miłą rodzinę, która ukrywała go podczas wojny.

— Tony mógł sporo się dowiedzieć tamtego wieczoru. Na pewno wszystko omówili,

żeby wprowadzić Nicky'ego w bieżące sprawy. — Coś sobie przypomniał. — Aha, Herb, jeszcze jedno, Neeve ciągle suszy mi głowę, że jej znajoma pisarka zniknęła. Powiedz chłopakom, żeby mieli na nią oko, dobrze? Około sześćdziesiątki, jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, dobrze ubrana. Włosy ufarbowane na srebrny blond. Waga około sześćdziesiąt kilo. Nazywa się Ethel Lambston. Pewnie właśnie zamęcza kogoś o wywiad do swojej kolumny, ale...

Winda się zatrzymała. Wyszli do westybulu i Schwartz wyjął notes.

— Poznałem Ethel Lambston w ratuszu. Podsuwała burmistrzowi dużo sloganów

wyborczych i ciągle ją wzywał. Trochę postrzelona, co?

— Właśnie.

Obaj się roześmiali.

— Dlaczego Neeve martwi się o nią?

— Bo przysięga, że Lambston wyszła z domu w zeszły czwartek albo piątek bez zimowego płaszcza. Ona kupuje wszystkie ubrania u Neeve.

— Może wybierała się na Florydę albo Karaiby i nie chciała taszczyć zbędnego bagażu? — zasugerował Herb.

— Wspomniałem Neeve o takiej możliwości, ale twierdzi, że w szafie Ethel brakuje tylko zimowych ubrań, a Neeve zna się na tym.

Herb westchnął.

— Może twoja córka na coś natrafiła. Podaj mi jeszcze raz ten opis.

Myles wrócił do cichego, spokojnego mieszkania, wysprzątanego już na wysoki połysk. Telefon Neeve o szóstej trzydzieści jednocześnie go ucieszył i zaniepokoił.

— Wychodzisz na obiad. Dobrze. Mam nadzieję, że on jest interesujący. Potem powiedziała mu o telefonie od Douga.

— Kazałaś mu zgłosić te pogróżki na policję? Słusznie. Może Ethel się wystraszyła i zwała. Rozmawiałem dzisiaj o niej z Herbem. Zawiadomię go o tym.

Mylesowi wystarczyły na obiad owoce, krakersy i szklanka wody mineralnej Perrier.

Przy jedzeniu próbował skupić się na lekturze „Time’a”, ale coraz mocniej doskwierała mu świadomość, że zbyt pochopnie zbagatelizował złe przeczucia Neeve dotyczące Ethel Lambston.

Nalał sobie drugą szklankę perriera i dotarł do centrum swojego niepokoju.

Telefoniczne pogróżki, zgłoszone przez bratanka Ethel, nie brzmiały prawdziwie.

* * *

Neeve i Jack Campbell siedzieli na półkolistej kanapie w jadalni hotelu Carlyle. Pod wpływem impulsu Neeve zmieniła bawełnianą sukienkę, którą włożyła do pracy, na

miękką, kolorową i wzorzystą. Jack zamówił drinki: martini z oliwkami dla siebie, kieliszek szampana dla Neeve.

— Przypominasz mi piosenkę „Piękna dziewczyna jest jak melodia” powiedział. —

Czy w dzisiejszych czasach można kogoś nazwać piękną dziewczyną? Wolisz być atrakcyjną osobą?

— Wystarczy mi piosenka.

— Czy to jedna z sukienek, które noszą manekiny na twojej wystawie?

— Jesteś bardzo spostrzegawczy. Kiedy je widziałeś?

— Wczoraj wieczorem. I nie przechodziłem przypadkiem. Byłem strasznie ciekawy.

— Jack Campbell nie wydawał się zakłopotany swoim wyznaniem.

Neeve przyjrzała mu się uważniej. Tego wieczoru miał na sobie ciemnoniebieski

garnitur w delikatne kredowobiałe prążki. Nieświadomie kiwnęła głową, pochwalając ogólny efekt, krawat od Hermesa w dokładnie tym samym odcieniu niebieskiego, szytą na miarę koszulę i proste złote spinki do mankietów.

— Ujdę w tłoku? — zapytał Jack. Neeve się uśmiechnęła.

— Niewielu mężczyzn naprawdę potrafi dobrać krawat do garnituru. Od lat wybieram krawaty dla ojca.

Pojawił się kelner z drinkami. Jack odczekał, aż kelner odejdzie, zanim się odezwał:

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tobie. Na początek, skąd to imię,

Neeve?

— Jest celtyckie. Właściwie pisze je się N-i-a-m-h, a wymawia „Nyyw”. Dawno temu

zrezygnowałam z wyjaśnień, więc kiedy otworzyłam sklep, po prostu użyłam fonetycznego zapisu. Zdziwiłbyś się, ile czasu zaoszczędziłam, nie mówiąc o wątpliwej przyjemności wysłuchiwania, jak ludzie nazywają mnie „Niam”.

— A kim była oryginalna Neeve?

— Boginią. Podobno dokładne tłumaczenie to „gwiazda poranka”. Moja ulubiona

legenda opowiada, jak Niamh zstąpiła na ziemię, żeby zabrać upatrzonego mężczyznę.

Przez długi czas byli razem szczęśliwi, a potem on zapragnął odwiedzić świat ludzi.

Wiedział, że jeśli dotknie stopami ziemi, powróci do swojego prawdziwego wieku. Reszty możesz się domyślić. Facet spadł z konia, a biedna bogini zostawiła szkielet i wróciła w niebiosy.

— Czy tak traktujesz swoich adoratorów?

Oboje się roześmiali. Neeve miała wrażenie, że za obopólną zgodą odkładają na

później rozmowę o Ethel. Dziwne, ale kiedy powiedziała Eugenie o telefonie z pogrózkami, tamta uznała to za pocieszający fakt. „Jeśli Ethel odebrała taki telefon, nic dziwnego, że postanowiła zniknąć na jakiś czas. Kazałaś jej bratankowi, żeby to zgłosił na policję. Twój ojciec zajmuje się tą sprawą. Nic więcej nie możesz zrobić. Moim zdaniem nasza poczciwa Ethel zaszła się w jakimś kurorcie”.

Neeve chciała w to wierzyć. Wyrzuciła z myśli Ethel i sączyła szampana, uśmiechając się przez stół do Jacka.

Nad selerową remuladą rozmawiali o czasach dorastania. Ojciec Campbella był

pediatrą. Jack wychował się na przedmieściach Omaha. Miał starszą siostrę, która wciąż mieszkała niedaleko rodziców.

— Tina ma pięcioro dzieci. Noce są zimne w Nebrasce.

Będąc w szkole średniej latem pracował w księgarni i zafascynowało go wydawanie książek.

— Więc po uniwerku Northwestern wyjechałem do pracy w Chicago i handlowałem

podręcznikami akademickimi. To wystarczy, żeby udowodnić swoją męskość. Praca

polegała między innymi na sprawdzaniu, czy ktoś z profesorów, którym sprzedawałem podręczniki, akurat pisze książkę. Jedna z wykładowczyń koniecznie chciała mi wcisnąć swoją autobiografię. Wreszcie powiedziałem jej: „Szanowna pani, spójrzmy prawdzie w oczy. Pani miała bardzo nudne życie”. Poskarżyła się na mnie szefowi.

— I straciłeś pracę? — zapytała Neeve.

— Nie. Zrobili mnie wydawcą.

Neeve rozejrzała się po sali. Odpowiadała jej dyskretna elegancja otoczenia: delikatna porcelana, cenne srebra i piękne adamaszkowe obrusy; dekoracje kwiatowe; przyjemny szmer głosów przy innych stolikach. Poczowała się szalenie, absurdalnie szczęśliwa. Przy mostku jagnięcym opowiedziała Jackowi o sobie.

— Ojciec walczył zębami i pazurami, żeby posłać mnie na studia, ale ja wolałam

zostać w domu. Chodziłam do Mount St. Vincent i spędziłam jeden semestr w Anglii w Oksfordzie, a potem rok na Uniwersytecie Perugii. W wakacje i po szkole pracowałam w sklepach odzieżowych. Zawsze wiedziałam, co chcę robić w życiu. Najlepszą rozrywką stały się dla mnie pokazy mody. Wujek Sal był wspaniały. Odkąd moja matka umarła, zawsze przysyłał po mnie samochód, kiedy pokazywano nową kolekcję.

— Co robisz dla przyjemności? — zapytał Jack.

Pytanie brzmiało zbyt zdawkowo. Neeve uśmiechnęła się, odgadując jego motywy.

— Przez cztery czy pięć letnich sezonów wynajmowaliśmy wspólnie dom w

Hamptons — powiedziała. — Świetnie się bawiłam. W zeszłym roku zrezygnowałam, bo

Myles był bardzo chory. Zimą jeżdżę na nartach w Vail przynajmniej przez parę tygodni.

Byłam tam w lutym.

— Z kim jeździsz?

— Zawsze z moją najlepszą przyjaciółką, Julie. Inne twarze się zmieniają.

Zapytał wprost:

— A mężczyźni?

Neeve wybuchnęła śmiechem.

— Mówisz jak Myles. Daję słowo, że nie będzie szczęśliwy, dopóki nie odegra ojca

narzeczonej. Jasne, że często chodziłam na randki. Spotykałam się z tym samym

chłopakiem praktycznie przez całe studia.

— I co się stało?

— Wyjechał na Harvard robić dyplom z zarządzania, a ja zajęłam się sklepem. Każde z nas wróciło do własnego świata. Nazywał się Jeff. Potem był Richard. Naprawdę miły.

Ale znalazł posadę w Wisconsin, a ja wiedziałam, że nigdy nie mogłabym wyjechać na stałe z Nowego Jorku, więc to chyba nie była prawdziwa miłość. — Zaczęła chichotać. — Kilka lat temu o mało się nie zaręczyłam. Nazywał się Gene. Zerwaliśmy na wencie dobroczynnej na „Intrepid”.

— To statek?

— Tak. Dokuje na Hudsonie przy Zachodniej Pięćdziesiątej Szóstej. W każdym razie

przyjęcie odbywa się w weekend Święta Pracy: czarne krawaty, masa ludzi. Przysięgam, że znam dziewięćdziesiąt procent stałych bywalców. Gene i ja zgubiliśmy się w tłumie. Nie przejmowałam się, bo wiedziałam, że w końcu się spotkamy. Ale kiedy mnie znalazł, był

wściekły. Uważał, że powinnam go szukać z większym poświęceniem. Zobaczyłam wtedy faceta, z którym nie chciałam spędzić życia. — Neeve wzruszyła ramionami. — Prawda jest taka, że po prostu nikt do mnie nie pasuje.

— Na razie — uśmiechnął się Jack — zaczynam myśleć, że naprawdę jesteś

legendarną Neeve, która porzuca adoratorów i odchodzi w dal. Nie zasypywałaś mnie pytaniami o sprawy osobiste, ale i tak ci powiem. Też dobrze jeżdżę na nartach. Ostatnio na Boże Narodzenie kilka razy jeździłem do Arosa. Zamierzam poszukać jakiegoś miejsca na letnie wakacje, gdzie można żeglować. Powinnaś oprowadzić mnie po Hamptons. Podobnie jak ty, kilka razy o mało się nie ustatkowałem. Właściwie byłem zaręczony cztery lata temu.

— Moja kolej zapytać: co się stało? Jack wzruszył ramionami.

— Gdy już miała na palcu pierścionek z brylantem, zmieniła się w bardzo zaborczą młodą damę. Zorientowałem się, że zaczyna mi brakować oddechu. Głęboko wierzę w małżeńskie rady Khalila Gibrana.

— Coś jak „kolumny świątyni stoją oddzielnie”? — upewniła się Neeve. Nagrodził ją spojrzeniem wyrażającym żartobliwy szacunek.

— Otóż to.

Dopiero kiedy zjedli maliny i sączyli espresso, zaczęli rozmowę o Ethel. Neeve opowiedziała Jackowi o telefonie od bratanka zaginionej i możliwości, że pisarka się ukrywa.

— Mój ojciec jest w kontakcie ze swoim wydziałem. Każe im sprawdzić, kto groził

Ethel. Szczerze mówiąc, sama uważam, że powinna już darować temu biednemu facetowi.

To obrzydliwe, że ciągnie od niego forszę przez tyle lat. Potrzebne jej te alimenty jak dziura w moście.

Jack wyjął z kieszeni złożoną odbitkę artykułu. Neeve oznajmiła, że już go czytała.

— Twoim zdaniem jest skandalizujący? — zapytał Jack.

— Nie. Moim zdaniem jest zabawny, cięty, złośliwy, zajmujący i potencjalnie

oszczerczy. Nie ma tam ani jednej rzeczy, o której by nie wiedzieli wszyscy w branży. Nie jestem

pewna, jak zareaguje wujek Sal, ale znając go, mogę się założyć, że obróci na swoją korzyść fakt, iż jego matka sprzedawała owoce na ulicy. Martwi mnie raczej Gordon Steuber. Mam przeczucie, że potrafi być wredny. Inni projektanci, których Ethel

obsmarowała? Trudno powiedzieć. Wszyscy wiedzą, że oprócz jednego czy dwóch znani kreatorzy nie potrafią postępować moralnie. Po prostu uwielbiają igrać z ogniem.

Jack przytaknął.

— Następne pytanie. Czy uważasz, że z tego artykułu można zrobić wystrzałową książkę?

— Nie. Nawet Ethel tego nie dokona.

— Mam wszystkie kawałki usunięte z artykułu. Jeszcze nie zdążyłem ich przejrzeć. —

Jack gestem poprosił o rachunek.

Naprzeciwko Carlyle'a, po drugiej stronie ulicy, czekał Denny. Wiedział, że raczej nie ma szans. Szedł za Neeve po Madison Avenue aż do hotelu, ale nie mógł się do niej zbliżyć.

Za dużo ludzi. Grube ryby w drodze z pracy do domu. Nawet gdyby dał radę ją sprzątnąć, za bardzo ryzykował wpadkę. Jedyna nadzieja, że Neeve opuści restaurację sama, może pójdzie do miejskiego autobusu albo nawet wróci piechotą do domu. Ale była z jakimś facetem i razem wsiedli do taksówki.

Poczucie frustracji wywołało na twarzy Denny'go brzydki grymas pod smugami

brudu, które upodabniały go do innych okolicznych meneli. Jeśli taka pogoda się utrzyma, Neeve zawsze będzie korzystała z taksówek. Musiał pracować w weekend, za nic nie chciał

ryzykować, że podpadnie szefowi. To oznaczało, że mógł czatować pod domem Neeve

tylko wcześniej rano, na wypadek gdyby wyszła do sklepu lub pobiegać, albo po szóstej wieczorem.

Pozostawał poniedziałek. I dzielnica odzieżowa. Denny jakoś czuł w kościach, że

sprawa rozstrzygnie się właśnie tam. Wśliznął się do bramy, rzucił obszarpany płaszcz, przetarł brudnym ręcznikiem twarz i ręce, wepchnął płaszcz i ręcznik do torby na zakupy, po czym ruszył do baru. Zasłużył sobie na piwo z dopalaczem.

Dochodziła dziesiąta, kiedy taksówka podjechała pod Schwab House.

— Ojciec teraz pije drinka przed snem — powiedziała Neeve. — Jesteś

zainteresowany?

Dziesięć minut później siedzieli w salonie, sącząc brandy. Neeve wiedziała, że coś jest nie w porządku. Myles miał zmartwioną minę, nawet kiedy gawędził swobodnie z Jackiem.

Wyczuła, że chciał jej coś powiedzieć na osobności.

Jack opowiadał Mylesowi, jak poznał Neeve w samolocie.

— Uciekła tak szybko, że nie zdążyłem wziąć od niej numeru telefonu. A teraz mi mówi, że nie zdążyła na połączenie.

— Za to ręczę — potwierdził Myles. — Czekałem na nią na lotnisku przez cztery godziny.

— Muszę przyznać, że bardzo się ucieszyłem, kiedy podeszła do mnie na tamtym przyjęciu i zapytała o Ethel Lambston. Wnosząc z tego, co mi mówiła Neeve, Ethel nie należy do pańskich ulubienic, panie Kearny.

Neeve zachłysnęła się na widok zmienionej twarzy ojca.

— Jack — powiedział — pewnego dnia nauczę się poważnie traktować przeczucia

Neeve. — Odwrócił się do córki. — Herb dzwonił kilka godzin temu. W Morrison State Park w okręgu Rockland znaleziono zwłoki. Odpowiadały rysopisowi Ethel. Sprowadzili bratanka Ethel i on ją zidentyfikował.

— Jak to się stało? — spytała szeptem Neeve.

— Poderżnięto jej gardło.

Zamknęła oczy.

— Wiedziałam, że zdarzyło się coś złego. Wiedziałam!

— Miałaś rację. Zdaje się, że już mają podejrzanego. Kiedy sąsiadka z góry zobaczyła policyjny samochód, w te pędy zbiegła ze schodów. Podobno Ethel strasznie się pokłóciła z byłym mężem w zeszły czwartek po południu. Od tamtej pory chyba nikt jej nie widział. W

piątek nie stawiała się na umówione spotkanie z tobą i ze swoim bratankiem. — Myles przełknął resztkę brandy i wstał, żeby sobie dolać. — Zwykle piję tylko jeden kieliszek, ale jutro rano chłopcy z wydziału zabójstw dwudziestego komisariatu chcą z tobą pogadać. A biuro prokuratora z okręgu Rockland pytało, czy możesz przyjechać i obejrzeć ubrania Ethel. Stwierdzili, że ciało przenoszono po śmierci. Powiedziałem Herbowi, że zwróciłaś uwagę na fakt, iż w szafie Ethel nie brakowało żadnego płaszcza, a wszystkie ubrania kupowała u ciebie. Z kostiumu, który miała na sobie, oderwano metki. Chcą wiedzieć, czy rozpoznasz go jako jeden z twoich. Cholera jasna, Neeve —

wykrzyknął — wcale mi się nie podoba, że jesteś świadkiem w sprawie o morderstwo!

Jack Campbell wyciągnął swój kieliszek po dolewkę.

— Mnie też — powiedział cicho.

Wciążu nocy wiatr się zmienił i przegonił ciężkie chmury nad Atlantyck. Sobotni ranek wstał słoneczny i pogodny. Ale wciąż panowało zimno niezwykle jak na tę porę roku, a synoptyk z CBS ostrzegał, że chmury powrócą i po południu może nawet padać śnieg.

Neeve wyskoczyła z łóżka. Była umówiona z Jackiem na jogging o siódmej trzydzieści.

Naciągnęła bluzę, reeboki i zawiązała włosy w koński ogon. Myles był już w kuchni.

Zmarszczył brwi.

— Nie lubię, kiedy biegasz sama tak wcześnie.

— Nie sama.

Ojciec wznosił oczy do sufitu.

— Rozumiem. Nie tracisz czasu, co? Polubiłem go, Neeve. Neeve naląła soku

pomarańczowego.

— Nie rób sobie wielkich nadziei. Maklera też polubiłeś.

— Nie mówiłem, że go lubię. Mówiłem, że wyglądał na porządnego człowieka. To

różnica. — Myles przestał się droczyć. — Neeve, tak sobie myślę, że sensowniej będzie, jeśli najpierw pojedziesz do okręgu Rockland i pogadasz z tamtejszymi detektywami, zanim dopadną cię nasi chłopcy. Jeśli masz rację, ubranie Ethel Lambston pochodzi z twojego sklepu. Więc ustalmy to w pierwszej kolejności. Uważam, że następnie powinnaś dokładnie przeczesać jej szafę i sprawdzić, czego jeszcze brakuje. Wiemy, że wydział zabójstw chce to zwalić na byłego męża, ale niczego nie wolno przesądzać z góry.

Zabrzączał domofon. Neeve podniosła słuchawkę. To był Jack.

— Już schodzę — powiedziała.

— O której chcesz jechać do okręgu Rockland? — zapytała Mylesa. Naprawdę muszę

dzisiaj zajrzeć do pracy.

— Wczesne popołudnie wystarczy. — Widząc jej zdziwione spojrzenie, dodał: —

Kanał jedenasty nadaje na żywo relację z pogrzebu Nicky'ego Sepettiego. Chcę siedzieć w pierwszym rzędzie.

Denny zajął swoje stanowisko o siódmej rano. O siódmej dwadzieścia dziewięć

zobaczył wysokiego faceta w dresie wchodzącego do Schwab House. Po kilku minutach Neeve Kearny wyszła razem z nim i ruszyli biegiem w stronę parku. Denny zmełł w zębach przekleństwo. Gdyby tylko była sama. Mógł ją dogonić na skróty. W parku było prawie całkiem pusto, mógł ją załatwić wszędzie. Wymacał pistolet w kieszeni. Wczoraj

wieczorem, kiedy wrócił do domu, Duży Charley czekał na niego w wozie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Opuścił szybę i podał mu brązową papierową torbę. Denny wziął ją i wyczuł w środku kształt pistoletu.

— Kearny zaczyna sprawiać poważne kłopoty — powiedział Duży Charley. — Już nie ma znaczenia, czy to będzie wyglądało na wypadek. Każdy sposób jest dobry, tylko ją skasuj.

Teraz Adlera kusilo, żeby pójść za nimi do parku i załatwić oboje. Ale Duży Charley byłby niezadowolony.

Denny ruszył w przeciwnym kierunku. Dzisiaj miał na sobie rozciągnięty sweter, który zwisał mu do kolan, podarte spodnie z diagonalu, skórzane sandały i wełnianą czapkę, niegdyś jaskrawożółtą. Pod czapką nosił siwą perukę; kosmyki tłustych siwych włosów lepiły mu się do czoła. Wyglądał jak ćpun z wypalonym mózgiem. W drugim przebraniu wyglądał na pijaka. Ale w ten sposób nikt nie zapamięta konkretnego osobnika, który kręcił

się pod domem Neeve Kearny.

Wrzucając żeton do bramki metra przy Siedemdziesiątej Drugiej, Denny pomyślał:

Powinienem obciążyć Charleya kosztami tych wszystkich ubrań na zmianę.

* * *

Neeve i Jack weszli do parku przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy i pobiegli na wschód, a potem na północ. Kiedy zbliżali się do Metropolitan Museum, Neeve

instynktownie skręciła na zachód. Nie chciała oglądać miejsca, gdzie zginęła jej matka. Ale na widok zdziwionej miny Jacka powiedziała:

— Przepraszam, ty prowadzisz.

Próbowała rezolutnie patrzeć przed siebie, ale nie mogła się powstrzymać od zerkania na polankę wśród jeszcze nagich drzew. Tamtego dnia mama nie przyszła odebrać jej ze szkoły. Dyrektorka, siostra Maria, kazała jej czekać i zaproponowała, żeby odrabiała lekcje.

Dochodziła piąta, kiedy Myles po nią przyszedł. Wtedy już przeczuwała, że coś się stało.

Mama nigdy się nie spóźniała. Gdy tylko podniosła wzrok i zobaczyła ojca, stojącego nad nią z

zaczerwienionymi oczami, z twarzą pełną udręki i żalu, od razu zrozumiała.

Wyciągnęła do niego ręce. „Czy mama nie żyje?” „Moje biedne dziecko — powiedział Myles, podniósł ją i przytulił. — Moje biedne dziecko”.

Neeve poczuła napływające do oczu łzy. Gwałtownie przyśpieszyła, mijając cichą alejkę obok przybudówki muzeum mieszczącej egipską kolekcję. Dobiegła prawie do jeziorka, zanim zwolniła.

Jack dotrzymywał jej kroku. Teraz wziął ją za ramię.

— Neeve?

To było pytanie. Kiedy skręcili na zachód, a potem na południe, stopniowo zwalniając do szybkiego marszu, opowiedziała mu o Renacie.

Wyszli z parku na Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicę. Ostatnie kilka przecznic do Schwab House szli obok siebie, ze splecionymi dłońmi.

* * *

Kiedy w sobotę o siódmej rano Ruth włączyła radio, usłyszała wiadomość o śmierci Ethel. O północy wzięła tabletkę nasenną i przez następne godziny spała ciężkim, narkotycznym snem, pełnym słabo zapamiętanych koszmarów. Seamus aresztowany,

Seamus na procesie. Ta diablica Ethel zeznaje przeciwko niemu. Przed laty Ruth pracowała w kancelarii adwokackiej i doskonale się orientowała, jakie zarzuty można postawić Seamusowi.

Lecz kiedy słuchała wiadomości, wypuściwszy z drżących palców filiżankę z herbatą, dodała w myślach jeszcze jeden zarzut: morderstwo.

Odepchnęła krzesło od stołu i pobiegła do sypialni. Mąż właśnie się obudził.

Potrząsając głową, przesunął ręką po twarzy w charakterystycznym geście, który zawsze ją irytował.

— Zabiłeś ją! — wrzasnęła. — Jak mam ci pomóc, skoro nie mówisz mi prawdy!

— Co ty wygadujesz?

Gwałtownie włączyła radio. Spiker opisywał, jak i gdzie znaleziono ciało Ethel.

— Od lat zabierałeś dziewczynki na pikniki do parku! — zawołała. Znasz to miejsce jak własną

kieszon. Więc powiedz mi prawdę! Czy pchnąłeś ją nożem?

Godzinę później, sparaliżowany ze strachu, Seamus jakoś dotarł do pracy. Znalaziono ciało Ethel. Wiedział, że policja przyjdzie po niego.

Wczoraj Brian, dzienny barman, pracował na dwie zmiany. Jako demonstrację swojego niezadowolenia zostawił lepki i brudny kontuar. Wietnamski chłopak, który zajmował się kuchnią, był już na miejscu. Przynajmniej on palił się do pracy.

— Na pewno powinien pan przychodzić, panie Lambston? — zapytał. — Ciągle bardzo źle pan wygląda.

Seamus próbował przypomnieć sobie pouczenia Ruth. „Powiedz, że złapałeś grypę.

Nigdy nie zwalniasz się z pracy. Muszą uwierzyć, że wczoraj naprawdę byłeś chory, że chorowałeś przez cały weekend. Muszą uwierzyć, że w zeszły weekend nie wychodziłeś z mieszkania. Rozmawiałeś z kimś? Czy ktoś cię widział? Ta sąsiadka na pewno im powie, że przychodziłeś tam kilka razy w ubiegłym tygodniu”.

— Cholerne zarazki dają mi w kość — wymamrotał. — Wczoraj było źle, ale w weekend naprawdę się pochorowałem.

Ruth zadzwoniła o dziesiątej. Wysłuchał i jak dziecko powtórzył słowo po słowie, co mu mówiła.

Otworzył lokal o jedenastej. W południe zaczęli napływać starzy bywalcy, którzy jeszcze mieszkali w okolicy.

— Seamus — zahuczał jeden z nich, marszcząc jowialną twarz w uśmiechu — smutna nowina o biednej Ethel, ale wspaniale, że już nie musisz płacić alimentów. Firma stawia?

O drugiej, zaraz po lunchu, kiedy dość duży ruch zaczął słabnąć, dwaj mężczyźni weszli do baru. Jeden, rumiany i masywnie zbudowany facet po pięćdziesiątce, mógł równie dobrze nosić na czole napis: „glina”. Jego partner, smukły Hiszpan, nie miał jeszcze trzydziestki. Przedstawili się jako detektywi O’Brien i Gomez z dwudziestego komisariatu.

— Panie Lambston — zagadnął cicho O’Brien — czy wiadomo panu, że pańska była żona Ethel Lambston została znaleziona w Morrison State Park i że padła ofiarą zabójstwa?

Seamus chwycił brzeg baru tak mocno, że kostki mu pobielają. Kiwnął głową, niezdolny do mówienia.

— Zechce pan wstąpić na komendę główną? — zapytał detektyw O'Brien.

Odchrząknął. — Chcemy z panem wyjaśnić parę spraw.

Po wyjściu Seamusa do baru Ruth zadzwoniła do mieszkania Ethel Lambston.

Podniesiono słuchawkę, ale nikt się nie odzywał. Wreszcie Ruth powiedziała:

— Chciałabym rozmawiać z Douglasem Brownem, bratankiem Ethel Lambston. Mówi Ruth Lambston.

— Czego pani chce? — Ruth rozpoznała głos bratanka.

— Muszę z panem pomówić. Zaraz przyjadę.

Dziesięć minut później wysiadła z taksówki przed domem Ethel. Podając kierowcy

należność, spojrzała w górę. Zasłona w oknie na trzecim piętrze drgnęła. Wścibska sąsiadka, której nic nie umykało.

Douglas Brown czekał na nią. Otworzył drzwi i cofnął się, żeby ją przepuścić. W

mieszkaniu nadal panował niezwykły porządek, chociaż Ruth zauważyła na stole cienką warstewkę kurzu. Nowojorskie pokoje wymagają codziennego odkurzenia.

Nie wierząc, że podobna myśl mogła jej przyjść do głowy w takiej chwili, Ruth stanęła dokładnie przed Douglasem. Zauważyła kosztowny szlafrok i jedwabną piżamę widoczną pod spodem. Mężczyzna miał podpuchnięte oczy jak po pijaństwie. Regularne rysy jego twarzy byłyby przystojne, gdyby nie brakowało im siły. Przypominały Ruth rzeźby z piasku lepiące przez dzieci, rzeźby, które rozwiewał wiatr i zmywał przyływ.

— Czego pani chce? — zapytał.

— Nie będę marnować mojego ani pańskiego czasu opowiadaniem, że przykro mi z

powodu śmierci Ethel. Pragnę dostać list, który Seamus napisał do pańskiej ciotki, i chcę, żeby pan to włożył zamiast listu.

Wyciągnęła rękę. Koperta nie była zaklejona. Douglas otworzył ją zawierająca czek alimentacyjny datowany piątego kwietnia.

— Co pani kombinuje?

— Nic nie kombinuję. Robię uczciwą wymianę. Niech mi pan odda list Seamusa i

ustalmy jedno. Mój mąż przyszedł tutaj w środę, żeby dostarczyć alimenty. Ethel nie było w domu,

więc wrócił w czwartek, bo martwił się, że nie włożył jak należy koperty do jej przepelnionej skrzynki. Wiedział, że Ethel pozwie go do sądu, jeśli nie znajdzie czeku.

— Dlaczego miałbym tak mówić?

— Dlatego, że w zeszłym roku Seamus zapytał Ethel, komu zostawi swoje pieniądze.

Stwierdziła mu, że nie ma wyboru... pan jest jej jedynym krewnym. Ale w zeszłym tygodniu powiedziała Seamusowi, że pan ją okrada. Planowała zmienić testament.

Douglas zrobił się biały jak kreda.

— Pani kłamie.

— Czyżby? — zapytała Ruth. — Daję panu szansę, a pan da szansę Seamusowi. Nie powiemy o pańskich kradzieżach, a pan nie powie o liście.

Douglas poczuł niechętny podziw dla tej zdeterminowanej kobiety, która stała przed nim z torebką wepchniętą pod pachę, w praktycznym płaszczu na każdą pogodę, w

praktycznych pantoflach, w okularach powiększających jej bladoniebieskie oczy, z zaciśniętymi wąskimi wargami. Wiedział, że nie blefowała.

Podniósł oczy do sufitu.

— Pani chyba zapomina, że ta papla z góry opowiada każdemu, kto się nawinie, że Seamus i Ethel ostro się pokłócili na dzień przedtem, jak nie stawiała się na umówione spotkania.

— Rozmawiałam z tą kobietą. Nie potrafi zacytować ani jednego słowa. Twierdzi tylko, że słyszała podniesione głosy. Seamus z natury mówi głośno, a Ethel wrzeszczy, jak tylko otworzy usta.

— Zdaje się, że pomyślała pani o wszystkim — mruknął Doug. — Przyniosę list.

Wszedł do sypialni.

Ruth bezszelestnie podkrađła się do biurka. Obok stosu korespondencji dostrzegła czerwono-złotą rękojeść sztyletu, o którym jej mówił Seamus. W mgnieniu oka sztylet zniknął w jej torebce. Czy tylko jej się wydawało, że był lepki w dotyku?

Douglas Brown wyszedł z sypialni, niosąc list. Ruth zerknęła na papier i wepchnęła go głęboko do bocznej kieszeni torebki. Zanim wyszła, wyciągnęła rękę do Douglasa.

— Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiej ciotki, panie Brown — powiedziała.

— Mąż prosił mnie, żebym przekazała panu wyrazy współczucia. Nieważne, ile kłopotów sobie sprawiali, był czas, kiedy się kochali i byli szczęśliwi. Ten czas Seamus na zawsze zapamięta.

— Innymi słowy — chłodno zauważył Douglas — taki jest oficjalny powód pani wizyty, kiedy policja zapyta.

— Właśnie — przytaknęła Ruth. — Nieoficjalny zaś jest taki, że jeśli pan dotrzyma umowy, ani Seamus, ani ja nie wspomnimy policji, że ciotka zamierzała pana wydziedziczyć.

* * *

Ruth wróciła do domu i z niemal religijnym zapałem zaczęła sprzątać mieszkanie.

Szorowała ściany. Zerwane z okien zasłony mokły w wannie. Dwudziestoletni odkurzacz z wyciem jeździł bezskutecznie po wytartym dywanie.

Pracując, wciąż obsesyjnie myślała, że musi się pozbyć sztyletu.

Odrzuciła wszystkie oczywiste miejsca. Zsyp na śmieci? Załóżmy, że policja sprawdzi domowy śmietnik. Nie chciała wrzucać sztyletu do kosza na ulicy. Może ją śledzono i jakiś gliniarz wyjmie nóż?

O dziesiątej zadzwoniła do Seamusa i powtórzyła z nim, co miał powiedzieć policji, gdyby go przesłuchiowano.

Nie mogła dłużej zwlekać. Musiała zdecydować, co zrobić ze sztyletem. Wyjęła go z torebki, opłukała gorącą wodą i wyszorowała proszkiem do polerowania mosiądzu. Nawet teraz wydawał jej się lepki — lepki od krwi Ethel.

Nie czuła nawet odrobiny litości dla zamordowanej pisarki. Liczyło się tylko zapewnienie dziewczynkom czystej przyszłości.

Spojrzała z odrazą na sztylet. Teraz wyglądał jak nowy. Jedna z tych zwariowanych indyjskich pamiątek, klinga ostra jak brzytwa, ozdobna rękojeść ze skomplikowanym wzorem w czerwieni i złocie. Pewnie sporo kosztował.

Jak nowy.

Oczywiście. Takie proste i takie łatwe. Doskonale wiedziała, gdzie go ukryje.

O dwunastej Ruth udała się do Prahma i Singha, sklepu z wyrobami hinduskimi przy

Szóstej Alei. Przechodziła od wystawy do wystawy, zatrzymywała się przy kontuarach i grzebała w pojemnikach ze świecidełkami. Wreszcie znalazła to, czego szukała, duży kosz noży do otwierania listów. Rękojeści stanowiły tanie kopie ozdobnego wzoru na sztylcie Ethel. Niedbale wzięła jeden do ręki. Jak pamiętała, z grubsza przypominał ten, który miała przy sobie.

Wyjęła z torebki sztylet Ethel i wrzuciła go do kosza, a potem przerzucała zawartość, dopóki się nie upewniła, że narzędzie zbrodni leży na samym dnie.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał sprzedawca. Zaskoczona Ruth podniosła wzrok.

— Och... tak. Ja właśnie... chciałam obejrzeć tace.

— Są w trzecim rzędzie. Pokażę pani.

O pierwszej wróciła do domu, zrobiła sobie filiżankę herbaty i czekała, aż serce jej przestanie walić. Nikt go tam nie znajdzie, zapewniała sobie samą. Nigdy, przenigdy...

Kiedy Neeve wyszła do sklepu, Myles nalał sobie drugą filiżankę kawy i rozważał

fakt, że Jack Campbell zamierzał pojechać z nimi do okręgu Rockland. Instynktownie polubił młodego wydawcę i kwaśno przyznawał, że od lat usiłował wybić Neeve z głowy mit o miłości od pierwszego wejrzenia. Mój Boże, pomyślał, czy to możliwe, że piorun jednak uderza dwa razy?

Kwadrans po dziesiątej usadowił się w swoim głębokim skórzanym fotelu i patrzył,

jak kamery telewizyjne transmitują widowiskowy pogrzeb Nicky'ego Sepettiego. Trzy samochody z kwiatami, obładowane mnóstwem kosztownych wieńców, poprzedzały

karawan w drodze do kościoła Świętej Kamili. Wynajęte limuzyny wiozły licznych

żałobników i tych, którzy tylko udawali żałobę. Myles wiedział, że FBI i biuro prokuratora generalnego oraz brygada kryminalna departamentu policji mają tam swoich ludzi, którzy spisywali numery rejestracyjne prywatnych samochodów i fotografowali osoby wchodzące do kościoła.

Wdowę po Nickym prowadził krępy czterdziestoletni mężczyzna oraz młodsza kobieta

w czarnej pelerynie z kapturem, który prawie całkiem zakrywał twarz. Wszyscy troje nosili ciemne okulary. Syn i córka nie chcą, żeby ich rozpoznano, pomyślał Myles. Wiedział, że oboje odcięli się od interesów Nicky'ego. Bystre dzieciaki.

Nie zdjęli maskującego przebrania nawet w kościele. Myles przyciszył dźwięk i nie spuszczać oka z telewizora, podszedł do telefonu. Herb był w swoim biurze.

— Czytałeś „News” i „Post”? — zapytał. — Nieźle rozdmuchali morderstwo tej

Lambston.

— Czytałem.

— Wciąż koncentrujemy się na byłym mężu. Zobaczymy, co wykaże rewizja jej

mieszkania. Ta kłótnia, którą sąsiadka słyszała w zeszły czwartek, mogła zakończyć się ciosem noża. Z drugiej strony mógł ją dostatecznie nastraszyć, żeby uciekła z miasta, a potem pojechał za nią. Myles, nauczyłeś mnie, że każdy morderca zostawia wizytówkę.

Znajdziemy ją.

Ustalili, że Neeve spotka się z detektywami z wydziału zabójstw dwudziestego komisariatu w mieszkaniu Ethel w niedzielę po południu.

— Zadzwoń, jeśli traficie na coś ciekawego w okręgu Rockland — poprosił Herb. —

Burmistrz chce ogłosić rozwiązanie tej sprawy.

— Co jeszcze wymyśli nasz burmistrz? — zapytał sucho Myles. — Na razie, Herb.

Podkreślił dźwięk w telewizorze i patrzył, jak ksiądz błogosławi doczesne szczątki Nicky'ego Sepettiego. Trumnę wytoczono z kościoła, kiedy chór zaśpiewał: „Nie lękaj się”.

Myles wsłuchiwał się w tekst pieśni. „Nie lękaj się, gdyż zawsze jestem z tobą”. Byłeś ze mną dzień i noc przez siedemnaście lat, ty skurwysynu, pomyślał, kiedy żałobnicy

poskładali kapę i dźwignęli ciężką mahoniową trumnę na ramiona. Chcę zobaczyć, że gnijesz w ziemi, bo może wtedy uwolnię się od ciebie.

Wdowa po Nickym stanęła na szczycie schodów kościoła, a potem nagle odwróciła się i zostawiwszy syna i córkę, podeszła do najbliższego telewizyjnego komentatora. Jej twarz wypełniła kamerę — twarz znużona i zrezygnowana.

— Chcę złożyć oświadczenie. Wielu ludzi nie pochwalalo interesów mojego zmarłego

męża, niech mu ziemia lekka będzie. Zamknięto go w więzieniu za te sprawy. Ale trzymano go w więzieniu przez wiele dodatkowych lat za zbrodnię, której nie popełnił. Na łożu śmierci Nicky przysiągł mi, że nie miał nic wspólnego z zamordowaniem żony komisarza Kearny'ego. Myślcie o nim, co chcecie, ale pamiętajcie, że on nie ponosi

odpowiedzialności za tamto morderstwo.

Lawina pytań bez odpowiedzi spadła na nią, kiedy wracała do dzieci. Myles

gwałtownie wyłączył odbiornik. Kłamca do końca, pomyślał. Lecz zakładając krawat i wiążąc go szybkimi, zręcznymi ruchami, po raz pierwszy poczuł kielkujące w umyśle ziarenko wątpliwości.

Kiedy Gordon Steuber dowiedział się o odnalezieniu ciała Ethel Lambston, opanowała go gorączka działania. Kazał zamknąć ostatnią nielegalną wytwórnię w Long Island City i ostrzec nielegalnych robotników o konsekwencjach rozmów z policją. Potem zadzwonił do Korei, żeby odwołać spodziewaną dostawę z jednej ze swoich tamtejszych fabryk.

Dowiedziawszy się, że towar już jest na lotnisku, rzucił telefonem o ścianę w geście dzikiej irytacji. Później zmusił się do racjonalnego myślenia i próbował ocenić rozmiary katastrofy.

Jakie dowody miała Lambston, a na ile blefowała? I jak mógł się wyplątać z zarzutów przedstawionych w jej artykule?

Chociaż była sobota, May Evans, jego długoletnia sekretarka, przyszła nadrobić

zaległości w pracy. May miała męża pijaka i nastoletniego syna, który wiecznie pakował się w kłopoty. Przynajmniej pół tuzina razy Gordon wykupywał go z aresztu. Mógł liczyć na dyskrecję sekretarki. Teraz wezwał ją do gabinetu.

Z odzyskanym spokojem przyjrzał się jej, ocenił pergaminową skórę, na której już pojawiły się zmarszczki, niespokojne, spuszczone oczy i nerwowe, służalcze zachowanie.

— May — powiedział — pewnie słyszałaś o tragicznej śmierci Ethel Lambston?

Kobieta przytaknęła.

— May, czy Ethel była tutaj pewnego wieczoru, jakieś dziesięć dni temu?

May podniosła na niego wzrok, szukając wskazówki.

— Pewnego wieczoru pracowałam trochę dłużej. Wszyscy wyszli oprócz pana.

Zdawało mi się, że widziałam wchodzącą Ethel i że pan ją wyprosił. Czy się mylę?

Gordon się uśmiechnął.

— Ethel wcale nie weszła, May. Sekretarka kiwnęła głową.

— Rozumiem — powiedziała. — Czy odebrał pan jej telefon w zeszłym tygodniu? To znaczy myślałam, że ją połączyłam, a pan strasznie się rozzłościł i rzucił słuchawkę.

— W ogóle nie odebrałem jej telefonu. — Gordon ujął błękitno pożyłkowaną dłoń

May i uściśnął lekko. — Przypominam sobie, że nie chciałem jej widzieć, nie chciałem z nią rozmawiać i nie mam pojęcia, co powypisywała o mnie w tym zapowiadany artykule.

May uwolniła rękę z jego uścisku i odsunęła się od biurka. Wypłowiałe brązowe włosy rozsypały jej

się wokół twarzy.

— Rozumiem, proszę pana — odpowiedziała cicho.

— To dobrze. Zamknij za sobą drzwi, wychodząc.

Anthony della Salva, podobnie jak Myles, oglądał w telewizji pogrzeb Nicky'ego

Sepettiego. Sal mieszkał w nadbudówce przy Central Park South, w luksusowym budynku mieszkalnym Trump Parc, odnowionym dla bardzo bogatych przez Donalda Trumpa.

Penthouse, urządzony przez najmodniejszego nowego dekoratora wnętrz z wykorzystaniem motywów rafy koralowej, miał zapierający dech w piersiach widok na Central Park. Od czasu rozwodu z ostatnią żoną Sal postanowił trzymać się Manhattanu. Koniec z nudnymi domami w Westchester czy Connecticut, na Island czy Palisades. Lubił to poczucie

wolności, kiedy mógł wyjść z domu o dowolnej godzinie nocy i znaleźć otwartą dobrą restaurację. Lubił premierowe przedstawienia w teatrach i szykowne przyjęcia, lubił, kiedy rozpoznawały go ważne osobistości. „Zostawmy przedmieścia kmiotkom”, brzmiało jego motto.

Sal nosił jeden ze swoich najnowszych modeli, płowe spodnie z dywetyny i taką samą eisenhowerowską marynarkę. Ciemnozielone mankiety i kołnierzyk koszuli dopełniały sportowego wizerunku. Znaczący mody nie potraktowali łaskawie jego dwóch ostatnich

ważnych kolekcji, ale niechętnie pochwalili męskie ubiory. Oczywiście prawdziwe

gwiazdorstwo w tej branży należało do wielkich krawców, którzy zrewolucjonizowali damskie stroje. I nieważne, co powiedzieli albo nie powiedzieli o jego kolekcjach, nadal traktowali go jak jednego z głównych kreatorów dwudziestego wieku, twórcę motywu rafy koralowej.

Sal przypomniał sobie ten dzień przed dwoma miesiącami, kiedy Ethel Lambston

przyszła do jego gabinetu. Te jej nerwowo paplające usta; miała zwyczaj mówienia zbyt szybko. Słuchanie jej przypominało próby wyłapywania pisków telegrafu. Wskazała na wizerunek rafy koralowej na ścianie i oświadczyła:

— To jest genialne.

— Nawet taka wścibska dziennikarka jak ty rozpoznaje prawdę, Ethel — dociął jej i oboje się roześmiali.

— No, śmiało — ponagliła go — przełam się i odrzuć te bzdury o rzymskiej willi. Wy, chłopaki, nie rozumiecie, że fałszywa arystokracja jest nie na czasie. To świat Burger Kinga. Skromne początki, to się podoba. Robię ci przysługę, kiedy opowiadam ludziom, że urodziłeś się w Bronksie.

— Wiele osób na Siódmej Alei ma znacznie więcej do ukrycia niż pochodzenie z

Bronksu, Ethel. Ja się nie wstydzę.

Sal patrzył, jak trumnę Nicky'ego Sepettiego znoszą po stopniach kościoła. Wystarczy tego, pomyślał i chciał już wyłączyć telewizor, kiedy wdowa po Sepettim chwyciła

mikrofon i oświadczyła, że Nicky nie miał nic wspólnego z morderstwem Renaty.

Przez chwilę projektant siedział ze złożonymi rękami. Myles na pewno oglądał

transmisję i Sal postanowił do niego zadzwonić. Z ulgą stwierdził, że przyjaciel rozmawia całkiem rzeczowo i spokojnie. Tak, widział całe to przedstawienie.

— Pewnie miał nadzieję, że dzieci mu uwierzą — zasugerował Sal. Oboje zawarli

udane małżeństwa i nie chcą, żeby wnuki się dowiedziały, że portret dziadka figuruje w policyjnej kartotece.

— Takie wyjaśnienie narzuca się samo — przyznał Myles. — Chociaż, prawdę

mówiąc, jakoś mi się wydaje, że wyznanie na łożu śmierci dla oczyszczenia duszy byłoby bardziej w stylu Nicky'ego. — Głos mu się załamał. — Muszę kończyć, Neeve zaraz wróci.

Czeka nas nieprzyjemny obowiązek sprawdzenia, czy ubranie Ethel pochodzi z jej sklepu.

— Ze względu na nią mam nadzieję, że nie — odrzekł Sal. — Twoja córka nie

potrzebuje takiej reklamy. Powiedz Neeve, że jeśli nie będzie uważać, ludzie zaczną mówić, że nie chcą umierać w jej ciuchach. A tylko tyle potrzeba, żeby upadła legenda Salonu Neeve.

O trzeciej Jack Campbell stanął przed drzwiami mieszkania numer 16B w Schwab

House. Po powrocie ze sklepu Neeve zmieniła swój granatowy kostium od Adele Simpson na czerwono-czarny kraciasty sweter do bioder i spodnie. Efekt arlekina podkreślały kolczyki, które zaprojektowała do tego stroju: maski komedii i tragedii w onyksie z granatami.

— Jej ulubiona szachownica — oznajmił sucho Myles, podając rękę Jackowi.

Neeve wzruszyła ramionami.

— Myles, wiesz co? Nie palę się do tego, co nas czeka. Ale myślę, że Ethel będzie zadowolona, jeśli przyjdę w nowym stroju porozmawiać o ubraniu, które nosiła w chwili śmierci. Ty po prostu nie rozumiesz, ile radości sprawiały jej te szmatki.

Gabinet rozświetlały ostatnie promienie słońca. Prognoza pogody trafiła w dziesiątkę: nad rzeką Hudson zbierały się chmury. Jack rozejrzał się, z uznaniem odnotowując

szczegóły, których nie zauważył poprzedniego wieczoru. Piękny pejzaż wzgórz Toskanii wiszący na

ścianie po lewej stronie kominka. Oprawiona sepiowa fotografia niemowlęcia w ramionach młodej ciemnowłosej kobiety o urzekająco pięknej twarzy. Na pewno Neeve ze swoją matką. Zastanowił się, jak to jest stracić ukochaną kobietę na skutek morderstwa. Nie do zniesienia.

Zauważył, że Neeve i jej ojciec mierzą się wzrokiem z dokładnie tym samym wyrazem twarzy. Podobieństwo było tak silne, że z trudem powstrzymał uśmiech. Wyczuwał, że ta dyskusja o modzie trwa pomiędzy nimi od dawna, więc wolał nie pchać palca między

drzwi. Podszedł do okna, gdzie wystawiono na słońce jakąś najwidoczniej zniszczoną książkę.

Myles zaparzył świeży dzbanek kawy i napełnił ładne porcelanowe kubki od Tiffany'ego.

— Neeve, coś ci powiem — zaczął. — Twoja przyjaciółka Ethel nie zapłaci już

bajońskich sum za wymyślne stroje. Teraz leży na noszach w kostnicy, jak ją Bóg stworzył, z plaketką przyczepioną do dużego palca u nogi.

— Czy w ten sposób skończyła mama? — zapytała Neeve stłumionym głosem,

kipiącym od furii. Potem gwałtownie wciągnęła powietrze, podbiegła do ojca i chwyciła go za ramiona. — Och, Myles, przepraszam. Nie powinnam wygadywać takich podłych,

okropnych rzeczy.

Jej ojciec stał nieruchomo jak posąg, z dzbankiem kawy w ręku. Minęło długie

dwadzieścia sekund.

— Tak — powiedział — twoja matka skończyła dokładnie w ten sposób. I oboje nie

powinniśmy wygadywać takich podłych rzeczy. — Odwrócił się do Jacka. — Wybacz tę

rodzinną sprzeczkę. Moja córka została obdarzona błogosławieństwem albo przekleństwem włoskiego temperamentu połączonego z irlandzką drażliwością. Ze swojej strony nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego kobiety robią tyle zamieszania wokół strojów. Moja matka, niech jej ziemia lekka będzie, robiła wszystkie zakupy u Alexandra na Fordham Road, nosiła podomki na co dzień i drukowane sukienki w kwiaty na niedzielne msze i bankiety Policyjnego Towarzystwa Śpiewaczego. Prowadziłem interesujące dyskusje na ten temat z Neeve, a wcześniej z jej matką.

— Tyle zrozumiałem. — Jack wziął kubek z tacy, którą podsunął mu gospodarz. —

Cieszę się, że ktoś jeszcze pije za dużo kawy.

— Whisky albo kieliszek wina pewnie zrobiłyby nam lepiej — zauważył Myles. —

Ale zostawimy to na później. Mam butelkę doskonałego burgunda, który nas rozgrzeje w odpowiedniej porze, pomimo wszystkiego, co mi mówił lekarz. — Podeszedł do stojaka z winami w dolnej części regału i wyciągnął butelkę. — Dawniej nie odróżniałem jednego wina od drugiego — wyznał Jackowi. — Ojciec mojej żony miał naprawdę wspaniałą

piwnicę, toteż Renata dorastała w domu konesera. Nauczyła mnie dużo o winie. Nauczyła mnie wielu rzeczy, które straciłem gdzieś po drodze. Wskazał książkę leżącą na parapecie.

— To należało do niej. Zamokła nam niedawno. Można ją jakoś odratować?

Jack podniósł książkę.

— Co za szkoda — powiedział. — Te szkice pewnie były urocze. Ma pan szkło powiększające?

— Gdzieś tam jest.

Neeve przeszukała biurko ojca i znalazła lupę. Patrzyła razem z Mylesem, jak Jack oglądał poplamione i pomarszczone kartki.

— Szkice właściwie się nie rozmazały — stwierdził Campbell. — Wie pan co?

Popytam u siebie w pracy, czy nie znają jakiegoś dobrego renowatora. — Oddał szkło powiększające Mylesowi. — A przy okazji wątpię, czy wystawianie jej na słońce to najlepszy pomysł.

Gospodarz położył lupę i książkę na biurku.

— Będę wdzięczny za każdą pomoc. Teraz powinniśmy już jechać.

Wszyscy troje usiedli na przednim siedzeniu sześciolatniego lincolna limuzyny

Mylesa. Właściciel prowadził auto. Jack Campbell niedbale przerzucił ramię przez oparcie fotela. Neeve próbowała nie myśleć o jego bliskości, próbowała nie opierać się o niego, kiedy samochód zjeżdżał po ślimacznicy z Henry Hudson Parkway na most Jerzego

Waszyngtona.

Jack dotknął jej ramienia.

— Spokojnie — powiedział. — Nie gryzę.

Biuro prokuratora okręgowego w okręgu Rockland przypominało inne typowe biura prokuratora w całym kraju. Ciasne. Stare niewygodne meble. Stosy akt na szafkach i biurkach.

Przegrzane pokoje albo lodowate przeciągi tam, gdzie pootwierano okna.

Czekali na nich dwaj detektywi z brygady zabójstw. Neeve zauważyła, że Myles nagle się zmienił, gdy tylko wszedł do budynku. Mocniej zaciskał szczęki i wydawał się wyższy.

W jego niebieskich oczach pojawił się twardy błysk.

— Jest w swoim żywiole — szepnęła do Jacka Campbella. — Nie wiem, jak wytrzymał beczyność ostatniego roku.

— Prokurator okręgowy chciałby z panem porozmawiać, panie komisarzu. —

Detektywi najwyraźniej zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia z najdłużej sprawującym urząd i najbardziej szanowanym szefem policji Nowego Jorku.

Prokurator okręgowy Myra Bradley była atrakcyjną młodą kobietą w wieku najwyżej trzydziestu sześciu, trzydziestu siedmiu lat. Neeve rozkoszowała się zdumioną miną ojca.

Boże, ale z ciebie męski szowinista, pomyślała. Na pewno wiedziałeś, że Myra Bradley została wybrana w zeszłym roku, lecz wyrzuciłeś to ze świadomości.

Myles przedstawił ją i Jacka, Myra wskazała im krzesła i przeszła do rzeczy.

— Jak państwo się orientują — zaczęła — powstaje kwestia jurysdykcji. Wiemy, że zwłoki zostały przeniesione, ale nie wiemy, skąd je zabrano. Mogła zostać zamordowana w parku, półtora metra od miejsca, gdzie ją znaleziono. W takim przypadku przejmujemy śledztwo. — Wskazała akta leżące na biurku. — Według opinii lekarza śmierć nastąpiła wskutek silnego ciosu ostrym narzędziem, które przecięło żyłę szyjną i rozplątało tchawicę.

Mogła stawiać opór. Miała posiniaczoną szczękę i szramę na policzku. Muszę dodać, że to cud, iż nie dobrały się do niej zwierzęta. Pewnie dlatego, że ciało przykryto dokładnie kamieniami. Nie mieliśmy jej znaleźć. Ukrycie tam zwłok wymagało starannego

zaplanowania całej sprawy.

— Więc szukacie kogoś, kto zna teren — powiedział Myles.

— Właśnie. Nie ma szans na określenie dokładnego czasu zgonu, ale jak wynika z zeznań jej bratanka, nie stawiła się na spotkanie z nim w poprzedni piątek, osiem dni temu.

Ciało jest całkiem dobrze zachowane a po sprawdzeniu pogody okazało się, że fala mrozów nadeszła dziewięć dni temu, w czwartek. Więc jeśli Ethel Lambston zginęła w czwartek lub w piątek i

pochowano ją zaraz potem, zimno zahamowało rozkład zwłok. Neeve siedziała po prawej stronie biurka pani prokurator. Jack zajmował krzesło obok niej. Wzdrygnęła się mimo woli i poczuła jego ramię na oparciu krzesła. Gdyby tylko pamiętała o urodzinach Ethel — próbowała odepchnąć tę myśl i skupić się na słowach Myry Bradley.

— ...Ethel Lambston mogła tam leżeć przez całe miesiące, nawet do chwili, kiedy

identyfikacja byłaby niezmiernie trudna. Nie mieliśmy jej znaleźć. Nie mieliśmy jej zidentyfikować. Nie nosiła żadnej biżuterii, nie znaleziono torebki ani portfela. — Myra Bradley zwróciła się do Neeve. Czy pani ubrania zawsze mają wszyte metki?

— Oczywiście.

— Z rzeczy pani Lambston usunięto wszystkie metki. — Pani prokurator wstała. —

Zechce pani teraz obejrzeć ubranie, panno Kearny?

Weszli do przyległego pokoju. Jeden z detektywów przyniósł plastikowe torby z

pogniecioną i poplamioną odzieżą. Neeve patrzyła, jak opróżniają worki. Jeden zawierał

bieliznę, stanik i figi od kompletu, jedno i drugie wykończone koronką, stanik zachlapany krwią; rajstopy z szerokim oczkiem z przodu prawej nogawki. Pantofle na średnim obcasie z miękkiej niebieskiej skóry w odcieniu barwinka były spięte gumką. Neeve pomyślała o półkach na buty, które Ethel z taką dumą demonstrowała w swojej nowoczesnej szafie.

Drugi worek zawierał trzyczęściowy kostium: zimowo biała wełna z barwinkowo

niebieskimi mankietami i kołnierzem, biała spódnica i bluzka w biało-niebieskie paski.

Wszystkie trzy sztuki odzieży były zabłocone i przesiąknięte krwią. Neeve poczuła rękę Mylesa na ramieniu. Z uwagą obejrzała kostium. Coś tu nie pasowało i nie chodziło tylko o żaloszny koniec, jaki spotkał ten strój i noszącą go kobietę.

Usłyszała pytanie pani prokurator:

— Czy to ubranie pochodzi z szafy pani Lambston?

— Tak.

— Pani sprzedała jej ten kostium?

— Tak, przed świętami. — Neeve obejrzała się na Mylesa. — Nosiła go na przyjęciu, pamiętasz?

— Nie.

Neeve mówiła powoli. Miała wrażenie, że czas się rozpląnął. Znalazła się we własnym mieszkaniu,

udekorowanym na coroczne świąteczne przyjęcie. Ethel wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie. Białoniebieski kostium był twarzowy i bardzo pasował do jej

ciemnoniebieskich oczu i srebrnoblond włosów. Kilka osób prawilo pisarce komplementy.

Potem oczywiście Ethel przyczepila się do Mylesa i malo nie zagadala go na smierc.

Próbował jej się wymknąć przez resztę przyjęcia...

Coś się nie zgadzało w tym wspomnieniu. Co takiego?

— Ethel kupila ten kostium razem z innymi ubraniami na początku grudnia. To

oryginalny Renardo. Renardo jest zalezny od Gordon Steuber Textiles. — Ciagle coś jej umykaló. Nie potrafilá tego uchwycić. — Czy miała płaszcz?

— Nie. — Prokurator okręgowy skinęła na detektywów, którzy zwijali ubrania i

wkladali z powrotem do worków. — Komisarz Schwartz powiedzial mi, że pani martwila się o Ethel, poniewaz wszystkie jej zimowe okrycia wisialy w szafie. Ale czy nie mogla z latwoscia kupic palta gdzie indziej, nie tylko u pani?

Neeve wstala. Pokój slabo pachnial srodkiem antyseptycznym. Nie zamierzala glupio się upierac, że Ethel po prostu nie robila zakupów gdzie indziej.

— Chętnie sporzadzę inwentarz szafy Ethel — oswiadczyła. — Trzymam w teczce

wszystkie paragony z jej zakupów. Powiem pani dokladnie, czego brakuje.

— Chcialabym otrzymac mozliwie szczegolowy opis. Czy ona zwykle wkladala

bizuterie do tego kostiumu?

— Tak. Zlota szpilke z brylantem. Dobrane kolczyki. Szeroka zlota bransoletke.

Zawsze tez nosila kilka brylantowych pierścionków.

— Nie miala na sobie bizuterii. Wiecez moze to zwykle morderstwo rabunkowe.

Kiedy wychodzili z pokoju, Jack wzial ja za ramie.

— Nic ci nie jest?

Neeve potrzasnala glowa.

— Coś przeoczyłam.

Jeden z detektywów uslyszal to i podal jej wizytówke.

— Proszę dzwonić o każdej porze.

Ruszyli do drzwi budynku sądu. Myles szedł przodem, gawędząc z panią prokurator, którą przewyższał o głowę. Jego srebrnosiwe włosy pochylały się nad jej krótką ciemnobrązową fryzurą. W zeszłym roku kaszmirowy płaszcz wisiał na nim jak na szkielecie. Po operacji Myles wydawał się blady i skurczony, ale teraz jego ramiona znowu wypełniały okrycie. Krok miał pewny i zdecydowany. I czuł się tutaj w swoim żywiole.

Policyjna praca stanowiła sens jego życia. Neeve modliła się w duchu, żeby nic nie przeszkodziło ojcu w objęciu tej posady w Waszyngtonie.

Jeśli będzie pracował, dożyje setki, pomyślała. Pamiętała pewne zwariowane

stwierdzenie: „Jeśli chcesz być szczęśliwy przez rok, wygraj na loterii. Jeśli chcesz być szczęśliwy przez całe życie, kochaj swoją pracę”.

Tylko praca utrzymywała Mylesa przy życiu po śmierci mamy.

A teraz umarła Ethel Lambston.

Detektywi zostali w pokoju, by poskładać ubrania stanowiące śmiertelny całun Ethel, ubrania, które pewnego dnia znowu pojawią się na sali sądowej. Ostatnio ubrana w...

Myles miał rację. Głupio się zachowała, że przyszła tutaj wystrojona jak szachownica, z tymi idiotycznymi kolczykami cichutko pobrzękującymi w ciemności. Dobrze, że nie zdjęła czarnej peleryny z kapturem, zakrywającej ten jaskrawy komplet. Zginęła kobieta.

Nie kobieta lekkich obyczajów. Nie sławna osobistość. Ale kobieta o wielkiej inteligencji, która żarliwie broniła własnych przekonań, która chciała dobrze wyglądać, ale brakowało jej czasu i wyczucia mody, żeby odpowiednio zadbać o siebie.

Moda. O to chodziło. Ten kostium, który miała na sobie...

Neeve poczuła, że dreszcz przeszył jej ciało. Jack Campbell chyba też to poczuł. Nagle mocniej objął jej ramiona.

— Byłaś do niej bardzo przywiązana, prawda?

— Bardziej niż myślałam.

Ich kroki rozlegały się echem w długim marmurowym korytarzu. Marmur był stary i zniszczony, pęknięcia przecinały go jak żyły pod skórą.

Żyłą szyjna Ethel. Ethel miała taką chudą szyję. Ale bez zmarszczek. Pod

sześćdziesiątkę u wielu kobiet pojawiają się takie znamiona wieku. „Szyja starzeje się pierwsza” — Neeve pamiętała, że tak mawiała Renata, kiedy jakiś hurtownik próbował ją namówić na kupno wydekoltowanych sukienek w rozmiarach dojrzałych kobiet.

Przystanęli w wejściu do budynku sądu. Pani prokurator i Myles zgadzali się, że

Manhattan i okręg Rockland powinny ściśle współpracować w tej sprawie. Myles mówił:

— Powiniennem trzymać gębę na kłódkę. Ciągle zapominam, że już nie naciskam guzików w gmachu przy Police Plaza jeden.

Neeve wiedziała już, co chce powiedzieć, i modliła się, żeby nie zabrzmiało to śmiesznie.

— Chciałam zapytać...

Pani prokurator, Myles i Jack czekali. Zaczęła jeszcze raz:

— Chciałam zapytać, czy mogłabym porozmawiać z kobietą, która znalazła ciało

Ethel. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że powinnam.

Przełknęła kulę tkwiącą w gardle.

— Pani Conway złożyła kompletne zeznanie — powiedziała powoli Myra Bradley. —

Może je pani otrzymać do wglądu.

— Chciałabym z nią porozmawiać. — Nie pozwól im spytać, dlaczego, pomyślała z rozpaczą Neeve. — Po prostu muszę.

— Dzięki mojej córce zidentyfikowano Ethel Lambston — odezwał się Myles. — Jeśli chce porozmawiać ze świadkiem, chyba powinniśmy jej pozwolić.

Otworzył już drzwi i pani Bradley zadygotała na ostrym kwietniowym wietrze.

— Pogoda jak w marcu — zauważyła. — Słuchajcie, nie mam absolutnie żadnych zastrzeżeń. Możemy zadzwonić do pani Conway i sprawdzić, czy jest w domu. Mam wrażenie, że powiedziała nam wszystko, co wie, ale może coś jeszcze wypłynie.

Zaczekajcie chwilę.

Wróciła po kilku minutach.

— Pani Conway jest w domu i bardzo chętnie z wami porozmawia. To jej adres i

wskazówki. — Uśmiechnęła się do Mylesa jak zawodowy gliniarz do kolegi. — Jeśli sobie przypomni, że widziała na własne oczy faceta, który zabił Ethel Lambston, zadzwońcie do mnie. Okay?

Kitty Conway rozpałała wielki ogień na kominku w bibliotece. Piramidy błękitno zakończonych płomieni strzelały z gorejących szczap.

— Powiedzcie, jeśli będzie wam za gorąco — zwróciła się do nich przeproszającym

tonem. — Po prostu, odkąd dotknęłam ręki tej biednej kobiety, ciągle mi zimno — urwała zakłopotana, ale trzy pary obserwujących ją oczu wyrażały tylko zrozumienie.

Podobał jej się ich wygląd. Neeve Kearny. Więcej niż piękna; interesująca,

magnetyczna twarz o wysokich kościach policzkowych i mleczej skórze, podkreślającej intensywnie brązową barwę oczu. Ale jej oczy wyrażały napięcie; źrenice były ogromne.

Młody człowiek, Jack Campbell, wyraźnie martwił się o pannę Kearny. Kiedy zdjął z niej pelerynę, powiedział:

— Neeve, ciągle się trzęsiesz.

Kitty poczuła nagłą falę nostalgii. Jej syn był w tym samym typie co Jack, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona, wysportowane ciało, mocne, inteligentne rysy twarzy. Ubolewała nad faktem, że Mikę junior mieszkał na drugim końcu świata.

Myles Kearny. Kiedy zatelefonowała prokurator Bradley, Kitty od razu go skojarzyła.

Przez lata to nazwisko regularnie pojawiała się w mediach. Czasami go widywała, kiedy jadali z Mike'em w pubie Neary'ego przy Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej. Czytała o jego ataku serca i odejściu na emeryturę, ale teraz wyglądał świetnie. Przystojny Irlandczyk.

Kitty ucieszyła się przelotnie, że zdążyła zmienić dzinsy i stary rozciągnięty sweter na jedwabną bluzkę i eleganckie spodnie. Kiedy odmówili drinka, nalegała, że zrobi herbatę.

— Potrzebujecie czegoś na rozgrzewkę — oświadczyła. Podziękowała za ofertę pomocy i znikła w korytarzu prowadzącym do kuchni.

Myles siedział w fotelu z wysokim oparciem, obitym tkaniną w czerwone i zgaszone

pomarańczowe pasy. Neeve i Jack usiedli obok siebie na aksamitnym zestawie

wypoczynkowym, ustawionym półkoliście przed kominkiem. Myles z uznaniem rozejrzał

się po pokoju. Wygodny. Niewiele osób miało dość rozumu, żeby kupować kanapy i fotele, w których wysoki mężczyzna mógł oprzeć głowę. Wstał i zaczął oglądać oprawione w

ramki rodzinne fotografie. Zwyczajna historia życia. Młoda para. Kitty Conway nie straciła urody przez te lata, z całą pewnością. Ona i jej mąż z małym synkiem. Kolaż z okresu dorastania chłopca. Ostatnie zdjęcie: Kitty, jej syn, jego japońska żona i ich córeczka. Myra Bradley powiedziała mu, że kobieta, która znalazła ciało Ethel, jest wdową.

Usłyszał kroki Kitty w holu i szybko podszedł do regałów z książkami. Jeden dział

przyciągnął jego uwagę, kolekcja zaczytanych książek dotyczących antropologii. Zaczął je przeglądać.

Pani domu postawiła srebrną tacę na okrągłym stoliku obok zestawu

wypoczynkowego, naląła herbatę i wmusiła w nich ciastka.

— Dzisiaj rano upiekłam mnóstwo; pewnie to nerwy po wczorajszym — wyznała i podeszła do Mylesa.

— Kto jest tym antropologiem? — zapytał. Uśmiechnęła się nieśmiało.

— Wyłącznie amatorem. Złapałam bakcyła na studiach, kiedy profesor powiedział, że powinniśmy badać przeszłość, żeby poznać przyszłość.

— Ciągle musiałem o tym przypominać moim detektywom — zażartował Myles.

— Ojciec włączył swój wdzięk — szepnęła Neeve do Jacka. — Niezwykły widok.

Przy herbacie Kitty opowiedziała im o koniu, który poniósł, o kawałku plastiku, który trafił ją w twarz, o mglistym wrażeniu ręki i niebieskiego mankietu. Wyjaśniła, jak zobaczyła rękaw bluzy wystający spod pokrywy kosza na bieliznę i od tamtej chwili wiedziała, że musi wrócić do parku.

Neeve słuchała uważnie, z głową przechyloną na bok, jakby starała się uchwycić

każde słowo. Wciąż doznawała przemożnego wrażenia, że coś przeoczyła, coś, co czekało tuż obok, widoczne jak na dłoni. A potem zrozumiała.

— Pani Conway, zechce pani opisać dokładnie, co pani zobaczyła, kiedy znalazła pani ciało.

— Neeve? — Myles potrząsnął głową. Starannie budował swoje pytania i nie lubił,

kiedy mu przerywano.

— Przepraszam, ale to strasznie ważne. Proszę opowiedzieć o dłoni Ethel. Proszę opowiedzieć, co pani widziała.

Kitty zamknęła oczy.

— Jakbym patrzyła na rękę manekina. Taka biała, a paznokcie wydawały się

jaskrawoczerwone. Mankiet rękawa był niebieski. Sięgał do nadgarstka, a ten mały kawałek czarnego plastiku przyczepił się do niego. Biało-niebieska bluzka prawie nie wystawała spod mankieta. Była trochę pognieciona. To szaleństwo, ale prawie ją wygładziłam.

Neeve wydała długie westchnienie. Pochyliła się do przodu i potarła czoło rękami.

— Tego właśnie szukałam. Ta bluzka.

— Co z tą bluzką? — zapytał Myles.

— Bluzka...

Neeve przygryzła wargę. Znowu wygłupi się przed nim. Bluzka, którą Ethel nosiła, należała do oryginalnego trzyczęściowego zestawu. Ale kiedy pisarka go kupowała, Neeve powiedziała jej, że oryginalna bluzka nie bardzo pasuje do całości. Dobrała do kompletu inną, całkiem białą, bez niepotrzebnych niebieskich pasków. Dwukrotnie widziała Ethel w tym kostiumie i zawsze w zestawieniu z gładką białą bluzką.

Dlaczego więc teraz włożyła tę w niebieskie paski?

— O co chodzi, Neeve? — naciskał Myles.

— Pewnie to nic. Jestem tylko zdziwiona, że nosiła właśnie tę bluzkę do tego kompletu. Po prostu takie połączenie nie wygląda dobrze.

— Neeve, przecież powiedziałaś na policji, że rozpoznałaś kostium, i podałaś nazwisko projektanta.

— Tak, Gordon Steuber. To był zestaw z jego pracowni.

— Przepraszam, ale nie rozumiem. — Myles próbował ukryć irytację.

— Ja chyba rozumiem. — Kitty naląła parującej herbaty do filiżanki Neeve. — Wypij to — poleciła. — Wyglądasz blade. — Spojrzała prosto na Mylesa.

— Jeśli się nie mylę, Neeve twierdzi, że Ethel Lambston nie nosiłaby dobrowolnie zestawu, w którym ją znaleziono.

— Wiem, że sama nie włożyłaby takiego zestawu — oświadczyła Neeve z przekonaniem. Spojrzała Mylesowi prosto w oczy. — Najwyraźniej jej zwłoki zostały przeniesione. Czy można w jakiś sposób ustalić, że ktoś ją ubrał po śmierci?

Douglas Brown wiedział, że ci z brygady zabójstw zamierzają uzyskać nakaz przeszukania mieszkania Ethel. A jednak doznał wstrząsu, kiedy zjawili się z nakazem.

Ekipa czterech detektywów spadła na mieszkanie. Doug patrzył, jak posypują proszkiem wszystkie powierzchnie, jak odkurzają podłogi, chodniki i meble, jak starannie

zapięczętowują i oznaczają plastikowe torebki zawierające kurz, nitki i cząsteczki, które zebrali podczas drobiazgowych oględzin z małego wschodniego dywanika obok biurka ciotki.

Widok ciała Ethel w kostnicy przyprawił Douga o mdłości; niefortunnie przypomniał sobie jedyną wycieczkę łodzią i to, jak gwałtownie się wtedy pochorował. Zakrywało ją prześcieradło udrapowane wokół twarzy jak kornet zakonnicy, więc przynajmniej nie musiał patrzeć na gardło. Żeby nie myśleć o gardle, skupił się na purpurowo-żółtym sińcu na policzku. Potem kiwnął głową i pognął do łazienki.

Przez całą noc leżał bezsennie w łóżku Ethel i próbował zdecydować, co robić. Mógł powiedzieć policji o Seamusie i jego desperackich próbach uwolnienia się od alimentów.

Ale wtedy Ruth Lambston wszystko wypaple. Zimny pot wystąpił mu na czoło, kiedy uświadomił sobie, jak głupio postąpił, idąc przedwczoraj do banku i nalegając, aby przekazano mu wypłatę w studolarowych banknotach. Gdyby policja się dowiedziała...

Zanim przyszli detektywi, męczył się z decyzją, czy zostawić banknoty poutykane w mieszkaniu. Jeśli ich nie będzie, kto powie, że Ethel wszystkich nie wydała?

Ktoś powie. Ta stuknięta smarkata, która przychodziła sprzątać, mogła zauważyć setki, które odłożył na miejsce.

W końcu Douglas postanowił nie robić absolutnie nic. Pozwoli glinom znaleźć banknoty. Jeśli Seamus albo jego żona spróbują go oskarżyć, nazwie ich kłamcami. Nieco pocieszony tym postanowieniem, Doug zwrócił myśli ku przyszłości. Teraz to było jego mieszkanie. Pieniądze

ciotki należały do niego. Pozbędzie się tych wszystkich głupich szmat i dodatków, A nosić z A, B nosić z B. Może spakuje wszystko w należyтым porządku i wyrzuci na śmietnik? Ta myśl wywołała ponury uśmiech. Ale nie ma sensu niczego

marnować. Warto odzyskać trochę forsy, którą Ethel wyrzuciła na te ciuchy. Znajdzie dobry sklep z używaną odzieżą i sprzeda wszystko.

Ubierając się w sobotę rano, umyślnie wybrał ciemnoniebieskie spodnie i brązową sportową koszulę z długimi rękawami. Chciał, by jego strój sprawiał wrażenie dyskretnej żałoby. Z niewyspania miał podkrążone oczy. Dzisiaj to przemawiało na jego korzyść.

Detektywi przeszukali biurko Ethel. Patrzył, jak otwierają segregator z napisem:

„ważne dokumenty”. Testament. Wciąż nie mógł zdecydować, czy powinien się przyznać, że go widział. Detektyw skończył czytać i podniósł wzrok na młodego człowieka.

— Czytał pan to? — zapytał niedbałym tonem. W jednej chwili Douglas podjął decyzję.

— Nie. To papiery mojej ciotki.

— Nigdy nie mówiła panu o swoim testamencie? Doug zdobył się na smętny uśmiech.

— Często sobie żartowała. Mówiła, że gdyby tylko mogła zapisać mi w spadku swoje alimenty, byłbym urządzony do końca życia.

— Więc pan nie wiedział, że zostawiła panu dużo pieniędzy? Douglas zatoczył ręką po mieszkaniu.

— Nie przypuszczałem, że ciotka Ethel miała dużo pieniędzy. Kupiła to mieszkanie, które musiało ją sporo kosztować. Dobrze zarabiała jako pisarka, ale nie zbiła majątku.

— Widocznie była bardzo oszczędna. — Detektyw obchodził się z testamentem w rękawiczkach, trzymając za sam brzeżek papieru. Ku przerażeniu młodego człowieka zawołał specjalistę od daktyloskopii, — Zdejmij odciski.

Pięć minut później, nerwowo wykręcając ręce, Douglas potwierdził, a następnie

zaprzeczył, jakoby wiedział o banknotach studolarowych, które znaleziono ukryte w mieszkaniu. Żeby odwrócić uwagę gliniarzy od tego tematu, wyjaśnił, że do wczoraj nie odbierał telefonów.

— Dlaczego? — Detektyw O'Brien przejął dowodzenie. Pytanie rozcięło powietrze jak brzytwa.

— Ciotka była dziwna. Raz odebrałem telefon, kiedy byłem u niej z wizytą, i zmyła mi głowę. Powiedziała, że to nie mój interes, kto do niej dzwoni. Ale wczoraj pomyślałem, że może chce się ze mną skontaktować. Więc zacząłem odbierać telefony.

— Nie mogła zadzwonić do pana do pracy?

— Nie pomyślałem o tym.

— A pierwszy telefon, który pan odebrał, był z pogroźkami. Co za zbieg okoliczności, że ktoś zadzwonił do pana niemal w tej samej chwili, kiedy znaleziono ciało. — O'Brien nagle przerwał przesłuchanie. — Panie Douglas, czy zamierza pan zostać w tym mieszkaniu?

— Tak.

— Jutro przyjdziemy tu z panną Neeve Kearny. Przejrzy szafę pani Lambston, żeby sprawdzić, jakich ubrań brakuje. Chcielibyśmy znowu z panem porozmawiać. Będzie pan w domu.

To nie było żądanie. To było beznamiętne stwierdzenie faktu. Z jakiegoś powodu

Douglas nie poczuł ulgi, że przesłuchanie dobiegło końca. A potem jego obawy zostały potwierdzone. O'Brien dodał:

— Może wezwiemy pana na komendę. Damy panu znać. Wychodząc, zabrali ze sobą plastikowe torby pełne kurzu, testament Ethel, terminarz i mały wschodni dywanik. Zanim zamknęli za sobą drzwi, Douglas zdążył usłyszeć, jak jeden z nich mówi:

— Choćbyś pękł, nigdy nie wyczyścisz całej krwi z dywanu.

W szpitalu Świętego Wincentego Tony Vitale wciąż przebywał na oddziale intensywnej opieki, nadal w stanie krytycznym. Lecz główny chirurg zapewniał rodziców:

„On jest młody i twardy. Wierzymy, że się wyliże”.

Spowity w bandażę, które okrywały rany postrzałowe głowy, ramienia, nóg i klatki piersiowej, z kroplówką sączącą się do żył, z elektronicznymi monitorami śledzącymi każdą fizyczną zmianę, z plastikowymi rurkami w nozdrzach, Tony wypłynął ze stanu głębokiej komy i częściowo odzyskał świadomość. Wracały ostatnie chwile. Nicky Sepetti przewiercał go wzrokiem. Wiedział, że Nicky podejrzewa, że Machado jest wtyka.

Powinien jechać prosto na komendę zamiast zatrzymywać się, żeby zadzwonić. Powinien się domyślić, że został zdemaskowany.

Tony ześliznął się w ciemność.

W kolejnym przeblasku świadomości usłyszał głos lekarza:

— Codziennie wykazuje niewielką poprawę.

Codziennie! Jak długo tutaj leżał? Próbował się odezwać, ale nie wydobył z gardła żadnego dźwięku.

Nicky wrzeszczał, walił pięścią w stół i rozkazywał im odwołać kontrakt.

Joey powiedział, że to niemożliwe.

Potem Nicky chciał wiedzieć, kto zlecił tę robotę.

— ...ktoś napuścił gliny — mówił tamten. — Zepsuł mu interes. Teraz federalni depczą mu po piętach...

Potem Joey podał nazwisko.

Dryfując z powrotem w nieświadomość, Tony przypomniał je sobie.

Gordon Steuber.

W dwudziestym komisariacie przy Zachodniej Osiemdziesiątej Drugiej czekał

Seamus, z okrągłą bladą twarzą wilgotną od potu. Próbował przypomnieć sobie wszystkie ostrzeżenia, których udzieliła mu Ruth, i to, co kazała mu mówić.

Wszystko mu się pomieszało.

Siedział w brzydkim, surowym pokoju. Stół konferencyjny z blatem poznaczonym

wypalonymi śladami po papierosach. Drewniane krzesła. To, na którym siedział, uwierało go w krzyż. Brudne okno wychodziło na boczną uliczkę. Ruch na zewnątrz był straszny: samochody, autobusy i taksówki trąbiły. Policyjne auta otaczały budynek pierścieniem.

Jak długo będą go tutaj trzymać?

Upłynęło następne pół godziny, zanim zjawili się dwaj detektywi. Za nimi weszła

sądowa stenografka i przycupnęła na krześle za plecami Seamusa. Odwrócił się i patrzył, jak ustawiała sobie na kolanach maszynę stenograficzną.

Starszy detektyw nazywał się O'Brien. Przedstawił siebie i swojego partnera z baru, Steve'a Gomeza.

Seamus spodziewał się, że odczytają mu jego prawa, przeżył jednak szok, kiedy

musiał ich wysłuchać, a potem O'Brien podał mu wydrukowany papier i kazał przeczytać.

Zapytany, czy rozumiał swoje prawa, Seamus kiwnął głową. Tak. Czy żąda obecności swojego adwokata? Nie. Czy jest świadomy, że w każdej chwili może przestać odpowiadać na pytania? Tak. Czy zdaje sobie sprawę, że wszystko, co powie, może zostać użyte przeciwko niemu?

— Tak — szepnął.

Zachowanie O'Briena zmieniło się na odrobinę cieplejsze. Przybrał życzliwszy ton głosu.

— Panie Lambston, mam obowiązek poinformować pana, że jest pan podejrzany w związku ze śmiercią pańskiej byłej żony, Ethel Lambston.

Ethel nie żyje. Koniec z płaceniem alimentów. Koniec z pętlą na gardle. Czy może pętla dopiero się zaciska? Widział jej ręce atakujące go jak szpony, widział jej twarz, kiedy upadła na wznak, widział, jak dźwignęła się i dosięgła noża do otwierania listów. Czuł na dłoniach lepką wilgoć jej krwi.

Co mówił ten detektyw takim przyjaznym, towarzyskim tonem?

— Panie Lambston, kłócił się pan z byłą żoną. Doprowadzała pana do szału. Alimenty pana rujnowały. Czasami nie możemy już wytrzymać i puszczają nam hamulce. Czy do tego doszło?

Czy on zwariował? Jeszcze czuł nienawiść tamtej chwili, czuł zółć podchodzącą do gardła, kiedy zacisnął pięść i wymierzył cios w te szydercze, złośliwe usta.

Seamus położył głowę na stole i wybuchnął płaczem. Łkanie wstrząsało jego ciałem.

— Żądam prawnika — powiedział.

Dwie godziny później zjawił się Robert Lane, pięćdziesięcioletni adwokat, którego znalazła Ruth po gorączkowych wysiłkach.

— Czy jesteście gotowi wnieść formalne oskarżenie przeciwko mojemu klientowi? — zapytał.

Detektyw O'Brien spojrzał na niego z kwaśną miną.

— Nie, jeszcze nie. Nie tym razem.

— Więc pan Lambston jest wolny? O'Brien westchnął.

— Tak, jest wolny.

Seamus był pewien, że go aresztują. Ledwie wierząc własnym uszom, oparł dłonie na stole i dźwignął się z krzesła. Poczuł, że Robert Lane bierze go pod ramię i wyprowadza z pokoju. Usłyszał głos adwokata:

— Chcę otrzymać transkrypcję zeznań mojego klienta.

— Otrzyma pan. — Detektyw Gomez odczekał, aż drzwi się zamknęły, po czym odwrócił się do swojego partnera. — Z rozkoszą kazałbym zamknąć tego faceta.

O'Brien uśmiechnął się wąskim, bezlitosnym uśmiechem.

— Cierpliwości. Musimy poczekać na wyniki z laboratorium. Powinniśmy sprawdzić, co Lambston robił w czwartek i w piątek. Ale jeśli lubisz stawiać na pewniaka, załóż się, że sprawa zostanie skierowana do sądu, zanim Seamus Lambston zdąży się nacieszyć wolnością od alimentów.

Kiedy Neeve, Myles i Jack wrócili do mieszkania, na sekretarce czekała na nich wiadomość. Czy Myles zechce zadzwonić do biura komisarza policji Schwartza?

Herb Schwartz mieszkał w Forest Hills, „gdzie tradycyjnie rezydowało dziewięćdziesiąt procent komisarzy policji”, wyjaśnił Jackowi Myles, sięgając po słuchawkę.

— Jeśli Herb nie krząta się po domu w sobotę wieczorem, coś musiało się stać.

Rozmowa była krótka. Myles odłożył słuchawkę i powiedział:

— Wygląda na to, że sprawa zakończona. Gdy tylko zatrzymali byłego męża i zaczęli przesłuchanie, facet rozplakał się jak dziecko i zażądał adwokata. To tylko kwestia czasu i postawią go w stan oskarżenia.

— Z tego wynika, że się nie przyznał — zauważyła Neeve. — Prawda?

Mówiąc, zapalała kolejne lampy na stole, aż zalały cały pokój miękkim, ciepłym

blaskiem. Ciepło i światło. Czy za tym tęskni dusza, która doświadczyła twardej rzeczywistości śmierci? Nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że otacza ją złowieszczy cień. Od chwili, kiedy zobaczyła ubranie Ethel rozłożone na stole, w jej myślach przewijało się słowo

„całun”. Przyłapała się na tym, że zastanawia się, co sama powinna nosić w chwili śmierci.

Intuicja? Irlandzkie przesady? Ktoś przeszedł po jej grobie?

Jack Campbell nie spuszczał jej z oka. On wie, pomyślała. On wyczuwa, że chodzi o coś więcej niż tylko ubranie. Myles argumentował, że jeśli Ethel oddała do pralni bluzkę, którą zwykle nosiła do tego kostiumu, automatycznie zastąpiłaby ją tamtą od kompletu.

Wszystkie argumenty ojca brzmiały tak rozsądnie. Myles stał teraz przed nią; trzymał ją za ramiona.

— Neeve, nie słyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałem. Zadajesz mi pytanie i nie słuchasz odpowiedzi. Co ci jest?

— Nie wiem. — Próbowwała się uśmiechnąć. — Słuchaj, mieliśmy okropny dzień.

Chyba powinniśmy się napić.

Myles uważnie przyglądał się jej twarzy.

— Na pewno powinniśmy się napić, a potem Jack i ja zabierzemy cię na obiad. —

Podniósł wzrok na Campbella. — Chyba że ma inne plany.

— Nie mam, najwyżej chciałbym przygotować tego drinka, jeśli można. Szkocka, tak

jak herbata u Kitty Conway, chwilowo zagłuszyła w Neeve wrażenie, że unosi ją potężny ciemny prąd. Myles powtórzył, co mu powiedział komisarz: detektywi z brygady zabójstw uważają, że Seamus lada chwila przyzna się do winy.

— Dalej chcą, żebym jutro przejrzała szafę Ethel? — Neeve sama nie wiedziała, czy woli się wykręcić od tego zadania.

— Tak. Moim zdaniem to nie ma większego znaczenia, czy Ethel planowała wyjazd i

sama się spakowała, czy też on ją zabił i potem próbował upozorować jej wyjazd, nie pozostawimy jednak żadnych luk.

— Ale czy nie musiałby wysyłać alimentów w nieskończoność, gdyby ludzie myśleli,

że Ethel wyjechała? Pamiętam, jak raz mi powiedziała, że jeśliby spóźnił się z czekiem, kazałaby swojemu księgowemu zadzwonić i zagrozić Seamusowi procesem. Gdyby nie

znaleziono ciała Ethel, zmusiliby go, żeby płacił jeszcze przez siedem lat, zanim stwierdzono by urzędowo jej zgon.

Myles wzruszył ramionami.

— Neeve, mamy przerażający procent zabójstw w wyniku domowych kłótni. I nie przypisuj innym zbyt wiele rozumu. Ludzie działają impulsywnie. Idą na całość, a potem próbują zacierać ślady. Ciągłe ci to powtarzam. Każdy zabójca zostawia swoją wizytówkę.

— Jeśli to prawda, komisarzu, chętnie się dowiem, jaką wizytówkę zostawił zabójca Ethel.

— Powiem ci, co uważam za wizytówkę. Ten siniak na brodzie Ethel. Nie widziałaś raportu z autopsji. Ja widziałem. W młodości Seamus Lambston cholernie dobrze boksował. Ten cios prawie złamał jej szczękę. Przyzna się czy nie, radzę poszukać kogoś z bokerską przeszłością.

— Legenda przemówiła. I wcale nie masz racji.

Jack Campbell siedział na skórzanej kanapie, sącząc chivas regal i po raz drugi tego dnia postanowił nie wtrącać się do sprzeczki Neeve z ojcem. Słuchanie ich przypominało oglądanie meczu tenisowego pomiędzy dobranymi przeciwnikami. Prawie się uśmiechnął, ale obserwując Neeve, poczuł kolejne ukłucie niepokoju. Wciąż była bardzo blada, a kruczoczarne włosy okalające twarz podkreślały mlecznobiały odcień skóry. Pamiętał jej duże brązowe oczy roziskrzone wesołością, lecz dzisiaj wieczorem wydawało mu się, że dostrzega w nich smutek wykraczający poza żal po Ethel Lambston. Cokolwiek spotkało Ethel, jeszcze się nie skończyło, pomyślał, i miało jakiś związek z Neeve.

Niecierpliwie potrząsnął głową. Odzywali się jego szkoccy przodkowie z pretensjami do jasnowidzenia. Pojechał z Neeve i jej ojcem do biura prokuratora okręgowego w

Rockland z prostego powodu, że chciał spędzić z nią ten dzień. Pożegnawszy się z Neeve dzisiaj rano, wrócił do siebie, wziął prysznic, przebrał się i poszedł do biblioteki środkowego Manhattanu. Tam na mikrofilmie przeczytał gazety sprzed siedemnastu lat z krzyczącymi nagłówkami: **ŻONA KOMISARZA POLICJI ZAMORDOWANA W**

CENTRAL PARKU. Poznał wszystkie szczegóły, przestudiował zdjęcia konduktu

pogrzebowego z katedry Świętego Patryka. Dziesięcioletnia Neeve, w ciemnym płaszczyku i berecie, jej mała rączka zagubiona w dłoni ojca, oczy lśniące od łez. Twarz Mylesa jak wyrzeźbiona w granicie. Niezliczone szeregi policjantów rozciągały się chyba na całą szerokość Piątej Alei. Artykuły wstępne oskarżały skazanego gangstera Nicky'ego

Sepettiego o zarządzenie egzekucji żony komisarza.

Nicky Sepetti został pochowany dzisiaj rano. Neeve i jej ojciec nie mogli potraktować tego obojętnie. Na pewno powróciły wszystkie bolesne wspomnienia dotyczące śmierci Renaty. Mikrofilmy starych gazet wypełniały spekulacje, czy Nicky Sepetti ze swojej więziennej celi wydał

też rozkaz zabicia Neeve. Dzisiaj rano powiedziała Jackowi, że jej ojciec z lękiem myślał o wyjściu gangstera z więzienia, ponieważ martwił się o nią, a śmierć Nicky'ego chyba wreszcie uwolniła Mylesa od tej obsesji.

Więc dlaczego martwię się o ciebie, Neeve? — zastanawiał się Jack.

Odpowiedź pojawiła się w myślach tak szybko, jakby zapytał na głos. Ponieważ ją kochał. Ponieważ szukał jej od tego pierwszego dnia, kiedy uciekła mu z samolotu.

Jack zobaczył, że wszyscy mają puste kieliszki. Wstał i sięgnął po szklaneczkę Neeve.

— Wypij na drugą nogę, przyda ci się jeszcze trochę.

Przy drugim koktajlu obejrzelili wieczorne wiadomości. Pokazano migawki z pogrzebu

Nicky'ego Sepettiego, włącznie z zaskakującym oświadczeniem wdowy.

— Co o tym myślisz? — zapytał cicho ojca Neeve. Myles wyłączył telewizor.

— To, co myślę, nie nadaje się do druku.

Zjedli obiad w pubie Neary'ego przy Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej. Jimmy

Neary, Irlandczyk z błyskiem w oku i uśmiechem złośliwego skrzata, pośpieszył ich przywitać.

— Komisarzu, wspaniale pana widzieć.

Zaprowadzono ich do jednego z cenionych stolików w rogu, które właściciel

rezerwował dla specjalnych gości. Jimmy został przedstawiony Jackowi i pokazał mu fotografie zawieszane na ścianach.

— Oto on we własnej osobie. — Zdjęcie byłego gubernatora Careya wisiało na

honorowym miejscu. — Mam tutaj tylko nowojorską śmietankę. Spójrzcie, gdzie jest

komisarz.

Fotografia Mylesa znajdowała się dokładnie naprzeciwko gubernatora.

To był przyjemny wieczór. U Neary'ego zawsze zbierali się politycy i kler. Ludzie ciągle zatrzymywali się przy ich stoliku, żeby przywitać się z Mylesem. „Miło pana znowu widzieć, komisarzu. Dobrze pan wygląda”.

— On to uwielbia — szepnęła Neeve do Jacka. — Nie znosił chorować i przez ostatni rok prawie się nie pokazywał. Teraz chyba jest gotów powrócić do prawdziwego świata.

Podszedł senator Moynihan.

— Myles, mam w Bogu nadzieję, że przejmiesz Agencję do Zwalczenia Narkotyków

— oświadczył. — Potrzebujemy ciebie. Musimy się pozbyć tych szumowin, a ty najlepiej tym pokierujesz.

Po odejściu senatora Neeve wzniosła oczy do nieba.

— A ty mówiłeś o „podpytywaniu”. Skromnie powiedziane!

Myles przeglądał menu. Margaret, jego od dawna ulubiona kelnerka, podeszła przyjąć zamówienie.

— Jak tam krewetki po kreolsku, Margaret?

— Pyszne. Myles westchnął.

— Nie wątpię. Na cześć mojej diety wezmę flądre z rusztu. Złożyli zamówienia i kiedy sączyli wino, Myles powiedział:

— Musiałbym spędzać dużo czasu w Waszyngtonie, czyli wynająć tam mieszkanie.

Nie mogłem zostawić cię tutaj samej, Neeve, dopóki Sepetti chodził na swobodzie. Ale teraz nie martwię się o twoje bezpieczeństwo. Gang znienawidził Nicky’ego za rozkaz zabicia twojej matki. Ścigaliśmy ich, aż większość starej paczki wylądowała w pudle razem z nim.

— Więc nie wierzysz w to przedśmiertne wyznanie? — zapytał Jack.

— Nam, wychowanym w wierze, że skrucza na łożu śmierci może zaprowadzić

grzesznika do nieba, trudno pojąć człowieka, który umiera z fałszywą przysięgą na ustach.

Ale w przypadku Nicky’ego pozostanę przy moim pierwszym wrażeniu. To był pożegnalny prezent dla rodziny i oczywiście wszyscy dali się nabrać. No, ale mamy za sobą ciężki dzień.

Porozmawiajmy o czymś interesującym. Jack, czy mieszkasz w Nowym Jorku

dostatecznie długo, żeby zgadnąć, czy burmistrz wygra następne wybory?

Dopijali kawę, kiedy Jimmy Neary ponownie zjawił się przy ich stoliku.

— Komisarzu, czy pan wiedział, że ciało tej Lambston znalazła jedna z moich stałych klientek, Kitty Conway? Przychodziła tutaj z mężem. To wielka dama.

— Poznaliśmy ją dzisiaj — odrzekł Myles.

— Jeśli znowu się spotkacie, przekażcie jej moje pozdrowienia i powiedzcie, żeby

czasem się pokazała.

— Może zrobię coś więcej — rzucił niedbale Myles. — Może sam ją tutaj przyprowadzę.

Jack wysiadał z taksówki pierwszy. Żegnając się, powiedział:

— Słuchajcie, nie chcę się narzucać, ale czy zgodzicie się, żebym jutro pojechał z wami do mieszkania Ethel?

Myles uniósł brwi.

— Dobrze, jeśli obiecasz trzymać się z tyłu i nie zabierać głosu.

— Myles!

Jack się uśmiechnął.

— Twój tata ma absolutną rację, Neeve. Przyjmuję warunki.

Taksówka zatrzymała się przed Schwab House i portier otworzył drzwi przed Neeve.

Myles czekał, aż kierowca wyda mu resztę. Portier wrócił do budynku i stanął przed wejściem do westybulu. Noc zrobiła się pogodna, niebo było usiane gwiazdami. Neeve odeszła od taksówki, uniosła głowę i podziwiała ten wspaniały widok.

Po drugiej stronie ulicy Denny Adler opierał się o mur z butelką wina w ręku, ze

zwieszoną głową. Zmrużonymi oczami obserwował, jak Neeve wysiada z taksówki. Ostro wciągnął powietrze. Miał czysty strzał i mógł zniknąć, zanim ktoś go zobaczy. Sięgnął do kieszeni obszarpanego blezera, który dzisiaj nosił.

Teraz.

Palcem dotknął spustu. Chciał już wyciągnąć broń z kieszeni, kiedy otworzyły się

drzwi po jego prawej stronie. Starsza kobieta wyszła z budynku, prowadząc na smyczy małego pudła, który rwał się do przodu. Pies skoczył w stronę Adlera.

— Nie trzeba się bać Pszczółki — powiedziała kobieta. — To kochana psina.

Wściekłość wezbrała w Dennym niczym wulkaniczna lawa, kiedy patrzył, jak Myles

Kearny wysiada z taksówki i wchodzi za córką do Schwab House. Sięgnął palcami do

gardła pudła, ale w ostatniej chwili powstrzymał ten gest i pozwolił, żeby jego ręka opadła na chodnik.

— Pszczółka uwielbia być głaskana — zachęciła go starsza pani — nawet przez obcych.

Upuściła ćwierćdolarówkę na kolana Denny'ego.

— Mam nadzieję, że to pomoże.

W niedzielę rano detektyw O'Brien zadzwonił i poprosił Neeve. — Czego od niej chcecie? — zapytał ostro Myles. — Chcielibyśmy porozmawiać z tą sprzątaczką, która była w mieszkaniu Ethel Lambston w zeszłym tygodniu, panie komisarzu. Czy pana córka ma jej telefon? — Och. — Myles nie wiedział, dlaczego poczuł nagłą ulgę. — To łatwe. Wezmę numer od Neeve.

Pięć minut później zadzwoniła Tse-tse.

— Neeve, jestem świadkiem — oznajmiła z przejęciem. — Ale czy mogę spotkać się z nimi w twoim mieszkaniu o wpół do drugiej? Jeszcze nigdy nie przesłuchiwała mnie policja. Chciałabym, żebyś przy tym była, twój ojciec też. — Zniżyła głos. — Neeve, oni chyba nie myślą, że ją zabiłam?

Neeve uśmiechnęła się do słuchawki.

— Oczywiście, że nie, Tse-tse. Na pewno. Tata i ja idziemy na dwunastą do Świętego Pawła. Wpół do drugiej nam odpowiada.

— Czy mam im powiedzieć, że ten wstrętny bratanek podbierał pieniądze Ethel i odkładał je z powrotem, i jak groziła, że go wydziedziczy?

Neeve była zszokowana.

— Tse-tse, mówiłaś, że Ethel była na niego wściekła. Nie wspomniałaś, że groziła wydziedziczeniem. Oczywiście, że musisz im to powiedzieć.

Kiedy odłożyła słuchawkę, Myles czekał z uniesionymi brwiami.

— O co chodziło?

Powiedziała mu. Ojciec zagwizdał bezgłośnie.

Tse-tse miała włosy ściągnięte w surowy koczek. Zrobiła bardzo oszczędny makijaż z wyjątkiem sztucznych rzęs. Włożyła babciną sukienkę i pantofle na płaskim obcasie.

— Ten kostium nosiłam, kiedy grałam gospodynię oskarżoną o otrucie chlebobawczyni — wyznała.

Detektywi O'Brien i Gomez przyszedli kilka minut później. Myles ich przywitał, a

Neeve pomyślała: Nikt by nie zgadł, że on już nie rządzi na Police Plaza jeden. Prawie klękają przed nim.

Lecz kiedy policjantom przedstawiono Tse-tse, O'Brien zrobił zdumioną minę.

— Douglas Brown mówił, że sprzątaczką jest Szwedką. Wytrzeszczył oczy, gdy

dziewczyna wyjaśniła z powagą, że odgrywa różne postacie zależnie od swojej aktualnej roli w przedstawieniach off-off-Broadway.

— Grałam szwedzką pokojówkę — zakończyła — i wysłałam osobiste zaproszenie do

Josepha Pappa, żeby przyszedł na wczorajsze przedstawienie. To był ostatni wieczór. Mój astrolog powiedział, że Saturn jest w znaku Koziorożca, co bardzo silnie wpływa na moją karierę. Naprawdę wierzyłam, że on przyjdzie. — Smutno pokręciła głowę. — Nie

przyszedł. W ogóle nikt nie przyszedł.

Gomez zakaszłał energicznie. O'Brien powstrzymał uśmiech.

— Bardzo mi przykro. A więc, Tse-tse... czy mogę tak panią nazywać? — Rozpoczął przesłuchanie.

Przesłuchanie zmieniło się w dialog, kiedy Neeve wyjaśniła, dlaczego poszła z aktorką do mieszkania Ethel, czemu wróciła obejrzyć płaszcze w szafie i sprawdzić kalendarzyk Ethel. Tse-tse opowiedziała o gniewnym telefonie Ethel do bratanka przed miesiącem i o pieniądzach, które podłożył z powrotem w zeszłym tygodniu.

O drugiej trzydziści O'Brien z trzaskiem zamknął notes.

— Obie bardzo mi pomogłyście. Tse-tse, czy zechce pani towarzyszyć panie Kearny

do mieszkania pani Lambston? Pani dobrze zna to miejsce. Chciałbym usłyszeć pani opinię, czy czegoś nie brakuje. Proszę przyjść mniej więcej za godzinę. Chciałbym jeszcze raz porozmawiać sobie z Douglasem Brownem.

Myles siedział w swym głębokim skórzanym fotelu, marszcząc czoło.

— Więc teraz wkracza na scenę chciwy bratanek — stwierdził. Neeve uśmiechnęła się kwaśno.

— A jaka będzie jego wizytówka, komisarzu?

* * *

O wpół do czwartej Myles, Neeve, Jack Campbell i Tse-tse weszli do mieszkania Ethel. Douglas Brown siedział na kanapie, wykręcając sobie palce. Podniósł na nich wrogie spojrzenie. Jego ponuro przystojna twarz była mokra od potu. Detektywi O'Brien i Gomez siedzieli naprzeciwko niego z otwartymi notesami. Błaty stołów i biurka wyglądały jak obsypane sadzą.

Tse-tse mruknęła do Neeve:

— Zostawiłam tutaj idealny porządek, kiedy wychodziłam.

Neeve wyjaśniła szeptem, że bałaganu narobiła brygada zabójstw, kiedy zbierano odciski palców. Potem powiedziała cicho do Douglasa Browna:

— Strasznie mi przykro z powodu pana ciotki. Bardzo ją lubiłam.

— Więc była pani w mniejszości — warknął tamten i wstał. — Słuchajcie, każdy, kto znał Ethel, może potwierdzić, jaka była irytująca i upierdliwa. Tak, kilka razy postawiła mi obiad. Nieraz wieczorem rezygnowałem ze spotkania z przyjaciółmi, bo ona potrzebowała towarzystwa. Tak, czasem wręczała mi kilka setek z tych, które tutaj chowała. Potem zapominała, gdzie wetknęła resztę, i oskarżała mnie. Potem zaś je znajdowała i

przepraszała. I to wszystko. — Zmierzył wzrokiem Tse-tse. — Coś ty na siebie włożyła, do cholery? To jakiś zakład? Jeśli chcesz zrobić coś pożytecznego, weź odkurzacz i posprzątaj tutaj.

— Pracowałam dla pani Lambston — odparła Tse-tse z godnością a pani Lambston nie żyje. — Spojrzała na detektywa O'Briena. — Co pan chce, żebym zrobiła?

— Chciałbym, żeby panna Kearny spisała ubrania, których brakuje w szafie, a pani niech się ogólnie rozejrzy i zobaczy, czy brakuje czegoś więcej.

Myles mruknął do Jacka:

— Lepiej idź z Neeve. Pomożesz jej robić notatki.

Usiadł na prostym krześle niedaleko biurka. Z tego miejsca wyraźnie widział ścianę, którą Ethel zmieniła w galerię fotograficzną. Po chwili wstał, żeby dokładniej obejrzeć zdjęcia, i z niechętnym zdziwieniem zobaczył montaż pokazujący pisarkę podczas ostatniej konwencji republikanów na podium wśród najbliższej rodziny prezydenta; Ethel

obejmująca burmistrza w ratuszu; Ethel przyjmująca doroczną nagrodę za najlepszy artykuł

od Amerykańskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy i Autorów. Widocznie ta kobieta miała w sobie coś, czego nie zauważyłem, pomyślał Myles. Uznałem ją za zwykłą gadułę.

Książka, którą zamierzała napisać. W branży mody prano mnóstwo mafijnych

pieniędzy. Czy Ethel coś odkryła? Myles zanotował w pamięci, żeby zapytać Herba Schwartza, czy ostatnio prowadzono jakieś duże śledztwo związane z przemysłem odzieżowym.

Chociaż łóżko było nienagannie zasłane i wszędzie panował porządek, sypialnia sprawiała wrażenie równie niechlujne co reszta mieszkania. Nawet szafa wyglądała inaczej.

Najwyraźniej każdą sztukę odzieży wyjęto, obejrzano i byle jak odwieszono z powrotem.

— Wspaniale — burknęła Neeve do Jacka. — Utrudnili mi robotę. Jack miał na sobie

biały, ręcznie robiony na drutach irlandzki sweter z warkoczami i granatowe sztruksowe spodnie. Kiedy zjawił się w Schwab House, Myles otworzył mu drzwi, zmierzył go

wzrokiem i oświadczył: „Wy dwoje będziecie wyglądać jak bliźniaki”. Odsunął się i Campbell zobaczył Neeve, która również włożyła biały irlandzki sweter z warkoczami i granatowe sztruksowe spodnie. Oboje wybuchnęli śmiechem, a ona szybko przebrała się w granatowo-biały kardigan.

Ten zbieg okoliczności trochę zmniejszył opór Neeve przed grzebaniem w osobistych rzeczach Ethel. Teraz zapomniała o wcześniejszych obawach, widząc, jak niedbale

potraktowano wychuchaną garderobę pisarki.

— Dasz sobie radę — pocieszył ją Jack. — Powiedz, jak ci mogę pomóc. Podała mu

teczkę z kopiami rachunków Ethel.

— Zaczniemy od ostatnich zakupów.

Wyjęła nowiutkie ubrania, jeszcze nienoszone, rozłożyła je na łóżku i zaczęła przegląd wstecz, wyliczając sukienki i kostiumy wciąż wiszące w szafie. Wkrótce przekonała się, że brakowało tylko rzeczy odpowiednich na chłody.

— To wyklucza teorię, że Ethel planowała wyjazd na przykład na Karaiby i umyślnie nie zabrała płaszcza — mruknęła trochę do siebie, a trochę do Jacka. — Ale Myles chyba ma rację. Nie widzę tej białej bluzki pasującej do kostiumu, który miała na sobie, kiedy ją znaleźli. Może naprawdę jest w pralni... chwileczkę!

Nagle umilkła, sięgnęła w głąb szafy i wyciągnęła wieszak wciśnięty pomiędzy dwa swetry. Wisiała na nim biała jedwabna bluzka z żabotem i rękawami wykończonymi koronką.

— Tego szukałam — oznajmiła z triumfem Neeve. — Dlaczego Ethel jej nie włożyła?

A jeśli postanowiła wziąć bluzkę od kompletu, dlaczego tej nie zapakowała?

Razem usiedli na szezlongu i Neeve przepisała notatki Jacka, sporządzając dokładną listę brakujących ubrań z szafy pisarki. Jack czekał w milczeniu, rozglądając się po pokoju.

Brudno, pewnie z powodu rewizji. Dobre meble. Kosztowna narzuta i ozdobne poduszki.

Ale jakoś bezosobowo. Brakowało osobistych akcentów, fotografii w ramkach, ulubionych drobiazgów. Kilka obrazków na ścianach nie grzeszyło oryginalnością, jakby zawieszono je tylko po to, żeby wypełnić wolne miejsca. Pokój wyglądał przygnębiająco, tchnął pustką i zaniedbaniem. Jack uświadomił sobie, że ogarnia go wielka litość nad Ethel. Tak inaczej ją sobie wyobrażał. Przypominała mu piłkę tenisową z własnym napędem, skaczącą z jednej strony kortu na drugą w gorączce nieustannego ruchu. Kobieta mieszkająca niegdyś w tym pokoju była żałośnie samotna.

Wrócili do salonu w chwili, kiedy Tse-tse przeglądała stosy korespondencji na biurku.

— Nie ma go tutaj — oznajmiła.

— Czego nie ma? — zapytał ostro O'Brien.

— Ethel miała zabytkowy sztylet, którego używała jako noża do otwierania listów, taki indyjski nóż z ozdobną czerwono-złotą rękojeścią.

Neeve pomyślała, że detektyw O'Brien nagle upodobił się do wyzła, który zwęszył trop.

— Tse-tse, pamięta pani, kiedy ostatnio widziała pani ten sztylet? — zapytał.

— Tak. Był tutaj za każdym razem, kiedy sprzątałam w zeszłym tygodniu, w środę i w czwartek.

O'Brien popatrzył na Douglasa Browna.

— Sztyletu do otwierania listów nie było tutaj wczoraj, kiedy zbieraliśmy odciski palców. Nie wie pan, co się z nim stało?

Mężczyzna przełknął ślinę. Próbował przybrać zamyśloną minę. Nóż do otwierania listów leżał na biurku w piątek rano. Nikt tu nie wchodził oprócz Ruth Lambston.

Ruth Lambston. Groziła, że doniesie policji, iż Ethel zamierzała go wydziedziczyć.

Ale on już powiedział glinom, że Ethel zawsze znajdowała pieniądze, o kradzież których go oskarżała. To była genialna odpowiedź. Ale czy teraz powinien im powiedzieć o Ruth, czy skłamać, że nic nie wie?

O'Brien powtórzył pytanie, tym razem z naciskiem. Douglas zdecydował, że

najwyższa pora odwrócić od siebie uwagę glin.

— W piątek po południu przyszła tutaj Ruth Lambston. Zabrała z powrotem list, który Seamus zostawił dla Ethel. Groziła, że powie wam, że ciotka gniewała się na mnie, jeśli pisnę choćby słówko o Seamusie. — Zrobił przerwę i dokończył niewinnym tonem: — Ten nóż do otwierania listów leżał na biurku, kiedy przyszła. Stała obok biurka, kiedy wyszedłem do sypialni. Nie widziałem go od piątku. Lepiej ją zapytajcie, dlaczego postanowiła ukraść sztylet.

W sobotę po południu, kiedy Ruth odebrała rozpaczliwy telefon od Seamusa, złapała w domu kierowniczkę działu personalnego ze swojej firmy. To ona wysłała adwokata, Roberta Lane'a, na posterunek policji.

Kiedy prawnik przywiózł Seamusa do domu, Ruth była pewna, że mąż zaraz dostanie ataku serca. Chciała go zabrać na ostry dyżur do szpitala. Seamus stawiał zacięty opór, ale zgodził się położyć do łóżka. Z zaczerwienionymi oczami, pełnymi łez, poczłapał do sypialni jak złamany, zrozpaczony cień człowieka.

Lane czekał w salonie, żeby porozmawiać z Ruth.

— Nie jestem adwokatem od spraw kryminalnych — oznajmił bez ogródek. — A pani mąż będzie potrzebował dobrego obrońcy.

Ruth przytaknęła.

— Z tego, co mi powiedział w taksówce, ma szansę na uniewinnienie albo zmniejszony wymiar kary, jeśli zgłosi przejściową niepoczytalność.

Ruth zamarła.

— Przyznał się, że ją zabił?

— Nie. Powiedział mi, że ją uderzył, ona sięgnęła po nóż do otwierania listów, on wyrwał jej sztylet i podczas szamotaniny drasnął ją w policzek. Powiedział mi też, że wynajął jakiegoś typa przesiadującego w barze, żeby dzwonił do Ethel z pogrozkami.

Ruth poczuła, że wargi jej drętwieją.

— Dowiedziałam się tego dopiero wczoraj wieczorem. Lane wzruszył ramionami.

— Pani mąż nie wytrzyma intensywnego przesłuchania. Radzę, żeby zażądał mniejszej kary w zamian za przyznanie się do winy. Pani wierzy, że on ją zabił, prawda?

— Tak, wierzę. Lane wstał.

— Jak mówiłem, nie jestem adwokatem od spraw kryminalnych, ale popytam i spróbuję kogoś znaleźć dla pani. Przykro mi.

Przez długie godziny Ruth siedziała pogrążona w milczeniu, w milczeniu całkowitej rozpacz. O dziesiątej obejrzała wiadomości i usłyszała, że były mąż Ethel Lambston został przesłuchany w sprawie jej śmierci. Zerwała się z miejsca i pobięła wyłączyć telewizor.

Wydarzenia z ostatniego tygodnia przewijały się w jej myślach jak taśma wideo

nastawiona na ciągłe odtwarzanie. Dziesięć dni temu łączył telefon od Jeannie: „Mamo, byłam taka upokorzona. Czek nie miał pokrycia. Kwestor mnie wezwał...” — od tego

wszystko się zaczęło. Ruth pamiętała, jak wrzeszczała i wymyślała mężowi. Popchnęłam go poza granice szaleństwa, pomyślała.

Zmniejszony wymiar kary. Co to znaczy? Zabójstwo? Ile lat? Piętnaście?

Dwadzieścia? Ale przecież pogrzebał jej ciało. Zadał sobie tyle trudu, żeby ukryć zbrodnię.

Jakim cudem zachował potrzebny spokój?

Spokojny? Seamus? Ze sztyletem w dłoni, wpatrujący się w kobietę, której poderznął gardło? Niemożliwe.

Napłynęło nowe wspomnienie, dawny żart rodzinny z czasów, kiedy jeszcze potrafili żartować. Seamus wszedł na salę porodową, kiedy urodziła się Marcy. I zemdłał. Na widok krwi padł jak kłoda. „Bardziej troszczyli się o twojego ojca niż o mnie i ciebie, opowiadała córce Ruth. Wtedy po raz pierwszy i ostatni pozwoliłam ojcu wejść na salę porodową.

Lepiej, żeby stawiał drinki w barze niż plątał się pod nogami lekarzom”.

Seamus patrzy na strumień krwi tryskający z gardła Ethel, wkłada ciało do

plastikowego worka i wynosi je ukradkiem z mieszkania. W wiadomościach podano, że z ubrania Ethel oderwano metki. Seamus z zimną krwią usunął metki, a potem zakopał

zwłoki w tej jaskini w parku? To po prostu niemożliwe, pomyślała.

Ale jeśli nie zabił Ethel, jeśli naprawdę zostawił ją żywą, Ruth szorując i wyrzucając sztylet mogła zniszczyć jedyny dowód prowadzący do kogoś innego...

Nie chciała nawet brać pod uwagę tak przytłaczającej możliwości. Ze znużeniem

wstała i przeszła do sypialni. Seamus oddychał nieregularnie, ale się poruszył.

— Ruth, zostań ze mną.

Położyła się obok niego, a on objął ją i zasnął z głową na jej ramieniu.

O trzeciej wciąż jeszcze nie mogła się zdecydować, co robić. Potem, jakby w odpowiedzi na bezgłośną modlitwę, przypomniała sobie, że często spotykała w

supermarkecie byłego komisarza policji Kearny'ego. Zawsze tak miło się uśmiechał i mówił: „Dzień dobry”. Raz, kiedy pękła jej torba z zakupami, zatrzymał się i pomógł

pozbiierać porozrzucane rzeczy. Instynktownie go polubiła, chociaż sam widok Kearny'ego przypominał jej, że część pieniędzy z alimentów trafiała do eleganckiego sklepu jego córki.

Kearny'owie mieszkali w Schwab House przy Siedemdziesiątej Czwartej. Jutro pójdą

tam oboje z Seamusem i poproszą o rozmowę z komisarzem. On będzie wiedział, co trzeba zrobić. Jemu mogła zaufać. Ruth wreszcie zasnęła, powtarzając w myślach: Muszę komuś zaufać.

Po raz pierwszy od lat przespała niedzielny poranek. Kiedy dźwignęła się na łokciu i spojrzała na zegarek, wskazywał kwadrans po dwunastej. Promienie słońca wpadały do pokoju przez źle dopasowane rolety kupione na wyprzedży. Spojrzała na Seamusa. We śnie stracił ten udręczony, bojaźliwy wyraz twarzy, który tak ją irytował. Regularne rysy zachowały ślady dawnej atrakcyjności. Dziewczynki odziedziczyły po nim urodę,

pomyślała Ruth, i poczucie humoru. W dawnych czasach Seamus był dowcipny i

błyskotliwy. A potem zaczął się upadek. Czyny za bar wzrosły astronomicznie, dzielnica zrobiła się elegancka, a starzy bywalcy znikali jeden za drugim. I co miesiąc czek z alimentami.

Ruth wysliznęła się z łóżka i podeszła do biurka. Słońce bezlitośnie obnażało blizny i zadrapania na drewnie. Próbowwała po cichu otworzyć szufladę, która zacięła się i

zaprotestowała skrzypieniem. Seamus poruszył się we śnie.

— Ruth.

— Śpij dalej — powiedziała łagodnie. — Zawołam cię na śniadanie. Telefon

zabrzącał akurat wtedy, kiedy zdejmowała bekon z rusztu. Dzwoniły dziewczynki.

Dowiedziały się o Ethel. Marcy, najstarsza, powiedziała:

— Mamo, załujemy jej, ale to znaczy, że tata jest wolny, prawda? Ruth zdobyła się na pogodny ton.

— Na to wygląda. Jeszcze nie możemy do tego przywyknąć. Zawołała Seamusa, który

podszedł do telefonu. Widziała, z jakim wysiłkiem starał się rozmawiać normalnie.

— To okropne cieszyć się z czyjejś śmierci, ale przynajmniej uwolniłem się od ciężaru finansowego. A co tam u was? Mam nadzieję, że nie podrywacie żadnych nowych

chłopaków.

Ruth przygotowała świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, bekon, jajecznicę, grzanki i kawę. Zaczekała, aż mąż skończył jeść, i nalala mu drugą filiżankę kawy. Potem usiadła naprzeciwko, po drugiej stronie ciężkiego dębowego stołu w jadalni, niechcianego prezentu od niezamężnej ciotki Seamusa, i powiedziała:

— Musimy porozmawiać.

Oparła łokcie na stole, splotła ręce pod brodą, dostrzegła własne odbicie w

poplamionym lustrze nad kredensem z porcelaną i przez ulotną chwilę pomyślała, że wygląda jak zaniedbana kura domowa. Miała na sobie wypłowiałą podomkę; zawsze

delikatne jasnobrązowe włosy zrobiły się teraz rzadkie i mysie; w okrągłych okularach jej mała twarz wydawała się skurczona. Ruth odsunęła te uboczne myśli i mówiła dalej:

— Kiedy mi powiedziałeś, że uderzyłeś Ethel i drasnąłeś ją nożem do otwierania

listów, a także opłaciłeś kogoś, żeby jej groził, wierzyłam, że posunąłeś się o krok dalej.

Wierzyłam, że ją zabiłeś.

Seamus wbił wzrok w swoją filiżankę kawy. Myślałby kto, że tam się kryją sekrety

wszechświata, pomyślała Ruth. Potem wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy.

Zupełnie jakby dobrze przespana noc, rozmowa z córkami i porządne śniadanie postawiły go na nogi.

— Nie zabiłem Ethel — oświadczył. — Przestraszyłem ją tylko. Cholera, sam się też przestraszyłem. Nie wiedziałem, że ją uderzę, ale to chyba zadziałał odruch. Zacięła się, bo sięgnęła po nóż do otwierania listów. Wyrwałem go jej i rzuciłem z powrotem na biurko.

Ale ona się bała. I wtedy powiedziała: „Już dobrze, dobrze. Możesz sobie zatrzymać te przekłete alimenty”.

— To było w czwartek po południu — przypomniała Ruth.

— W czwartek około drugiej. Wiesz, jak pusto jest wtedy w barze. Pamiętasz, jak się wściekałaś z powodu czeku bez pokrycia. Wyszedłem z baru około wpół do drugiej. Dań tam był. On to

potwierdzi.

— Wróciłeś potem do baru?

Seamus dopił kawę i odstawił filiżankę na spodek.

— Tak, musiałem. Potem wróciłem do domu, upiłem się i nie trzeźwiałem przez cały weekend.

— Z kim się spotykałeś? Wychodziłeś po gazetę?

Seamus uśmiechnął się pustym, pozbawionym wesołości uśmiechem.

— Nie byłem w nastroju do czytania.

Czekał na jej reakcję i Ruth zobaczyła, jak nieśmiała nadzieja zakwita na jego twarzy.

— Wierzysz mi — stwierdził ze zdziwieniem i pokorą.

— Nie wierzyłam ci wczoraj ani w piątek — odpowiedziała. — Ale teraz ci wierzę.

Do wielu rzeczy jesteś zdolny, a do wielu nie, ale wiem, że nie złapałbyś noża ani sztyletu i nie poderznąłbyś nikomu gardła.

— Wspaniałego męża sobie wzięłaś — zauważył cicho Seamus.

— Mogłam trafić gorzej — odparła Ruth energicznym tonem. — Teraz do rzeczy. Nie

podoba mi się ten prawnik i sam przyznał, że potrzebujesz innego obrońcy. Chcę czegoś spróbować. Po raz ostatni przysięgnij na swoje życie, że nie zabiłeś Ethel.

— Przysięgam na własne życie. — Seamus się zawahał. — Na życie moich trzech córek.

— Potrzebujemy pomocy. Prawdziwej pomocy. Oglądałam wiadomości wczoraj wieczorem. Mówili o tobie. Że cię przesłuchiowano. Koniecznie chcą udowodnić, że to zrobiłeś. Musimy powiedzieć całą prawdę komuś, kto nam poradzi, co robić, albo pośle nas do odpowiedniego adwokata.

Przez całe popołudnie Ruth dyskutowała, argumentowała, tłumaczyła i namawiała, zanim Seamus się zgodził. O wpół do piątej oboje włożyli swoje praktyczne stare okrycia

— sylwetka Ruth wydawała się jeszcze bardziej krępa i zwarta, a płaszcz Seamusa opinał

się na wysokości środkowego guzika — i przeszli piechotą trzy przecznice do Schwab House. Po drodze niewiele rozmawiali. Chociaż panował ziąb nietypowy dla tej pory roku, ludzie korzystali ze słonecznej pogody. Małe dzieci z balonikami w rączkach, prowadzone przez wymęczonych rodziców, wywołały uśmiech na twarzy Seamusa.

— Pamiętasz, jak zabieraliśmy dziewczynki do zoo w niedzielne popołudnia? Miło, że znowu je otworzyli.

Portier w Schwab House powiedział im, że komisarz i panna Kearny wyszli. Ruth z

wahaniem zapytała, czy mogą zaczekać. Przez pół godziny siedzieli obok siebie na sofie w westybulu i zaczęła już wątpić, czy słusznie zrobili, przychodząc tutaj. Chciała właśnie wyjść, kiedy portier otworzył drzwi i wpuścił czteroosobową grupę: Kearnych i dwoje obcych.

Ruth pośpieszyła im na spotkanie, zanim straciła resztki odwagi.

— Myles, żałuję, że nie chciałeś z nimi porozmawiać.

Cała trójka była w kuchni. Jack robił sałatkę, Neeve rozmrażała resztki sosu do

makaronu z czwartkowego obiadu. Myles przygotowywał bardzo wytrawne martini dla

siebie i Jacka.

— Neeve, to absolutnie wykluczone, żebym wysłuchiwał ich zwierzeń. Przecież jesteś świadkiem w tej sprawie. Jeśli pozwolę mu powiedzieć, że zabił Ethel podczas sprzeczki, mam moralny obowiązek zameldować o tym.

— Z pewnością nie to chciał powiedzieć.

— Tak czy inaczej, mogę cię zapewnić, że Seamusa Lanibstona i jego żonę Ruth czeka ciężkie przesłuchanie na komendzie. Nie zapominaj, jeśli ten śliski bratanek mówi prawdę i Ruth ukradła nóż do otwierania listów, to na pewno nie wzięła go sobie na pamiątkę.

Zrobiłem, co mogłem. Zadzwoiłem do Pete'a Kennedy'ego. To cholernie dobry adwokat od spraw kryminalnych i przyjmie ich rano.

— A czy ich stać na cholernie dobrego i drogiego adwokata?

— Jeśli Seamus Lambston ma czyste ręce, Pete udowodni naszym chłopcom, że

oskarżyli niewłaściwego człowieka. Jeśli jest winien, warto zapłacić Pete'owi za zmianę kwalifikacji z morderstwa na zabójstwo w afekcie.

Przy obiedzie Neeve miała wrażenie, że Jack umyślnie omija w rozmowie temat Ethel.

Wypytywał Mylesa o jego słynne śledztwa, a ten temat nigdy się ojcu nie znudził. Dopiero kiedy

sprzątali ze stołu, Neeve zorientowała się, że ich gość sporo wiedział o sprawach, które z pewnością nigdy nie trafiły do gazet na Środkowym Zachodzie.

— Szukałeś Mylesa w starych gazetach — zarzuciła mu. Nie wydawał się speszony.

— Owszem. Hej, zostaw te garnki w zlewie. Ja pozmywam. Zniszczysz sobie paznokcie.

To niemożliwe, pomyślała Neeve, żeby tyle się wydarzyło przez tydzień. Zupełnie jakby Jack zawsze tutaj był. Co się dzieje?

Wiedziała, co się dzieje. Potem przeniknął ją bolesny chłód. Mojżesz widzi Ziemię Obiecaną i wie, że nigdy tam nie wejdzie. Dlaczego tak się czuła? Dlaczego miała

wrażenie, że spada w dół po spirali? Dlaczego, kiedy spojrzała na żałobne zdjęcie Ethel, dostrzegła w nim dzisiaj coś jeszcze, coś ukrytego, jakby zmarła mówiła: „Zaczekaj, aż zobaczysz, jak to jest”.

Ale co? — zastanawiała się Neeve.

Śmierć.

W wiadomościach o dziesiątej podano kolejne fakty dotyczące pisarki. Ktoś zmontował krótki film o jej barwnej przeszłości. Media jak zawsze potrzebowały sensacji, a Ethel pomagała wypełnić tę lukę.

Program właśnie się kończył, kiedy zaterkotał telefon. Dzwoniła Kitty Conway. Jej czysty, niemal muzykalny głos był lekko zdyszany.

— Neeve, przepraszam, że cię niepokoję, ale właśnie wróciłam do domu. Kiedy odwieszałam płaszcz, zobaczyłam, że twój ojciec zostawił kapelusz w szafie. Jutro późnym popołudniem wybieram się do miasta, więc może gdzieś go podrzucę.

Neeve była zdumiona.

— Zaczekaj chwilę, dam ci ojca. — Podając słuchawkę Mylesowi, szepnęła: — Nigdy niczego nie zapominasz. Co się stało?

— Och, to śliczna Kitty Conway — mruknął z satysfakcją. — Myślałem, że nigdy nie znajdzie tego cholernego kapelusza.

Po skończonej rozmowie spojrzał na córkę z zakłopotaną miną.

— Kitty wpadnie tutaj jutro około szóstej. Potem zabieram ją na obiad. Chcesz pójść z nami?

— Jeszcze czego. Chyba że potrzebujesz przyzwoitki. Zresztą i tak miałam iść na Siódmą Aleję.

W drzwiach Jack zapytał:

— Powiedz, jeśli się narzucam. Jeśli nie, może pójdziemy jutro na obiad?

— Wiesz cholernie dobrze, że wcale się nie narzucasz. Pójdziemy na obiad, jeśli

zechcesz zaczekać, aż do ciebie zadzwonię. Nie wiem, o której skończę. Zwykle na koniec wpadam do wujka Sala, więc stamtąd do ciebie zakręcę.

— Zgoda. Neeve, jeszcze jedno. Bądź ostrożna. Jesteś ważnym świadkiem w sprawie

Ethel Lambston, a po spotkaniu z tymi ludźmi, Seamusem Lambstonem i jego żoną,

poczułem się trochę nieswojo. Neeve, oni są zdesperowani. Winni czy niewinni, chcą zatrzymać śledztwo. Ta deklaracja współpracy z twoim ojcem mogła być spontaniczna albo wyrachowana. Rzecz w tym, że morderca nie zawaha się znowu zabić, jeśli ktoś wejdzie mu w drogę.

Ponieważ w poniedziałek Denny miał wolne w delikatesach, jego nieobecność nie wzbudzała podejrzeń, ale chciał również zapewnić sobie alibi, że spędził cały dzień w łóżku.

— Chyba złapałem gripę — mruknął do niezbyt zainteresowanego portiera na parterze swojej czynszówki.

Duży Charley dzwonił do niego wczoraj wieczorem.

— Musisz ją zaraz sprzątnąć albo znajdziemy kogoś innego. Denny wiedział, co to znaczy. Nie zostawią go przy życiu, żeby nie próbował wykorzystać informacji o kontrakcie do wytargowania niższej kary. Poza tym potrzebował drugiej raty.

Starannie ułożył plan. Poszedł do apteki na rogu i kaszląc niemiłosiernie, poprosił o jakieś lekarstwa bez recepty. Po powrocie do mieszkania umyślnie nawiązał rozmowę z głupią staruchą, która mieszkała dwa pokoje dalej i zawsze próbowała się zaprzyjaźnić.

Pięć minut później wyszedł z jej pokoju, niosąc obtłuczony kubek cuchnącej herbaty.

— Wyleczy wszystko — zapewniła go. — Zajrzę do ciebie później.

— Może później zrobi mi pani jeszcze tej herbaty — zaskomlał Denny. Poszedł do toalety, wspólnej dla lokatorów z pierwszego i drugiego piętra, i poskarżył się na skurcze staremu pijakowi, który cierpliwie czekał na swoją kolejkę. Tamten nie chciał go przepuścić.

We własnym pokoju Denny starannie spakował wszystkie stare łachy, które nosił podczas śledzenia Neeve. Nigdy nie wiadomo, który portier ma bystry wzrok i potrafi opisać kogoś, kto kręcił się obok Schwab House. Choćby ta stara nudziara z psem. Dobrze mu się przyjrzała. Denny nie wątpił, że kiedy zginie córka byłego komisarza policji, gliny wyroją się jak wściekłe osy.

Postanowił wyrzucić ubrania do najbliższego śmietnika. To łatwe. Trudniej będzie śledzić Neeve Kearny, gdy wyjdzie ze sklepu na Siódmą Aleję. Ale wymyślił dobry sposób.

Miał nowy szary dres, w którym nikt z sąsiadów go jeszcze nie widział, a także punkową perukę i wielkie okulary kosmicznego kadeta. W tym przebraniu upodobił się do

posłańców, którzy rozjeżdżali się po mieście na rowerach, przewracając ludzi. Kupił wielką brązową kopertę i zaczeka, aż Neeve Kearny wyjdzie ze sklepu. Ona pewnie weźmie

taksówkę do dzielnicy odzieżowej. Denny pojedzie za nią drugą taksówką. Wstawi kit taksiarzowi, że ukradziono mu rower, a ta pani potrzebuje dokumentów, które miał dostarczyć.

Na własne uszy słyszał, że Neeve Kearny umówiła się na wpół do drugiej z jakąś bogatą babą, jedną z tych, które wydają mnóstwo kasy na szmaty.

Zawsze trzeba uwzględnić margines błędu. Postanowił czekać naprzeciwko sklepu od pierwszej trzydzieści.

Nieważne, jeśli taksiarz doda dwa do dwóch po rozwaleniu tej laski. Będą szukać faceta z punkową fryzurą.

Obmyśliwszy cały plan, Denny wepchnął tłumoczek starej odzieży pod zapadnięte łóżko. Co za nora, pomyślał, rozglądając się po maleńkim pokoiku. Śmierdzi i pełno karaluchów. Biurko ze skrzynki po pomarańczach. Ale kiedy Denny wykona robotę i

dostanie drugie dziesięć kawałków, musi tylko odczekać do końca zawieszenia, a potem stąd spłynie. Rany, jeszcze jak.

Przez resztę poranka robił częste wycieczki do toalety, skarżąc się na swoje

dolegliwości każdemu, kto chciał słuchać. W południe zapukała do niego starucha z sąsiedztwa, przynosząc następny kubek herbaty i czerstwą bułkę. Znowu chodził do toalety, stawał za zamkniętymi drzwiami, usiłując nie wdychać trujących wyziewów, i kazał innym czekać, aż protestowali mrukliwie.

Kwadrans po pierwszej wylazł z kabiny i powiedział do starego pijaka:

— Chyba czuję się lepiej. Spróbuję się przespać.

Jego pokój znajdował się na pierwszym piętrze, okno wychodziło na zaułek.

Przewieszona część stromego dachu wystawała nad niższymi piętrami. Denny

błyskawicznie przebrał się w szary dres, naciągnął punkową perukę, nałożył okulary, zrzucił tłumoczek z żebraczym przebraniem na ziemię i sam wyskoczył.

Wepchnął tobolek głęboko do zaszczurzonego śmietnika za blokiem mieszkalnym przy

Sto Ósmej, złapał metro do Lexington i Osiemdziesiątej Szóstej, kupił w sklepiku dużą brązową kopertę i mazaki, napisał na kopercie „Pilne” i zajął stanowisko naprzeciwko butiku.

O dziesiątej w poniedziałek rano koreański samolot lewarowy, lot 771, otrzymał

zezwoleń na lądowanie na lotnisku Kennedy'ego. Ciężarówki z Gordon Steuber Textiles czekały, żeby przewieźć skrzynie z sukniami i sportowymi ubraniami do magazynów w Long Island City; magazynów, które nie figurowały w żadnych rejestrach firmy.

Inni też czekali na ten ładunek: oficerowie policji świadomi, że mają dokonać największego narkotykowego nalotu w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

— Niesamowity pomysł — mruknął jeden z nich do kolegi, kiedy czekali na płycie przebrani za mechaników. — Widziałem towar schowany w meblach, w laleczkach Kelpie, w obrazach dla psów, w pieluszkach, ale nigdy w wytwornych kreacjach.

Samolot zatoczył krąg i wylądowawszy, wyhamował przed hangarem. W jednej chwili płyta lotniska zarośla się od federalnych.

Dziesięć minut później wyważono wieko pierwszej skrzyni. Rozcięto szwy wspaniale skrojonej lnianej marynarki. Czysta, nierozcieńczona heroina posypała się do plastikowej torebki, trzymanej przez szefa ekipy.

— Chryste — powiedział z podziwem — w tym jednym pudle musi być ze dwa miliony zielonych. Przekaż, żeby zwinęli Steubera.

O dziewiątej czterdzieści rano agenci federalni wpadli do biura Gordona Steubera.

Sekretarka próbowała zastąpić im drogę, ale została stanowczo odsunięta na bok. Projektant słuchał beznamyślnie, gdy odczytywano mu jego prawa. Bez śladu emocji patrzył, jak na jego nadgarstkach zatraskują się kajdanki. W jego myślach szalała wściekła, mordercza furia, skierowana na Neeve.

Kiedy go wyprowadzano, zatrzymał się obok pochlipującej sekretarki.

— May — powiedział do niej — lepiej odwołaj wszystkie moje spotkania. Nie zapomnij.

Wyraz jej oczu powiedział mu, że zrozumiała. Nie powie nikomu, że przed

dwunastoma dniami, w środę wieczorem, Ethel Lambston wtargnęła do gabinetu Steubera i oświadczyła, że wie o jego poczynaniach.

Douglas Brown nie spał dobrze w niedzielną noc. Rzucił się niespokojnie na

kosztownych perkalowych prześcieradłach Ethel, dręczony gorączkowymi snami na jej temat. W

jednym Ethel wznosiła kieliszek Dom Perignon w restauracji San Domenico: „Za tego palanta Seamusa”. W innym Ethel pytała go zimno: „Ile sobie przywłaszczyłeś tym razem?”. W jeszcze innym zaś aresztowała go policja.

O dziesiątej w poniedziałek rano zadzwonili z biura inspektora medycznego okręgu

Rockland. Jako najbliższy krewny musiał zdecydować, co zrobić z doczesnymi szczątkami Ethel Lambston. Doug próbował mówić z przejęciem.

— Moja ciotka życzyła sobie, żeby ją skremowano. Czy podpowiecie mi, jak to załatwić?

Właściwie Ethel wspominała coś o pochówku w Ohio, razem z rodzicami, ale znacznie taniej będzie wysłać urnę niż trumnę.

Podano mu nazwę zakładu pogrzebowego. Kobieta, która odebrała telefon, była

serdeczna, troskliwa i zainteresowana stanem finansowym Douga. Obiecał, że oddzwoni, i połączył się z księgowym EtViel. Ten właśnie wyjeżdżał na długi weekend i dopiero teraz usłyszał straszną nowinę.

— Byłem świadkiem przy spisaniu testamentu pani Lambston oznajmił. — Mam kopię oryginału. Ona bardzo pana lubiła.

— A ja kochałem ją szalenie.

Doug odłożył słuchawkę. Wciąż nie mógł się przyzwycząić, że jest bogatym człowiekiem. Bogatym przynajmniej według jego kryteriów.

Gdybym tylko wszystkiego nie spieprzył, pomyślał.

Instynktownie spodziewał się policji, jednak energiczne pukanie do drzwi i zaproszenie na komendę wytrąciły go z równowagi.

Na komisariacie był zaskoczony, kiedy odczytano mu jego prawa.

— Chyba żartujecie.

— Wolimy dmuchać na zimne — uspokoił go detektyw Gomez. — Pamiętaj, Doug, nie musisz odpowiadać na pytania. Możesz wezwać adwokata. Albo możesz przestać odpowiadać na pytania w każdej chwili.

Doug pomyślał o pieniądzach Ethel; o mieszkaniu Ethel; o koleżance z pracy, która na niego leciała; jak rzuca swoją robotę i jak poucza tego śmiecia, kto tu jest szefem. Zrobił

zatrokaną minę.

— Zgadzam się odpowiedzieć na wszelkie pytania.

Już pierwsze pytanie detektywa O'Briena zwaliło go z nóg.

— W zeszły czwartek poszedłeś do banku i podjąłeś czterysta dolarów w

studolarowych banknotach. Nie ma sensu zaprzeczać, sprawdziliśmy. Właśnie te pieniądze znaleźliśmy w mieszkaniu, prawda, Doug? Więc dlaczego je podłożyłeś, skoro nam

powiedziałeś, że ciotka zawsze znajdowała pieniądze, o kradzież których cię posądzała?

Myles spał od północy do piątej trzydzieści. Obudził się i wiedział, że już nie zaśnie.

Niczego bardziej nie znosił niż leżenia w łóżku i czekania na nikłą szansę powrotu w objęcia Morfeusza. Wstał, sięgnął po szlafrok i poszedł do kuchni.

Nad kubkiem świeżo zaparzonej bezkofeinowej kawy krok po kroku przeanalizował

wydarzenia z całego tygodnia. Początkowe uczucie ulgi, wynikające ze śmierci Nicky'ego Sepettiego, stopniowo zanikało. Dlaczego?

Rozejrzał się po uporządkowanej kuchni. Wczoraj wieczorem milcząco pochwalił

Campbella, który pomagał Neeve w sprzątaniu. Jack dobrze dawał sobie radę w kuchni.

Myles uśmiechnął się półgębkiem, wspominając swojego ojca. Wspaniały facet. „Jego wysokość”, jak nazywała go matka. Ale tata nigdy w życiu nie wstawił talerza do zlewu, nie popiłnował dziecka ani nie przejechał odkurzaczem po dywanie. Dzisiejsi młodzi mężowie są inni. Tym lepiej.

Jakim był mężem dla Renaty? Dobrym, według kryteriów większości ludzi.

— Kochałem ją — powiedział teraz prawie szeptem. — Byłem z niej dumny.

Wspaniale się bawiliśmy razem. Ale zastanawiam się, czy dobrze ją znałem. Jak bardzo w swoim małżeństwie upodobiłem się do ojca? Czy w ogóle traktowałem ją poważnie poza rolą żony i matki?

Wczoraj wieczorem, a może przedwczoraj powiedział Jackowi Campbellowi, że

Renata mówiła mu wiele o winach. W tamtych czasach bardzo się starałem nabrać ogłady, pomyślał teraz Myles i przypomniał sobie, jak przed poznaniem żony w tajemnicy ułożył

sobie program samokształcenia. Bilety do sal koncertowych. Bilety do opery.

Obowiązkowe wizyty w Museum of Art.

To Renata zmieniała te obowiązkowe wyjścia w podniecające odkrywcze wyprawy.

Renata, która po powrocie z opery nuciła arie swoim czystym, silnym sopranem. „Milo, caro, czy jesteś jedynym Irlandczykiem na świecie, któremu słoń nadepnął na ucho?”, przekomarzała się z mężem.

Przez te jedenaście cudownych lat dopiero zaczynaliśmy zgłębiać to wszystko, co mogliśmy sobie dać.

Myles wstał i nalał drugi kubek kawy. Skąd ten nagły przypływ wspomnień? Co mu umknęło? Coś. Coś.

— Och, Renato — jęknął — nie wiem czemu, ale martwię się o Neeve. Zrobiłem dla niej, co mogłem przez te siedemnaście lat. Ale to również twoja córka. Czy coś jej grozi?

Drugi kubek kawy poprawił mu nastrój i Myles poczuł się trochę głupio. Kiedy Neeve, ziewając, weszła do kuchni, odzyskał już dostatecznie równowagę, żeby powiedzieć:

— Niezły pomywacz z tego twojego wydawcy.

Córka uśmiechnęła się, nachyliła i pocałowała go w czubek głowy.

— A więc „śliczna Kitty Conway” — zacytowała. — Pochwalam, komisarzy. Już czas, żebyś zaczął się oglądać za kobietami. W końcu nie robisz się młodszy.

Odskoczyła, by uniknąć szturchańca.

Neeve włożyła do pracy kostium Chanel, blad różowy z szarym i ze złotymi guzikami. Do tego szare skórzane pantofle i szara torebka na ramię. Włosy zaczesła w gładki kok.

Myles kiwnął głową z aprobatą.

— Podoba mi się taki strój. Lepszy niż sobotnia szachownica. Muszę przyznać, że odziedziczyłaś po matce dobry gust.

— Pochwała jaśnie pana to wielki zaszczyt. — Neeve zawahała się w drzwiach. —

Komisarzy, wyświadczysz mi przysługę i zapytasz patologa, czy ktoś przebrał Ethel po śmierci?

— Nie pomyślałem o tym.

— Więc proszę, pomyśl. A nawet jeśli się nie zgadzasz, zrób to ze względu na mnie.

Jeszcze jedno: myślisz, że Seamus Lambston i jego żona próbowali nas nabrać?

— Całkiem możliwe.

— Racja. Ale chociaż raz wysłuchaj mnie i nie przerywaj. Ostatnią osobą, która widziała Ethel żywą, jest jej były mąż. Wiemy, że spotkali się w czwartek po południu.

Niech ktoś go zapyta, jak była wtedy ubrana. Założę się, że w kolorowy wschodni kaftan z lekkiej wełny, którego prawie nie zdejmowała w domu. Tego kaftana nie znalazłam w szafie. Ethel nigdy nie zabierała go, wyjeżdżając. Myles, nie patrz tak na mnie. Wiem, o czym mówię. Założmy, że Seamus... albo ktoś inny... zabił Ethel, kiedy miała na sobie ten kaftan, a potem ją przebrał.

Otworzyła drzwi. Myles zorientował się, że oczekiwała jakiejś kąśliwej uwagi z jego strony. Zachował neutralny ton głosu.

— To znaczy...?

— To znaczy, że jeśli Ethel przebrano po śmierci, wykluczone, żeby były mąż popełnił

to morderstwo. Widziałeś, jak byli z żoną ubrani. Znają się na modzie jak ja na

wewnętrznych mechanizmach promu kosmicznego. Z drugiej strony mamy śliskiego drania nazwiskiem Gordon Steuber, który odruchowo wybrałby coś z własnej firmy i ubrałby Ethel we własny oryginalny zestaw. — Zanim zamknęła za sobą drzwi, dodała: Zawsze powtarzasz, że zabójca zostawia swoją wizytówkę, komisarzu.

Adwokata Petera Kennedy'ego często pytano o pokrewieństwo z „tymi” Kennedymi.

Istotnie wykazywał duże podobieństwo do nieżyjącego prezydenta. Był już po

pięćdziesiątce, włosy miał bardziej szpakowate niż siwe, mocną kwadratową twarz i smukłą sylwetkę. Wcześniej w swojej karierze pracował jako zastępca prokuratora generalnego i wtedy nawiązał trwałą przyjaźń z Mylesem Kearnym. Na telefoniczną prośbę komisarza odwołał spotkanie umówione na jedenastą i zgodził się przyjąć Seamusa i Ruth

Lambstonów w swoim biurze w śródmieściu.

Teraz słuchał ich z niedowierzaniem i obserwował napięte, znużone twarze obojga. Od czasu do czasu wtrącał pytania.

— Twierdzi pan, panie Lambston, że uderzył pan pięścią byłą żonę tak mocno, że

upadła do tyłu na podłogę, potem zerwała się i chwyciła sztylet, który jej służył do otwierania listów, a pan go zabrał i podczas szamotaniny skaleczył ją w policzek.

Seamus przytaknął.

— Ethel widziała, że prawie chciałem ją zabić.

— Prawie?

— Prawie — powtórzył Lambston zniżonym, pełnym wstydu głosem. — To znaczy

przez jedną sekundę cieszyłbym się, gdyby ten cios ją zabił. Zamieniła mi życie w piekło na ponad dwadzieścia lat. Później, kiedy wstała, uświadomiłem sobie, do czego o mało by doszło. Ale ona się przestraszyła. Powiedziała, żebym zapomniał o alimentach.

— A potem...

— Wyszedłem. Poszedłem do baru. Potem wróciłem do domu, upiłem się i nie

trzeźwiałem. Znałem Ethel. To całkiem w jej stylu, żeby oskarżyć mnie o napaść. Trzy razy próbowała wpakować mnie za kratki, kiedy spóźniłem się z alimentami. — Roześmiał się niewesoło. — Na przykład tego dnia, kiedy urodziła się Jeannie.

Pete kontynuował przesłuchanie i zręcznie wydobył z Seamusa kolejne fakty: obawa, że Ethel złoży skargę; pewność, że kiedy ona przemyśli sprawę na spokojnie, znowu zażąda alimentów; głupie wmawianie Ruth, że tamta zgodziła się zrezygnować z pieniędzy;

przerażenie, kiedy żona zażądała, żeby napisał o tym do Ethel.

— A potem pan nieumyślnie zostawił czek razem z listem w skrzynce i wrócił, żeby odzyskać jedno i drugie?

Seamus wykręcał sobie palce. Słuchając własnych słów czuł, że wyszedł na żalosego durnia. I było coś jeszcze. Pogróżki. Ale jakoś nie mógł się zdobyć, żeby o tym

opowiedzieć.

— Nie spotkał się pan i nie rozmawiał z byłą żoną, Ethel Lambston, od czwartku, trzydziestego marca.

— Nie.

Nie powiedział mi wszystkiego, pomyślał Pete, ale wystarczy na początek. Patrzył, jak Lambston odchyła się na oparcie kasztanowej skórzanej kanapy. Zaczynał się odprężyć.

Wkrótce tak się rozluźni, że wyzna wszystko. Zbyt duży nacisk byłby błędem. Adwokat odwrócił się do Ruth Lambston. Siedziała sztywno obok męża z czujnym wyrazem oczu.

Pete zorientował się, że wyznania małżonka przestraszyły Ruth.

— Czy to możliwe, że ktoś oskarży Seamusa o napaść czy coś takiego, bo uderzył Ethel? — zapytała.

— Ethel Lambston nie żyje, więc nie wniesie skargi — odparł Pete, choć zgodnie z prawem policja mogła go oskarżyć. — Pani Lambston, uważam się za niezłego znawcę ludzkich charakterów. To pani namówiła męża na rozmowę z komisarzem — poprawił się — byłym komisarzem Kearnym. Moim zdaniem słusznie pani zdecydowała, że w chwili obecnej potrzebujecie pomocy. Ale mogę wam pomóc tylko wtedy, kiedy powiecie mi prawdę. Coś ukrywacie i muszę wiedzieć, co to jest.

Czując na sobie wzrok męża i tego imponującego prawnika, Ruth wyznała:

— Chyba wyrzuciłam narzędzie zbrodni.

Zanim wyszli pół godziny później, Seamus zgodził się poddać testowi na wykrywaczu kłamstw, a Pete Kennedy nie był już taki pewny swojego instynktu. Na samym końcu sesji Seamus przyznał się, że wynajął jakiegoś zapijanego bandziora przesiadującego w pubie, żeby groził Ethel. Albo on jest zwyczajnie głupi i wystraszony, albo pogrywa bardzo sprytnie, zdecydował Pete i zanotował sobie w pamięci, żeby uprzedzić Kearny'ego, że nie wszyscy przysłani przez Mylesa klienci są w jego guście.

Wiadomość o aresztowaniu Gordona Steubera spadła na świat mody niczym fala

tsunami. Linie telefoniczne brzęczały: „Nie, nie chodzi o nielegalne wytwórnie. Wszyscy to robią. Chodzi o narkotyki”. Potem zabrzmiało wielkie pytanie: „Dlaczego? Facet zarabia miliony. No więc dostał po łapach za nielegalnych robotników, zarzucono mu uchylanie się od płacenia podatku. Dobry zespół adwokatów mógł to przeciągać latami. Ale narkotyki!”.

Po godzinie pojawił się czarny humor: „Nie drażnijcie Neeve Kearny, bo założą wam stalowe bransoletki zamiast zegarka”.

Anthony della Salva, otoczony przez gorliwych asystentów, pracował nad ostatnimi

szczegółami pokazu mody ze swojej jesiennej propozycji, który zaplanował na przyszły tydzień. Kolekcja okazała się wybitnie udana. Nowy chłopak, zatrudniony świeżo po Technicznym Instytucie Mody, był geniuszem.

— Jesteś drugim Anthonym della Salvą — powiedział do Rogeta rozpromieniony Sal.

To była najwyższa pochwała z jego strony.

Roget, drobnej budowy, z chudą twarzą i cienkimi włosami, mruknął pod nosem:

— Albo przyszłym Mainbocherem.

Odwzajemnił jednak szczęśliwy uśmiech szefa. Wiedział, że w ciągu dwóch lat

zdołacie dostateczne poparcie, żeby otworzyć własny salon. Walczył z Salem zębami i pazurami o wykorzystanie miniaturek wzoru rafy koralowej jako dodatków do nowej

kolekcji: paski, szaliki i chusteczki do butonierek w jaskrawych tropikalnych kolorach i wyszukanych deseniach tchnęły czarem i tajemniczością podwodnego świata.

— Nie chcę tego — oświadczył stanowczo Sal na początku.

— To ciągle twoja najlepsza rzecz. Twój znak firmowy.

Po skompletowaniu kolekcji szef przyznał, że Roget miał rację. Dopiero o wpół do

czwartej Sal usłyszał nowinę o Gordonie Steuberze. I dowcipy. Natychmiast zadzwonił do Mylesa.

— Wiedziałeś, że na to się zanosi?

— Nie — odparł ten z rozdrażnieniem w głosie. — Nie mam dojścia do wszystkiego,

co się dzieje na Police Plaza jeden. — Niespokojny głos przyjaciela umocnił przecucie nadchodzącej katastrofy, które prześladowało Mylesa przez cały dzień.

— A szkoda — stwierdził Sal. — Słuchaj, wszyscy od dawna wiemy, że Steuber miał powiązania z mafią. Co innego, gdy Neeve ujawniła, że zatrudniał robotników na czarno.

Ale teraz pośrednio dzięki niej gliny zgarnęły sto milionów dolarów, a to zupełnie inna para kaloszy.

— Sto milionów. Nie słyszałem o takiej sumie.

— Więc włącz radio. Moja sekretarka właśnie to usłyszała. No więc może powinieneś zatrudnić ochroniarza dla Neeve. Pilnuj jej! Wiem, że to twoja córka, ale bronię własnych inwestycji.

— Zgoda. Porozmawiam z chłopakami w mieście i pomyślę o tym. Właśnie

próbowałem dodzwonić się do Neeve. Już wyszła na Siódmą Aleję. Dzisiaj jest dzień zakupów. Czy planowała zajrzeć do ciebie?

— Zwykle tutaj wpada. I wie, że chcę jej pierwszej pokazać nową linię. Uwielbia to.

— Poproś, żeby zadzwoniła do mnie, jak tylko do ciebie przyjdzie. Powiedz, że

czekam na telefon.

— Zrobi się.

Myles chciał już go pożegnać, ale coś mu się przypomniało.

— Jak ręka, Sal?

— Nieźle. Mam nauczkę, żeby uważać. Ale przede wszystkim strasznie mi głupio, że zniszczyłem wam książkę.

— Nie martw się. Książka schnie. Neeve ma nowego chłopaka, wydawcę. On odda książkę do renowacji.

— Nie ma mowy. To moje zadanie. Przyślę kogoś po nią. Myles się zaśmiał.

— Sal, może jesteś dobrym projektantem, ale według mnie Jack Campbell lepiej się do tego nadaje.

— Myles, nalegam.

— Do widzenia, Sal.

O drugiej Seamus i Ruth Lambstonowie wrócili do biura Petera Kennedy'ego, żeby poddać się testom na wykrywaczu kłamstw. Pete wyjaśnił im:

— Jeżeli wyrazimy zgodę na użycie policyjnego poligrafu, w razie gdyby wytoczono wam proces, chyba zdołam im wyperswadować, żeby nie wnosili oskarżenia o napaść ani ukrywanie dowodów.

Ruth i Seamus mieli dwie godziny wolne przed testem, więc poszli na lunch do małej kawiarni w śródmieściu. Żadne nie zjadło więcej niż kilka kęsów kanapek, które postawiła przed nimi kelnerka. Oboje zamówili więcej herbaty. Seamus przerwał milczenie:

— Co myślisz o tym prawniku? Ruth nie spojrzała na męża.

— Myślę, że on nam nie wierzy. — Odwróciła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

— Ale jeśli mówisz prawdę, postąpiliśmy słusznie.

Test przypomniał Ruth jej ostatni elektrokardiogram. Różnica polegała na tym, że te druty mierzyły inne impulsy. Ekspert od poligrafu był bezosobowo serdeczny. Zapytał

Ruth, ile ma lat, gdzie pracuje, o rodzinę. Kiedy mówiła o dziewczynkach, trochę się odprężyła i w jej głosie pojawiła się nutka dumy. Marcy... Linda... Jeannie...

Potem padły pytania o jej wizytę w mieszkaniu Ethel, czy podarła czek, czy zabrała nóż do rozcinalnia listów, czy przyniosła go do domu, umyła, wrzuciła do kosza w

indyjskim sklepie przy Szóstej Alei.

Po zakończeniu testu Peter Kennedy poprosił ją, żeby zaczekała w poczekalni i

przysłała Seamusa. Przez następne czterdzieści pięć minut siedziała sztywna ze strachu.

Przestaliśmy panować nad własnym życiem, myślała. Inni ludzie zdecydują, czy staniemy przed sądem, czy pójdziemy do więzienia.

Poczekalnia wyglądała imponująco. Ładna skórzana kanapa nabijana złotymi

ćwiekami. Kosztowała pewnie co najmniej sześć lub siedem tysięcy dolarów. Dobrana kozetka; okrągły mahoniowy stół na cylindrycznej nodze, a na nim najnowsze czasopisma; doskonałe modernistyczne ryciny na ścianach pokrytych boazerią. Ruth miała świadomość, że recepcjonistka przygląda jej się ukradkiem. Co widziała ta młoda, elegancko ubrana dama? — zastanawiała się Ruth. Pospolitą kobietę w brzydkiej zielonej wełnianej sukni i praktycznych butach, z włosami wymykającymi się już z koku. Pewnie myśli, że nie stać mnie na tutejsze ceny, i ma rację.

Otworzyły się drzwi od korytarza prowadzącego do prywatnego gabinetu Petera

Kennedy'ego. Adwokat stanął w progu z ciepłym uśmiechem na twarzy.

— Zechce pani wejść, pani Lambston. Wszystko w porządku.

Po wyjściu eksperta od poligrafu Kennedy wyłożył karty na stół.

— Normalnie wolałbym nie rozgrywać tego szybko. Ale martwicie się, że im dłużej

media przedstawiają Seamusa jako podejrzanego, tym gorzej to znoszą wasze córki.

Proponuję układ z brygadą zabójstw badającą tę sprawę. Zażądam natychmiastowego testu na poligrafie, żeby oczyścić tę nieznośną atmosferę podejrzeń wokół pana. Ostrzegam jednak: żeby zgodzili się na natychmiastowy test, musimy zagwarantować, że jeśli stanie pan przed sądem, wyniki testu zostaną udostępnione. Myślę, że na to pójdą. Myślę też, że ich przekonam, aby wycofali wszelkie inne oskarżenia.

Seamus przełknął ślinę. Twarz mu błyszczała, jakby pokryta na stałe warstewką potu.

— Niech pan działa — powiedział. Kennedy wstał.

— Jest trzecia. Możemy to załatwić jeszcze dzisiaj. Zechcą państwo poczekać na

zewnątrz, a ja zobaczę, co się da zrobić.

Pół godziny później wyszedł z gabinetu.

— Mamy umowę. Jedziemy.

* * *

W poniedziałki handel zwykle szedł słabo, ale jak powiedziała Neeve do Eugenii: „Po nas tego nie widać”. Od chwili, kiedy otworzyła drzwi o dziewiątej trzydzieści, w sklepie panował ruch. Myles przekazał jej ostrzeżenie Sala przed złą reklamą wynikającą ze śmierci Ethel, ale Neeve, która harowała bez przerwy prawie do dwunastej, stwierdziła sucho:

— Widocznie bardzo wiele kobiet nie ma nic przeciwko temu, żeby umrzeć w ubraniach z naszego salonu. — Potem dodała: — Zadzwoń po kawę i kanapki, okay?

Kiedy zamówienie dostarczono do gabinetu, Neeve uniosła brwi.

— Och, spodziewałam się Denny’ego. Chyba się nie zwolnił? Dostarczyciel, tyczkowaty dziewiętnastolatek, rzucił torbę na biurko.

— W poniedziałki ma wolne.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Neeve zauważyła kwaśno:

— Tym razem bez obsługi.

Ostrożnie zdjęła pokrywkę z parującego pojemnika z kawą. Jack zadzwonił kilka minut później.

— U ciebie wszystko w porządku? Uśmiechnęła się do słuchawki.

— Jasne, że w porządku. Nawet więcej niż w porządku, same sukcesy. Od rana idzie wspaniale.

— Może więc powinnaś mnie wspomóc. Właśnie idę na lunch z agentem, który nie będzie zachwycony moją ofertą. — Jack porzucił żartobliwy ton. — Neeve, zapisz sobie ten numer. To Cztery pory roku. W razie potrzeby będę tam przez najbliższych parę godzin.

— Właśnie zabieram się do kanapki z tuńczykiem. Przynieś mi resztki.

— Słuchaj, mówię poważnie. Neeve zniżyła głos.

— Jack, wszystko jest okay. I zostaw sobie trochę miejsca na obiad. Pewnie zadzwonię do ciebie między wpół do siódmej a siódmą.

Eugenia patrzyła krytycznie, jak szefowa odkłada słuchawkę.

— Pewnie ten wydawca? — Tak.

Neeve odpakowała kanapkę i właśnie ugryzła pierwszy kęs, kiedy telefon znowu zadzwonił. To był detektyw Gomez.

— Panno Kearny, oglądałem pośmiertne zdjęcia Ethel Lambston. Miała pani mocne przekonanie, że ubrano ją już po śmierci.

— Tak.

Neeve poczuła ściskanie w gardle i odsunęła kanapkę. Wiedziała, że Eugenia na nią patrzy; czuła, jak krew jej odpływa z policzków.

— Mając to na względzie, kazałem zrobić spore powiększenia. Jeszcze nie

zakończono testów i wiemy, że zwłoki były przenoszone, więc trudno uzyskać całkowitą pewność, ale proszę mi powiedzieć: Czy Ethel Lambston wy szłaby z domu z szerokim oczkiem w rajstopach?

Neeve przypomniała sobie, że zauważyła to oczko, kiedy oglądała ubranie Ethel.

— Nigdy.

— Tak myślałem — przyznał Gomez. — Autopsja odkryła nylonowe włókna

zaczepione o paznokieć dużego palca u nogi. Oczko poleciało podczas wkładania rajstop.

To znaczy, że jeśli Ethel Lambston sama się ubrała, wyszła w markowym modelowym

kostiumie i fatalnie podartych rajstopach. Chciałbym o tym porozmawiać w ciągu kilku najbliższych dni. Nigdzie pani nie wyjeżdża?

Odłożywszy słuchawkę Neeve pomyślała o tym, co powiedziała dzisiaj rano

Mylesowi. Jej zdaniem Seamus Lambston, całkowicie pozbawiony wyczucia stylu, nie

mógł tak ubrać krwawiącego ciała bylej żony. Powiedziała ojcu coś jeszcze. Gordon Steuber instynktownie wybrałby bluzkę pochodzącą z oryginalnego zestawu.

Recepcjonistka zabębniła szybko w drzwi i wpadła jak bomba do gabinetu.

— Neeve — szepnęła — przyszła pani Poth. I słyszałaś, że Gordon Steuber został aresztowany?

Jakimś cudem Neeve zdołała utrzymać na twarzy spokojny, uważny uśmiech, kiedy

pomagała zamożnej klientce wybrać trzy wieczorowe suknie od Adolfo, wahające się w cenie od czterech do sześciu tysięcy dolarów za sztukę; dwa kostiumy Donny Karan, jeden za tysiąc pięćset, drugi za dwa dwieście; pantofle, buciki i torebki. Pani Poth, olśniewająco szykowna dama po sześćdziesiątce, nie wykazała zainteresowania sztuczną biżuterią.

— Jest śliczna, ale wolę własne prawdziwe rzeczy — oznajmiła, w końcu jednak przyznała, że te są bardziej interesujące, i zgodziła się na wszystkie sugestie Neeve.

Odprowadziła panią Poth do limuzyny, zaparkowanej dokładnie przed wejściem do sklepu. Madison Avenue roiła się od kupujących i spacerowiczów. Zdawało się, że wszyscy rozkoszują się słoneczną pogodą, nie przejmując się wyjątkowym zimnem. Odwracając się od limuzyny, Neeve zauważyła mężczyznę w szarym dresie opartego o ścianę budynku po drugiej stronie ulicy. Przez chwilę miała niejasne wrażenie, że go poznaje, ale zlekceważyła to i pośpieszyła z powrotem do środka. W gabinecie nałożyła na wargi świeży błyszczczyk i sięgnęła po torebkę.

— Pilnuj interesu — powiedziała do Eugonii. — Już nie wrócę, więc pozamykaj.

Uśmiechając się swobodnie, zamieniła po drodze parę słów ze stałymi klientkami, nim dotarła do frontowych drzwi. Recepcjonistka już wezwała taksówkę. Neeve wsiadła

szybko, nie zauważając, że mężczyzna w szarym dresie i ze zwariowaną punkową fryzurą zatrzymał taksówkę po drugiej stronie ulicy.

W kółko i w kółko Doug odpowiadał na te same, tylko inaczej sformułowane pytania.

O której przyszedł do ciotki? Dlaczego postanowił wprowadzić się do jej mieszkania? Kto groził przez telefon Ethel, jeśli nie zdejmie z haka Seamusa? Dlaczego mieszkał u niej od piątku trzydziestego pierwszego, ale nie odbierał telefonów przez tydzień, a pierwszy odebrany okazał się telefonem z pogrózkami. Jak to możliwe?

Przypominano mu ciągle, że może wyjść w każdej chwili. Mógł wezwać adwokata; mógł nie odpowiadać na pytania. Powtarzał:

— Nie potrzebuję adwokata. Nie mam nic do ukrycia.

Wyjaśnił przesłuchującym, że nie odbierał telefonów z obawy, że Ethel zadzwoni i każe mu się wynosić.

— O ile mi wiadomo, zamierzała wyjechać na miesiąc. Potrzebowałem mieszkania.

Dlaczego podjął z banku czterysta dolarów w setkach, a potem schował je w

mieszkanu ciotki?

— Okay, więc pożyczyłem trochę kasy, którą Ethel trzymała w domu, a potem oddałem.

Powiedział, że nie znał ostatniej woli ciotki, ale wszędzie na testamencie odkryto jego odciski palców. Doug zaczął panikować.

— Po prostu pomyślałem, że może coś się stało. Zajrzałem do kalendarzyka Ethel i zobaczyłem, że skreśliła wszystkie swoje spotkania po tym piątku, kiedy umówiła się ze mną. To mnie pocieszyło. Ale sąsiadka powiedziała, że ten jej durnowaty były mąż pokłócił się z nią i przyszedł tu, kiedy byłem w pracy. Potem jego żona praktycznie włamała się i podarła czek z alimentami. Zacząłem myśleć, że coś jest nie tak.

— A potem — podjął detektyw O'Brien głosem ociekającym ironią postanowiłeś odbierać telefony i pierwszy okazał się pogróżką pod adresem pańskiej ciotki. A drugi był z biura prokuratora okręgowego w Rockland z wiadomością, że znaleziono zwłoki, tak?

Doug czuł, że spocił się pod pachami. Poruszył się niespokojnie, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję na drewnianym krześle z prostym oparciem. Z drugiej strony stołu obserwowali go dwaj detektywi: O'Brien z mięsistą twarzą o grubych rysach, Gomez z ciemnymi lśniąco-czarnymi włosami i wiewiórczą szczęką. Irlandczyk i Meks.

— Mam już tego dosyć — oświadczył Doug. Twarz O'Briena stwardniała.

— Więc spływasz stąd, Dougie. Ale zanim wyjdiesz, może nam odpowiesz na ostatnie pytanie. Dywanik przed biurkiem twojej ciotki był zachlapany krwią. Ktoś go bardzo dokładnie wyczyścił. Słuchaj, zanim przyjąłeś obecną posadę, czy nie pracowałeś u Searsa w dziale czyszczenia dywanów i wykładzin?

Panika wywołała odruchową reakcję Douga. Zerwał się i odepchnął krzesło tak gwałtownie, że upadło.

— Pieprzę was! — wypluł z siebie i pobiegł do drzwi pokoju przesłuchań.

* * *

Denny podjął wykalkulowane ryzyko i czekał z wezwaniem taksówki, dopóki Neeve

Kearny nie wsiadła do swojej. Wiedział, że taksiarze są wścibscy. Lepiej zatrzymać jednego i wydyszeć: „Jakiś świr ukradł mi rower. Jedź za tą taksówką, dobra? Oberwę po łbie, jeśli ta baba

nie dostanie swojej przekłętej koperty”.

Kierowca był Wietnamczykiem. Obojętnie kiwnął głową, wprawnie wepchnął się

przed nadjeżdżający autobus i zmieniwszy pas, pomknął po Madison Avenue, a potem w lewo Osiemdziesiątą Piątą. Denny skulił się w kącie z opuszczoną głową. Nie chciał, żeby kierowca zbyt wyraźnie go widział w lusterku wstecznym. Ale taksiarz nie zwracał na niego uwagi, zauważył tylko:

— Dupki. Kradliby pierdnięcia, gdyby mogli je sprzedać.

Żółtek zadziwiająco dobrze mówi po angielsku, pomyślał kwaśno Denny.

Na skrzyżowaniu Siódmej Alei i Trzydziestej Szóstej Ulicy wyprzedziła ich inna taksówka i nie zdążyli na światłach.

— Przepraszam — powiedział kierowca.

Denny przewidywał, że Neeve prawdopodobnie wysiadzie przy następnej przecznicy.

Jej taksówka też na pewno ugrzęzła w korku.

— Trudno, niech mnie zwolnią. Nie moja wina.

Zapłacił i powolnym krokiem ruszył w stronę śródmieścia. Kątem oka widział, jak

taksówka znowu ruszyła Siódmą Aleją. Denny szybko zmienił kierunek marszu i skręcił w Trzydziestą Szóstą Ulicę.

Jak zwykle przecznice z numerami powyżej trzydziestu pięciu odchodzące od Siódmej Alei wypełniała gorączkowa aktywność pracowników branży odzieżowej. Ogromne

ciężarówki, które właśnie rozładowywano, stały zaparkowane w podwójnych rzędach

wzdłuż krawężników, skutecznie ograniczając ruch na jezdni. Posłańcy na deskorolkach śmigali przez tłum pieszych; dostawcy popychali nieporęczne stojaki obwieszane

ubraniami, nie zważając na pojazdy ani na przechodniów. Trąbiły klaksony. Mężczyźni i kobiety w najmodniejszych strojach przechodzili szybkim krokiem i rozmawiali z

ożywieniem, całkowicie obojętni na otaczający ich tłum.

Idealne miejsce na robotę, pomyślał Denny z satysfakcją. Zobaczył taksówkę

podjeżdżającą do krawężnika przy następnej przecznicy i widział, jak Neeve Kearny wysiadła. Zanim zdążył do niej podejść, wbiegła pośpiesznie do budynku. Denny zajął

punkt obserwacyjny po drugiej stronie ulicy, zasłonięty przez jedną z gigantycznych ciężarówek.

— Jak będziesz wybierać te wymyślne ciuchy, przy okazji zamów dla siebie całun,

Neeve Kearny — mruknął pod nosem.

Trzydziestoletni Jim Greene niedawno otrzymał awans na detektywa. Przełożeni w departamencie policji docenili jego umiejętność szybkiej oceny sytuacji i instynktownego wyboru właściwej drogi postępowania.

Teraz wyznaczono mu nudne, lecz ważne zadanie pilnowania szpitalnego łóżka, na którym spoczywał tajny detektyw Tony Vitale. Niezbyt atrakcyjne zajęcie. Gdyby Tony leżał w separacie, Jim mógłby pełnić wartę przy drzwiach. Ale na oddziale intensywnej opieki musiał siedzieć w dyżurce pielęgniarek. Tutaj przez osiem godzin dziennie nieustannie przypominano mu o kruchości ludzkiego życia, kiedy monitory nagle ogłaszały alarm i personel szpitalny śpieszył odegnąć śmierć.

Jim był chudy i żylasty, ledwie przeciętnego wzrostu, dzięki czemu nie zawadzał zbyt w małym, ciasnym pomieszczeniu. Po czterech dniach pielęgniarki zaczęły go traktować jak całkiem przydatny mebel. I wszystkie otaczały specjalną troską młodego twardego policjanta, który walczył ze śmiercią.

Jim wiedział, ile trzeba odwagi, żeby zostać tajniakiem, siedzieć przy jednym stole z zimnokrwistymi mordercami, pamiętając, że w każdej chwili mogą cię zdemaskować. On też się martwił, że Nicky Sepetti kazał zabić Neeve Kearny; on również odetchnął z ulgą, kiedy Tony zdołał wyszeptać: „Nicky... nie ma kontraktu, Neeve Kearny...”.

Jim pełnił służbę, kiedy szef przyszedł do szpitala z Mylesem Kearnym, więc miał okazję uścisnąć rękę byłego komisarza policji. Legendy. Kearny zasłużył sobie na ten tytuł.

Po zamordowaniu żony na pewno cierpiał męczarnie strachu, czy Sepetti nie porwie się na jego córkę.

Komisarz powiedział, że matka Tony’ego uważa, iż syn próbuje im coś powiedzieć.

Pielęgniarki dostały polecenie, żeby wezwać Jima o każdej porze dnia i nocy, gdy tylko Tony zacznie mówić.

To nastąpiło w poniedziałek o czwartej po południu. Rodzice Tony’ego właśnie wyszli, wyczerpani, ale ożywieni nadzieją. Jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, zagrożenie minęło. Pielęgniarka poszła zajrzeć do pacjenta. Jim patrzył przez szybę i poderwał się szybko, kiedy wezwała go gestem.

Glukoza sączyła się do żyły w ramieniu Tony’ego, tlen podawano przez rurki

przyklepione plastrem do nozdrzy. Wargi leżącego się poruszały. Wyszepiał jakieś słowo.

— On mówi własne nazwisko — powiedziała pielęgniarka do Jima. Jim pokręcił głową. Schylił się i przyłożył ucho do warg Tony’ego. Usłyszał:

— Kearny. — Potem bardzo słabe: — Nee...

Dotknął ręki Vitalego.

— Tony, jestem gliniarzem. Właśnie powiedziałeś: „Neeve Kearny”, prawda? Ściśnij mnie za rękę, jeśli mam rację.

Nagrodziło go słabiutkie dotknięcie.

— Tony — ciągnął — kiedy cię tutaj przywieziono, próbowałeś nam powiedzieć o kontrakcie. Czy to chcesz mi powiedzieć?

— Męczy pan pacjenta — zaprotestowała pielęgniarka. Jim rzucił jej przelotne spojrzenie.

— On jest gliną, dobrym gliną. Lepiej się poczuje, jeśli nam przekaże to, co ma do powiedzenia.

Powtórzył pytanie do ucha leżącego i znowu poczuł leciutkie uciśnięcie dłoni.

— No dobrze. Chcesz nam coś powiedzieć o Neeve Kearny i kontrakcie. — Jim

pośpiesznie analizował w myślach słowa, które wykrztusił Vitale, kiedy go przyjęto na oddział. — Tony, wcześniej mówiłeś: „Nicky nie ma kontraktu”. Może chciałeś przekazać coś więcej? — Nagle pewna myśl przejęła Jima chłodem. — Tony, czy próbowałeś nam

powiedzieć, że to nie Sepetti zlecił zabójstwo Neeve Kearny, tylko ktoś inny?

Upłynęła chwila, a potem Tony konwulsyjnie ścisnął jego dłoń.

— Tony — poprosił Jim — spróbuj. Obserwuję twoje usta. Jeśli wiesz, kto zlecił kontrakt, powiedz mi.

Zupełnie jakby pytania tego drugiego gliniarza rozbrzmiewały echem w tunelu. Tony Vitale poczuł ogromną, obezwładniającą ulgę, że zdołał przekazać przynajmniej takie ostrzeżenie. Teraz widział w myślach wyraźny obraz: Joey mówi Nicky’emu, że Steuber zlecił tę robotę. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, ale mógł powoli poruszyć wargami, wysunąć je przy formowaniu sylaby „Stu” i rozluźnić przy dźwięku „ber”.

Jim obserwował uważnie.

— On chyba próbuje powiedzieć: „Tru...”.

Pielęgniarka wtrąciła:

— Dla mnie jest to raczej: „Stuber”.

Tajny detektyw Anthony Vitale resztką sił uściśnął dłoń Jima i kiwnął głową, zanim zapadł w głęboki, uzdrawiający sen.

Po wyjściu Douga Browna z pokoju przesłuchań detektywi O'Brien i Gomez omówili

znane jak dotąd fakty dotyczące tej sprawy. Obaj zgodzili się, że Doug Brown to gnojek; a jego historyjka została wyssana z palca; że prawdopodobnie stale okradał swoją ciotkę; że jego naciągane tłumaczenie, dlaczego nie odbierał telefonów, to ordynarne kłamstwo; i widocznie wpadł w panikę, skoro wymyślił owe telefony z pogroźkami do Ethel, gdy tylko znaleziono jej ciało.

O'Brien odchylił się do tyłu w krześle i spróbował oprzeć nogi na stole w „myślącej”

pozycji, jaką zwykle zajmował przy własnym biurku. Stół był za wysoki, żeby usiąść wygodnie, więc rozłuszczony detektyw opuścił stopy na podłogę, burknął coś o nędznych gratach i dodał:

— Ta Ethel Lambston świetnie znała się na ludziach. Jej były mąż to dupek, a bratanek to złodziej. Ale z tych dwóch drani stawiam na byłego męża, że ją sprzątnął.

Gomez uważnie obserwował swojego partnera. Miał pewne własne koncepcje, które

chciał objawić stopniowo. Zaczął mówić takim tonem, jakby właśnie coś mu przyszło do głowy:

— Załóżmy, że zamordowano ją w domu.

O'Brien chrząknął twierdząco.

— Jeśli ty i panna Kearny macie rację — ciągnął Gomez — ktoś przebrał Ethel,

oderwał metki, i pewnie wyrzucił jej walizki i torebkę.

Na wpół przymknięte, lecz skupione oczy O'Briena wyraziły zgodę.

— Chodzi o to. — Gomez wiedział, że nadeszła pora, by rozwinąć swoją teorię. — Po co Seamus miałby ukrywać jej zwłoki? Tylko przez przypadek tak szybko ją znaleźli.

Musiałby dalej wysyłać alimenty księgowemu. Albo dlaczego bratanek miałby ukryć ciało i odrywać metki? Gdyby Ethel spokojnie tam gniła, musiałby czekać siedem lat, żeby dorwać się do jej kasy, a nawet wtedy musiałby sporo wydać na prawników. Jeśli któryś z nich to zrobił, chciałby raczej, żeby odkryto zwłoki, prawda?

O'Brien podniósł rękę.

— Te bydlaki nie mają za wiele rozumu. Po prostu przyciśniemy obu, żeby im nerwy puściły, i prędzej czy później jeden z nich powie: „Nie chciałem tego zrobić”. Dalej stawiam na męża. Pięć dolców, wybierasz bratanka?

Przed zakładem uratował Gomeza dzwonek telefonu w pokoju przesłuchań. Komisarz policji chciał natychmiast widzieć obu detektywów w swoim biurze.

Jadąc do śródmieścia policyjnym samochodem, O'Brien i Gomez próbowali ocenić własne postępy w śledztwie. Komisarz zajmował się tą sprawą osobiście. Czyżby dali plamę? Kwadrans po czwartej weszli do jego gabinetu.

Komisarz policji Herbert Schwartz słuchał przeciągającej się dyskusji. Detektyw O'Brien stanowczo sprzeciwiał się nawet ograniczonemu immunitetowi dla Seamusa Lambstona.

— Panie komisarzu — powiedział z szacunkiem do Herba — przez cały czas jestem pewien, że były mąż to zrobił. Wstrzymajcie się, dajcie mi trzy dni na rozwiązanie sprawy.

Herb chciał już podjąć decyzję na korzyść O'Briena, kiedy w drzwiach stanęła sekretarka. Pośpiesznie przeprosił detektywów i wyszedł do sekretariatu. Wrócił po pięciu minutach.

— Właśnie się dowiedziałem — powiedział cicho — że Gordon Steuber mógł zlecić kontrakt na zabicie Neeve Kearny. Przesłuchamy go natychmiast. Neeve doniosła na jego nielegalne wytwórnice i zapoczątkowała śledztwo, które doprowadziło do wykrycia narkotyków, więc to ma sens. Ale Ethel Lambston też mogła wywęszyć jego narkotykowy interes. Więc mamy cholernie duże szansę, że Steuber był zamieszany w zabójstwo Ethel Lambston. Chcę definitywnie przygwoździć albo wyeliminować byłego męża. Powiedzcie temu prawnikowi, że umowa stoi. I jeszcze dzisiaj zróbcie test na poligrafie.

— Ale... — O'Brien zobaczył minę komisarza i nie dokończył zdania.

Godzinę później w dwóch oddzielnych pokojach przesłuchiowano Gordona Steubera, który jeszcze nie wniósł dziesięciu milionów dolarów kaucji, oraz Seamusa Lambstona.

Adwokat Steubera stał za swym klientem przez cały czas, kiedy detektyw O'Brien zadawał

pytania.

— Czy wiadomo panu o kontrakcie na zamordowanie Neeve Kearny? Gordon Steuber, nieskazitelny pomimo godzin spędzonych w areszcie, spokojnie oceniający swoją sytuację, wybuchnął śmiechem.

— Chyba pan żartuje. Ale to świetny pomysł.

W pokoju obok Seamus, z ograniczonym immunitetem, opowiedział swoją historię i po raz drugi tego dnia został podłączony do poligrafu. Wciąż powtarzał sobie, że to jest to samo, że już raz przez to przeszedł. Ale nie było tak samo. Twarde, nieżyczliwe twarze detektywów, klaustrofobiczna ciasnota pomieszczenia, świadomość, że oni są przekonani o jego winie — przerażały go. Nie pomogły dodające otuchy komentarze Kennedy'ego.

Seamus wiedział, że popełnił błąd, zgadzając się na test.

Z trudem odpowiadał nawet na początkowe proste pytania. Kiedy doszedł do ostatniego spotkania z Ethel, wszystko powróciło, jakby znowu stał przed nią, patrzył na jej szyderczą minę i wiedział, że cieszyła się z jego nieszczęścia i nigdy mu nie odpuści.

Wściekłość wezbrała w nim tak samo jak tamtego wieczoru. Pytania zbliżały się do punktu kulminacyjnego.

— Uderzył pan Ethel Lambston.

Jego pięść trafiają w szczękę. Głowa Ethel odskakuje do tyłu.

— Tak. Tak.

— Ona podniosła nóż do otwierania listów i zaatakowała pana. Nienawiść w jej twarzy. Nie. To była pogarda. Wiedziała, że trzyma go w garści. Wrzasnęła: „Każę cię aresztować, ty bydlaku!”, sięgnęła po nóż do otwierania listów i pchnęła go. Seamus wykręcił rękę Ethel i skaleczył ją w twarz, kiedy się szamotali. Potem zobaczyła wyraz jego oczu i powiedziała: „No dobrze, dobrze, koniec z alimentami”. Potem...

— Czy zabił pan swoją byłą żonę, Ethel Lambston?

Seamus zamknął oczy.

— Nie. Nie...

Peter Kennedy nie potrzebował potwierdzenia od detektywa O'Briena, bo sam odgadł

wynik. Zaryzykował i przegrał.

Seamus nie przeszedł pomyślnie testu na wykrywaczu kłamstw.

Herb Schwartz słuchał z nieprzeniknioną twarzą i czujnym spojrzeniem, kiedy po raz drugi tego dnia naradzali się z detektywami O'Brienem i Gomezem.

Przez ostatnią godzinę komisarz przeżywał rozterkę, czy powinien zawiadomić Mylesa o podejrzeniach, że Gordon Steuber zlecił kontrakt na Neeve. Wiedział, że to mogło wywołać kolejny atak serca.

Jeżeli Steuber zlecił zabójstwo Neeve, czy można to jakoś powstrzymać? Herb poczuł

ściskanie w żołądku, kiedy uświadomił sobie prawdopodobną odpowiedź. Nie. Jeżeli

Steuber uruchomił mechanizm, zlecenie przeszło przez pięciu czy sześciu bandytów, zanim zawarto umowę. Zabójca na pewno nie wiedział, kto nadał robotę. Równie dobrze mogli ściągnąć jakiegoś bandziora spoza miasta, który wyjedzie natychmiast po egzekucji.

Neeve Kearny. Boże, pomyślał Herb, nie mogę do tego dopuścić. Był

trzydziestoczteroletnim zastępcą komisarza, kiedy zamordowano Renatę. Do samej śmierci nie zapomni wyrazu twarzy Mylesa, klęczącego przy zwłokach żony.

A teraz córka?

Linia przesłuchania, która mogła połączyć Steubera ze śmiercią Ethel Lambston,

straciła obecnie znaczenie. Seamus Lambston nie zdał testu na wykrywaczu kłamstw i O'Brien nie ukrywał, że jego zdaniem ten facet poderznął gardło byłej żonie. Herb polecił, żeby detektyw jeszcze raz przedstawił swoje argumenty.

To był długi dzień. O'Brien z irytacją wzruszył ramionami, ale pod lodowatym

wzrokiem komisarza przybrał postawę pełną szacunku. Dokładnie i szczegółowo, jak

świadek na sali sądowej, wyliczył mocne poszlaki przeciwko Seamusowi Lambstonowi.

— Facet jest załamany. Zdesperowany. Okropnie pokłócił się z żoną o

zakwestionowany czek na chesne. Idzie na spotkanie z Ethel i sąsiadka trzy piętra wyżej słyszy ich kłótnię. Nie przychodzi do baru przez cały weekend. Nikt go nie widział. Zna park jak własną kieszeń, dawniej spędzał tam z dziećmi niedziele. Kilka dni później podrzuca do Ethel list z podziękowaniem za zwolnienie z płatności i dołącza czek, którego nie zamierzał wysyłać. Wraca po czek. Przyznaje, że uderzył i skaleczył Ethel.

Prawdopodobnie wyznał wszystko żonie, ponieważ ukradła narzędzie zbrodni i pozbyła się go.

— Znaleźliście je? — przerwał Schwartz.

— Nasi chłopcy właśnie go szukają. I na koniec najważniejsze, panie komisarzu: nie przeszedł testu na poligrafie.

— Ale zdał test w biurze prawnika — wtrącił Gomez. Nie patrząc na partnera, zdecydował, że musi powiedzieć, co myśli. — Panie komisarzu, rozmawiałem z panną Kearny. Ona jest pewna, że coś nie pasuje w ubraniu, które miała na sobie Ethel Lambston.

Autopsja wykazała, że rajstopy zostały podarte przy nakładaniu. Kiedy ofiara naciągała nogawkę na prawą stopę, zaczepiła paznokciem i poleciało wielkie oczko dokładnie z przodu. Panna Kearny uważa, że Ethel Lambston nigdy nie wyszłaby z domu w takim

stanie. Szanuję opinię panny Kearny. Elegancko ubrana kobieta nie wyszłaby z domu w podartych rajstopach, skoro w dziesięć sekund mogła założyć nowe.

— Czy otrzymał pan raport z autopsji i zdjęcia z kostnicy? — zapytał Herb.

— Tak, panie komisarzu.

Po wyjęciu zdjęć z koperty Herb przestudiował detale z kliniczną bezstronnością.

Pierwsze zdjęcie, ręka wystająca z ziemi; zwłoki po wydobyciu z głębokiej szczeliny, zesztyniałe w stężeniu pośmiertnym jak zwinięta kula gnijącego mięsa. Zbliżenie szczęki Ethel, czarno-sinopurpurowej. Krwawe rozcięcie na jej policzku.

Komisarz wziął do ręki następną odbitkę. Pokazywała tylko miejsce pomiędzy podbródkiem Ethel a nasadą szyi. Zamrugął na widok brzydkiej, poszarpanej rany.

Nieważne, ile lat przepracował w policji, okropne świadectwa okrucieństwa człowieka wobec drugiego człowieka zawsze go przygnębiały.

Ale było coś jeszcze.

Herb konwulsyjnie ścisnął odbitkę. Sposób poderżnięcia gardła. Długie cięcie w dół, a potem precyzyjna linia od nasady szyi w górę do lewego ucha. Raz już widział dokładnie takie same rany. Sięgnął po słuchawkę telefonu.

Fala szoku nie wpłynęła na tembr głosu komisarza Schwartz, kiedy spokojnie poprosił o pewną określoną teczkę z archiwów.

Neeve szybko uznała, że zupełnie nie ma głowy do zamawiania sportowych ubiorów.

Najpierw wstąpiła do Gardner Separates. Szorty i podkoszulki z kontrastującymi luźnymi zakietami były zabawne i dobrze skrojone. Wyobrażała sobie, jak pokaże w plażowej scenerii te stroje we frontowym oknie wystawowym sklepu na początku czerwca. Ale

podjąwszy decyzje, nie potrafiła się skupić na reszcie kolekcji. Pod pretekstem, że brakuje jej czasu, umówiła się na przyszły poniedziałek i uciekła od nadgorliwego ekspedienta, który koniecznie chciał pokazać jej „nowy kostium kąpielowy, taki świetny, że zwali panią z nóg”.

Na ulicy Neeve się zawahała. Najbardziej chciałabym wrócić zaraz do domu,

pomyślała. Potrzebowała trochę spokoju. Czuła już początki migreny, lekki ucisk jak taśma opasująca czoło. Przecież nigdy nie boli mnie głowa, powiedziała sobie, stojąc

niezdecydowanie przed frontem budynku.

Nie mogła wrócić do domu. Wsiadając do limuzyny, pani Poth poprosiła Neeve, żeby

znalazła jakąś prostą białą suknię, odpowiednią na skromne rodzinne wesele. „Nic zbyt wyszukanego, tłumaczyła klientka. Moja córka już dwukrotnie zerwała zaręczyny. Pastor wpisuje jej daty ślubów ołówkiem. Ale tym razem może się uda”.

Neeve wytypowała kilka domów mody, w których zamierzała szukać odpowiedniej

sukni. Skręciła w prawo, a potem przystanęła. Chyba lepiej zacząć w tym drugim miejscu.

Odwracając się, spojrzała prosto na drugą stronę ulicy. Mężczyzna w szarym dresie, z dużą kopertą pod pachą, w wielkich ciemnych okularach i z dziwną punkową fryzurą śpieszył

w jej stronę, lawirując wśród samochodów unieruchomionych na jezdni. Na ułamek

sekundy ich oczy się spotkały. W głowie Neeve zabrzączał alarm, wzmogło się wrażenie ucisku na czoło. Przejechała ciężarówka i zasłoniła posłańca. Neeve, nagle zła na siebie, ruszyła szybkim krokiem.

Dochodziło wpół do piątej. Budynki i ludzie rzucali długie, ukośne cienie. Neeve

niemal się modliła, żeby znaleźć suknię już w pierwszym sklepie. Potem jednak pomyślała: Lepiej zamiast tego odwiedzę Sala.

Nie próbowała już tłumaczyć Mylesowi, jak ważna jest bluzka, którą Ethel miała na sobie po śmierci. Ale Sal to zrozumie.

Jack Campbell poszedł z lunchu prosto na spotkanie redakcyjne. Przeciągnęło się do czwartej trzydzieści. Po powrocie do biura próbował przejrzeć górę korespondencji, którą Ginny dla niego posegregowała, ale nie mógł się skupić. Dręczyło go okropne przecucie, że stało się coś złego. Coś

przeoczył. Co?

Asystentka stanęła w drzwiach dzielących gabinet od klitki, gdzie pracowała,

przyglądając się z namysłem szefowi. W ciągu miesiąca, odkąd Jack objął prezesurę u Givvonsa i Marksa, zaskarbił sobie jej szacunek i ogromną sympatię. Po dwudziestu latach pracy dla jego poprzednika obawiała się, że nie potrafi przystosować się do zmiany albo że młody prezes nie zechce jej zatrzymać.

Oba zmartwienia okazały się bezpodstawne. Teraz, kiedy na niego patrzyła,

nieświadomie aprobując niedbałą elegancję ciemnoszarego garnituru, ubawiona chłopięcym gestem, jakim rozluźnił krawat i rozpiął górny guzik koszuli — zorientowała się, że coś go poważnie martwi. Splótł ręce pod brodą i wpatrywał się w ścianę, marszcząc brwi. Czy spotkanie redakcyjne dobrze się zakończyło? Wiedziała, że niektórzy z pracowników wciąż czuli się pokrzywdzeni, ponieważ to Campbell otrzymał najwyższe stanowisko.

Zapukała w otwarte drzwi. Jack podniósł wzrok i skupił na niej spojrzenie.

— Uprawiasz medytację? — zagadnęła swobodnie. — Jeśli tak, poczta może zaczekać.

Zdobył się na uśmiech.

— Nie. Chodzi o tę sprawę z Ethel Lambston. Czegoś mi tam brakuje i właśnie łamałem sobie nad tym głowę.

Ginny usiadła na brzeжку krzesła naprzeciwko Jacka.

— Może ci pomogę. Przypomnij sobie ten dzień, kiedy Ethel tu przyszła. Spędziłaś z nią tylko dwie minuty i drzwi były otwarte, więc was słyszałam. Trajkotała o skandalu w modzie, ale nie podała absolutnie żadnych konkretów. Zażądała wielkich pieniędzy, a ty rzuciłaś jakąś liczbę. Myślę, że nic nie przeoczyłaś.

Jack westchnął.

— Chyba nie. Ale coś ci powiem. Przejrzę teczkę, którą przysłała Toni. Może coś znajdę w notatkach Ethel.

O piątej trzydzieści, kiedy Ginny zajrzała, aby się pożegnać, Jack z roztargnieniem kiwnął głową. Wciąż ślęczał nad obszernymi materiałami Ethel. Dla każdego projektanta wymienionego w artykule najwyraźniej założyła oddzielną teczkę, zawierającą informacje biograficzne oraz dziesiątki skserowanych rubryk mody z różnych gazet i czasopism, jak

„Times”, „W”, „Women’s Wear Daily”, „Vogue” i „Harper’s Bazaar”.

Rzeczywiście przeprowadziła skrupulatne badania. Wywiady z projektantami często

zawierały uwagi: „Co innego powiedziała w «Vogue», „sprawdzić te liczby”, „nigdy nie zdobył tej nagrody”, „zapytać guwernantkę, czy to prawda, że szyła ubranka dla swoich lalek”...

Było tam też z tuzin różnych szkiców artykułu, każda wersja z poprawkami i

wstawkami.

Jack zaczął pobieżnie przeglądać materiały, dopóki nie dostrzegł nazwiska: „Gordon Steuber”. Steuber. Pisarka miała na sobie kostium jego projektu, kiedy ją znaleziono. Neeve tak się upierała, że bluzka zdjęta ze zwłok została sprzedana razem z kostiumem, ale sama Ethel nigdy by jej nie włożyła.

Jack drobiazgowo przeanalizował materiały na temat Gordona Steubera i zaniepokoił

go fakt, że tak często wymieniano nazwisko projektanta w wycinkach gazetowych z

ostatnich trzech miesięcy. Omawiano dokładnie prowadzone przeciwko niemu śledztwo. W

artykule Ethel przyznawała całą zasługę Neeve, która pierwsza wskazała palcem na

Steubera. Przedostatni szkic nie tylko opisywał wykrycie nielegalnych wytwórni i

machlojki z podatkiem dochodowym, ale zawierał zdanie: „Steuber zaczynał w firmie ojca, gdzie szył podszewki do futer. Podobno nikt inny w historii branży odzieżowej nie zarobił

więcej na podszewkach i obrąbkach przez ostatnie lata niż wytwórny pan Steuber”.

Ethel wzięła w nawias to zdanie i zaznaczyła: „zostawić”. Ginny powiedziała Jackowi o aresztowaniu projektanta po akcji policji. Czyżby Ethel kilka tygodni wcześniej odkryła, że Steuber szmugluje heroinę w podszewkach i szwach swoich importowanych ubrań?

Pasuje, pomyślał Jack. Pasuje do teorii Neeve o ubraniu, które miała na sobie Ethel.

Pasuje do zapowiadanego „wielkiego skandalu”.

Rozważył pomysł, żeby zadzwonić do Mylesa, ale postanowił najpierw pokazać

materiały Neeve.

Neeve. Czy to możliwe, że znał ją zaledwie od sześciu dni? Nie. Od sześciu lat. Szukał

jej od tamtego dnia w samolocie. Spojrzał na telefon. Tak bardzo pragnął z nią być. Nigdy nawet nie trzymał jej w ramionach, a teraz jego ciało tęskniło za nią aż do bólu.

Powiedziała, że zadzwoni do niego od wujka Sala, kiedy będzie gotowa do wyjścia.

Sal. Anthony della Salva, słynny projektant. Następna sterta wycinków prasowych, szkiców i artykułów o modzie dotyczyła właśnie jego. Zerkając na telefon i marząc, żeby Neeve zadzwoniła teraz, Jack zaczął przeglądać teczkę Anthony'ego della Salvy, grubą od zdjęć kolekcji rafy koralowej. Rozumiem, dlaczego ludzie na to polecieli, pomyślał Jack, chociaż znał się na modzie jak kura na pieprzu. Suknie i sukienki zdawały się ulatywać z fotografii. Przerzucił kwieciste opisy reporterów. „Wąskie tuniki z powiewnymi

wstawkami, które spływają z ramion jak skrzydła.....miękkie plisowane rękawy na szyfonie cieniutkim jak pajęczyna.....proste wełniane popołudniowe sukienki, udrapowane na cieple z niewymowną elegancją...”. Reporterzy rozplýwali się w lirycznych wręcz pochwałach kolorów.

Anthony della Salva odwiedził Akwarium w Chicago na początku 1972 roku i znalazł tam inspirację w pięknie wspaniałej wystawy rafy koralowej.

Całymi godzinami krążył po salach i szkicował podwodne królestwo, gdzie olśniewająca uroda morskich stworzeń rywalizuje z cudownymi roślinami, malowniczymi kępami drzew koralowych i niezliczonymi muszlami o subtelnych barwach. Odtwarzał te barwy we wzorach i deseniach wykreowanych przez samą naturę. Studiował ruchy

mieszkańców oceanu, by później igłą i nożycami w tkaninie i kroju uchwycić ich wrodzony wdzięk.

Panie, schowajcie swoje męskie garnitury oraz suknie wieczorowe z marszczonymi rękawami i szerokimi spódnicami na samo dno szafy. W tym roku będziecie piękne.

Dziękujemy ci, Anthony della Salvo.

Pewnie rzeczywiście jest dobry, pomyślał Jack i chciał już odłożyć teczkę della Salvy, ale coś go zaniepokoiło. Coś umknęło jego uwadze. Co? Wcześniej przeczytał końcowy szkic artykułu Ethel. Teraz zajrzał do przedostatniej wersji, gęsto zabazgranej notatkami.

Znalazł. „Akwarium w Chicago — sprawdzić datę jego przyjścia!” Ethel przypięła jeden z rysunków modeli z kolekcji rafy koralowej na wierzchu rękopisu. Obok umieściła szkic.

Jackowi zaschło w ustach. Widział ten szkic całkiem niedawno. Widział go na poplamionych stronicach książki kucharskiej Renaty Kearny!

No i Akwarium. „Sprawdzić datę!” Oczywiście! Z narastającą zgrozą zaczynał rozumieć. Musiał zdobyć pewność. Dochodziła szósta. To znaczy, że w Chicago jest piąta.

Pośpiesznie wystukał numer kierunkowy chicagowskiej informacji.

Za minutę piąta chicagowskiego czasu zgłosił się abonent.

— Proszę zadzwonić rano do dyrektora — rzucił zniecierpliwiony głos.

— Niech mu pani poda moje nazwisko, on mnie zna. Muszę rozmawiać z dyrektorem

natychmiast i ostrzegam, młoda damo, jeśli się dowiem, że był, a pani mnie nie połączyła, wyleci pani z pracy.

— Łączę pana.

Po chwili zdumiony głos zapytał:

— Jack, co się stało?

Campbell wybełkotał swoje pytanie. Czuł, że ma spocone dłonie. Neeve, myślał,

Neeve, bądź ostrożna. Spojrzał na artykuł Ethel i zauważył, że w zdaniu: „Oddajemy cześć Anthony’emu della Salvie za stworzenie linii rafy koralowej” przekreśliła nazwisko projektanta i dopisała na górze: „twórcy motywu rafy koralowej”.

Odpowiedź dyrektora Akwarium była jeszcze gorsza, niż się spodziewał.

— Masz absolutną rację. I wiesz co? Już jedna osoba dzwoniła w tej samej sprawie jakieś dwa tygodnie temu.

— Wiesz, kto to był? — zapytał Jack, z góry znając odpowiedź.

— Jasne, że wiem. Jakaś pisarka. Edith... Nie, Ethel. Ethel Lambston.

Myles miał niespodziewanie pracowity dzień. O dziesiątej zadzwonił telefon. Czy

mogliby się spotkać o dwunastej, żeby omówić warunki pracy w Waszyngtonie? Umówił

się na lunch w Sali Dębowej hotelu Plaża. Późnym rankiem poszedł do klubu sportowego na pływanie i masaż. Ze skrywaną radością wysłuchał potwierdzenia masażysty:

„Komisarzu Kearny, znowu jest pan w świetnej formie”.

Myles wiedział, że jego skóra straciła niedawną upiorną bladość, ale nie chodziło tylko o wygląd. Czuł się szczęśliwy.

Chociaż mam sześćdziesiąt osiem lat, myślał, zawiązując krawat w szatni, lecz

wyglądam dobrze. Wyglądam dobrze we własnych oczach, poprawił się ze skruchą,

czekając na windę. Kobieta może widzieć mnie inaczej. Albo bardziej konkretnie, przyznał,

wychodząc z westybulu na Central Park South, gdzie skręcił w stronę Piątej Alei i hotelu Plaża, Kitty Conway może mnie postrzegać w mniej pochlebnym świetle.

Lunch z doradcą prezydenta miał jeden cel. Myles musi dać odpowiedź. Czy obejmie kierownictwo Agencji do Zwalczania Narkotyków? Myles obiecał, że podejmie decyzję w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

— Mamy nadzieję, że pozytywną — powiedział mu doradca. — Senator Moynihan w to wierzy.

Myles się uśmiechnął.

— Nigdy nie sprzeczam się z Patem Moynihanem.

Dopiero kiedy wrócił do domu, dobre samopoczucie pierzchło. Zostawił otwarte okno w gabinecie i kiedy wszedł do pokoju, gołąb wleciał przez okno, zatoczył krąg, przysiadł na parapecie, a potem wyfrunął nad rzekę Hudson. „Gołąb w domu to znak śmierci” — słowa matki zahuczały mu w uszach.

Głupie, zwariowane przesady, pomyślał gniewnie Myles, ale nie potrafił stłumić uporczywych złych przeczuć. Uznał, że musi porozmawiać z Neeve. Szybko zadzwonił do sklepu.

Odebrała Eugenia.

— Komisarzu, właśnie wyszła na Siódmą Aleję. Spróbuję ją złapać.

— Nie, nie trzeba — odrzekł. — Ale jeśli przypadkiem się odezwie, proszę jej przekazać, żeby do mnie zadzwoniła.

Właśnie odłożył słuchawkę, kiedy telefon znowu zaterkotał. Dzwonił Sal i potwierdził, że też martwi się o Neeve.

Przez następne pół godziny Myles zastanawiał się, czy zadzwonić do Herba

Schwartz. Ale po co? Nie chodziło o to, że Neeve będzie świadczyć przeciwko Gordonowi Steuberowi. Rzecz w tym, że to ona pokazała go palcem i zapoczątkowała całe śledztwo.

Myles przyznawał, że konfiskata narkotyków za sto milionów dolarów to wystarczający powód do zemsty dla Steubera i jego bandy.

Spróbuję namówić Neeve, żeby przeniosła się razem ze mną do Waszyngtonu,

pomyślał, ale natychmiast odrzucił ten niedorzeczny pomysł. Córka miała swoje życie w Nowym Jorku i swój sklep. Teraz na dodatek, jeśli trafnie oceniał ludzkie zachowanie, miała też Jacka

Campbella. Więc zapomnijmy o Waszyngtonie, zdecydował, krążąc po

gabinecie. Zostanę tutaj, żeby jej pilnować. Czy jej się to spodoba, czy nie, wynajmę dla niej ochroniarza.

Spodziewał się Kitty Conway około szóstej. Piętnaście po piątej poszedł do sypialni, rozebrał się, wziął prysznic w przyległej łazience i starannie wybrał garnitur, koszulę i krawat, które zamierzał włożyć na spotkanie. Za dwadzieścia szósta był całkiem ubrany.

Dawno temu odkrył, że prace manualne działają uspokajająco, kiedy dręczy go jakiś poważny problem. Postanowił, że przez następne dwadzieścia minut spróbuje naprawić odłamany tamtego wieczoru uchwyt ekspresu do kawy.

Ponownie uświadomił sobie, że spogląda w lustro z ostrożną aprobatą. Włosy miał teraz całkiem siwe, ale wciąż gęste. W jego rodzinie nie było tonsurek na czubku głowy.

Zresztą co za różnica? Dlaczego ładna kobieta, młodsza o dziesięć lat, miałaby się zainteresować byłym komisarzem policji ze słabym sercem?

Myles odepchnął od siebie te myśli i rozejrzał się po sypialni. Łóżko z czterema słupkami, szafa, komoda, lustro, wszystko antyki, ślubne prezenty od rodziny Renaty.

Popatrzył na łóżko i wspomniął żonę opartą na poduszkach, trzymającą przy piersi maleńką Neeve. Cara, cara, tnia cara, szeptała, muskając wargami czółko dziecka.

Chwycił za poręcz łóżka, ponownie słysząc pełne niepokoju ostrzeżenie Sala: „Pilnuj Neeve”. Boże w niebiosach! Nicky Sepetti powiedział wtedy: „Pilnuj żony i dziecka”.

Dosyć, powiedział sobie Myles. Wyszedł z sypialni i ruszył do kuchni. Zamieniam się w nerwową starą babę, która wrzeszczy na widok myszy.

W kuchni szperał wśród garnków i patelni, aż wyciągnął pojemnik od ekspresu do kawy, którym poparzył się Sal w czwartkowy wieczór. Zaniósł go do gabinetu, wyjął skrzynkę z narzędziami z szafki i zasiadł do pracy jako „majster-klepka”, według określenia Neeve.

Po chwili odkrył, że uchwyt odpadł nie z powodu pękniętej czy też obluzowanej śruby, a potem powiedział na głos:

— To absolutna bzdura!

Spróbował przypomnieć sobie dokładnie, co się wydarzyło tamtego wieczoru, kiedy

Sal się poparzył...

W poniedziałek rano Kitty Conway zbudziła się w nastroju oczekiwania, jakiego nie odczuwała od dawna. Dzielnie oparła się pokusie dalszej drzemki, przebrała się w dres i od siódmej do ósmej biegała po Ridgewood.

Drzewa przy pięknych szerokich alejach otaczała czerwona mgiełka, zapowiadająca nadejście wiosny. Jeszcze w zeszłym tygodniu, kiedy tu biegała, dostrzegła pączki na gałęziach, pomyślała o Mike'u i przypomniała sobie fragment wiersza: „Co robi wiosna? /

Tylko odnawia / Miłość ku tobie”.

W zeszłym tygodniu patrzyła z nostalgią na młodego sąsiada, który machał na

pożegnanie żonie i maleństwu, wycofując samochód z podjazdu. Wydawało jej się, że dopiero wczoraj trzymała Michaela na rękach, machając tak do Mike'a.

Wczoraj i trzydzieści lat temu.

Dzisiaj obdarzyła sąsiadów zdawkowym uśmiechem, wchodząc do domu. Zaczynała

pracę w muzeum o dwunastej. O czwartej wróci do domu, akurat na czas, żeby się przebrać i dojechać do Nowego Jorku. Zastanowiła się nad wizytą u fryzjera i zdecydowała, że lepiej uczesze się sama.

Myles Kearny.

Kitty wygrzebała z kieszeni klucz, otworzyła drzwi, weszła i odetchnęła głęboko.

Dobrze jest pobiegać, ale Boże drogi, dopiero teraz poczuła na karku swoje pięćdziesiąt osiem lat.

Impulsywnie otworzyła szafę w holu i spojrzała na nakrycie głowy, którego

„zapomniał” Myles Kearny. Jak tylko znalazła kapelusz wczoraj wieczorem, od razu

wiedziała, że miał posłużyć za pretekst do ponownego spotkania. Przypomniał jej się rozdział z „Pawilonu kobiet”, gdzie mąż zostawia fajkę jako znak, że nocą zamierza wrócić do pokoju żony. Kitty uśmiechnęła się, zasalutowała kapeluszowi i poszła na górę wziąć prysznic.

Dzień minął szybko. O wpół do piątej zastanawiała się, który z dwóch strojów wybrać: prosto skrojoną czarną wełnianą sukienkę z dekoltem w karo, podkreślającą smukłość figury, czy dwuczęściowy niebiesko-zielony wzorzysty komplet, pasujący do jej rudych włosów. Śmiało, pomyślała i sięgnęła po komplet.

Pięć po szóstej portier zapowiedział jej przybycie i podał numer mieszkania Kearnych.

Siedem po szóstej wysiadła z windy, a Myles czekał w holu.

Natychmiast zauważyła, że coś się stało. Przywitał ją niemal zdawkowo. A jednak

instynktownie wiedziała, że to chłodne przyjęcie nie ma związku z jej osobą.

Myles wziął ją pod ramię i zaprowadził przez korytarz do mieszkania. W środku pomógł jej zdjąć płaszcz i niedbale położył na krześle w przedpokoju.

— Kitty — powiedział — nie gniewaj się na mnie. Próbuję coś sprawdzić, coś ważnego.

Weszli do gabinetu. Kitty rozejrzała się po przytulnym pokoju, podziwiając piękno, wygodę i elegancję otoczenia.

— Nie martw się o mnie — powiedziała. — Rób dalej to, co robisz. Myles wrócił do biurka.

— Chodzi o to — myślał głośno — że ta rączka nie pękła. Została siłą oderwana od pojemnika. Neeve po raz pierwszy użyła tego ekspresu, więc może dostarczono go w takim stanie, jakoś dzisiejszych towarów... Ale na litość boską, przecież by zauważyła, że ten cholerny uchwyt wisi na włosku!

Kitty wiedziała, że gospodarz nie oczekuje odpowiedzi. Cicho chodziła po pokoju, podziwiając piękne obrazy i zdjęcia rodzinne w ramkach. Uśmiechnęła się nieświadomie na widok trzech nurków. Maski do nurkowania prawie całkowicie zasłaniały twarze, ale niewątpliwie był to Myles, jego żona i siedmio — czy ośmioletnia Neeve. Kitty, Mikę i Michael też nurkowali w maskach na Hawajach.

Spojrzała na Mylesa. Ze skupioną miną przykładał uchwyt do pojemnika. Podeszła i stanęła obok niego. Spojrzenie jej padło na otwartą książkę kucharską. Stronice były poplamione kawą, ale te przebarwienia raczej podkreślały niż zamazywały szkice. Kitty pochyliła się i przyjrzała im uważnie, a potem sięgnęła po szkło powiększające, które leżało obok. Ponownie obejrzała szkice, zwłaszcza jeden.

— Urocze — powiedziała. — To oczywiście Neeve. Chyba była pierwszym dzieckiem noszącym kolekcję rafy koralowej. Co za sztyk!

Poczuła, że Myles chwytają za rękę.

— Coś ty powiedziała? — zawołał. — Coś ty powiedziała?

Szukając białej sukni, Neeve wstąpiła najpierw do Estrazy'ego. W sali wystawowej

panował ścisk. Szefowie zakupów od Saksa, Bonwita i Bergdorfa przepychali się obok właścicieli małych prywatnych sklepów. Neeve szybko zorientowała się, że wszyscy

dyskutują o Gordonie Steuberze.

— Wiesz, Neeve — zwierzył jej się przedstawiciel Saksa — zostałem na lodzie z

partią jego ubiorów sportowych. Ludzie są dziwni. Nie uwierzysz, ilu odwróciło się od Gucciego i Nippona, kiedy ich skazano za uchylanie się od podatków. Jedna z moich najlepszych klientek powiedziała mi, że nie zamierza popierać chciwych oszustów.

Ekspedientka szepnęła Neeve do ucha, że jej najlepsza przyjaciółka, sekretarka

Gordona Steubera, szaleje z niepokoju.

— Steuber był dla niej dobry — przyznała — ale teraz ma poważne kłopoty i moja

przyjaciółka boi się, że też wpadnie. Co powinna zrobić?

— Powiedzieć prawdę — odparta Neeve — i wytłumacz jej, żeby nie przestrzegała

falszywie pojętej lojalności wobec szefa. On na to nie zasługuje.

Ekspedientka znalazła trzy białe suknie. Jedna z nich, uznała Neeve, idealnie nadawała się dla córki pani Poth. Zamówiła ją, a dwie pozostałe wzięła w komis.

Pięć po szóstej stanęła przed budynkiem Sala. Na ulicach zapanował spokój. Pomiędzy piątą a piątą trzydzieści gorączkowa aktywność dzielnicy odzieżowej nagle zamierała.

Neeve weszła do westybulu i zdziwiła się, że za biurkiem w rogu nie ma strażnika. Pewnie poszedł do toalety, pomyślała i podeszła do wind. Jak zwykle po szóstej tylko jedna działała. Drzwi się zamykały, kiedy Neeve usłyszała szybkie kroki na marmurowej

podłodze. Zanim drzwi się zatrzasnęły i winda ruszyła do góry, Neeve dostrzegła na mgnienie szary dres i punkową fryzurę. Oczy ich dwojga się spotkały.

Posłaniec! W chwili absolutnej jasności umysłu Neeve przypomniała sobie, że

widziała tego człowieka, gdy odprowadzała panią Poth do samochodu. Widziała go, kiedy wyszła z Inslip Separates.

Czując nagłą suchość w ustach, nacisnęła guzik dwunastego piętra, a potem wszystkie pozostałe dziewięć górnych pięter. Na dwunastym wysiadła i przebiegła kilka kroków korytarzem do biura Sala.

Drzwi do sali wystawowej były otwarte. Zamknęła je za sobą. Pomieszczenie było

puste.

— Sal! — krzyknęła w panice. — Wujku! Wybiegł ze swojego prywatnego gabinetu.

— Neeve, co się stało?

— Sal, chyba ktoś mnie śledzi. — Neeve chwyciła go za ramię. — Proszę, zamknij drzwi na klucz.

Wytrzeszczył na nią oczy.

— Jesteś pewna?

Tak. Widziałam go trzy czy cztery razy.

Te ciemne, głęboko osadzone oczy, ta ziemista cera. Neeve poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

— Słuchaj — szepnęła — ja wiem, kto to jest. On pracuje w kawiarni.

— Dlaczego cię śledzi?

— Nie wiem. — Neeve podniosła oczy na niego. — Chyba że Myles cały czas miał rację. Czy to możliwe, że Nicky Sepetti kazał mnie zabić?

Sal otworzył zewnętrzne drzwi. Słyszeli warkot windy jadącej na dół.

— Neeve — zapytał — czy odważysz się na pewien sprawdzian? Nie wiedząc, czego się spodziewać, przytaknęła.

— Zostawię te drzwi otwarte. Ty i ja możemy rozmawiać. Jeżeli ktoś cię ściga, lepiej go nie spłoszyć.

— Chcesz, żebym tu stała, gdzie można mnie zobaczyć?

— Ależ nie. Wejdz za ten manekin. Ja schowam się za drzwiami. Jeśli ktoś wejdzie, skoczę na niego. Chodzi o to, żeby go złapać i dowiedzieć się, kto go przysłał.

Popatrzyli na wskaźnik windy. Pokazywał parter. Kabina ruszyła do góry.

Sal pobiegł do swojego gabinetu, otworzył szufladę biurka, wyjął broń i pośpiesznie wrócił do Neeve.

— Mam zezwolenie, odkąd mnie obrabowali kilka lat temu — szepnął. — Neeve, wsuń się za ten manekin.

Jak we śnie wypełniła jego polecenie. Światła w sali wystawowej były przyćmione, ale i tak zobaczyła, że manekiny ubrano w nową kolekcję Sala. Ciemne jesienne kolory, jeżyna i głęboki błękit, grafitowy brąz i węglowa czerń. Kieszenie, szaliki i paski ozdobione jaskrawymi kolorami rafy koralowej. Koralowe czerwienie, srebro i złoto, przejrzyste zielenie, szmaragdy i błękity połączone w mikroskopijnych wersjach delikatnych wzorów, które Sal naszkicował w Akwarium tak dawno temu. Akcenty i dodatki, sygnatury jego wielkiego klasycznego projektu.

Spojrzała na szalik, który muskał jej twarz. Ten wzór. Szkice. „Mamo, rysujesz mój portret? Mamo, nie tak jestem ubrana...” „Och, bambola mia, to tylko pomysł na coś ładnego...”

Szkice — szkice Renaty narysowane trzy miesiące przed śmiercią, rok wcześniej,

zanim Anthony della Salva olśnił świat mody kolekcją rafy koralowej. Dopiero w zeszłym tygodniu próbował zniszczyć książkę kucharską z powodu jednego z tych szkiców.

— Neeve, powiedz coś — rozkazujący szept Sala rozciął ciszę. Drzwi były uchylone.

Z korytarza Neeve słyszała, jak winda się zatrzymuje.

— Właśnie myślałam — zaczęła, siłąc się na normalny ton — że cudownie zastosowałeś motyw rafy koralowej w jesiennej kolekcji.

Syk rozsuwanych drzwi windy. Ciche stąpienia w korytarzu. Jowialny głos Sala:

— Pozwoliłem wszystkim wyjść wcześniej. Harowali jak woły, żeby przygotować pokaz. Myślę, że to moja najlepsza kolekcja od lat.

Rzucił jej uspokajający uśmiech i wśliznął się za uchylone skrzydło drzwi. W przyćmionym świetle jego ogromny cień padł na ścianę naprzeciwko, udekorowaną freskiem rafy koralowej.

Neeve spojrzała na ścianę, a potem dotknęła szalika na manekinie. Próbowwała odpowiedzieć, ale głos uwiązał jej w gardle.

Drzwi otworzyły się powoli. Zobaczyła zarys dłoni i lufę pistoletu. Denny ostrożnie wszedł do pokoju, szukając ich wzrokiem. Sal bezgłośnie wysunął się zza drzwi. Podniósł

broń.

— Denny — powiedział cicho.

Przybysz okręcił się na pięcie i w tej samej chwili della Salva strzelił. Kula trafiła zabójcę w czoło.

Mężczyzna nie wydał żadnego dźwięku, tylko upuścił pistolet i upadł na podłogę.

Ogłupiała Neeve patrzyła, jak Sal wyjął chusteczkę z kieszeni i przez materiał podniósł pistolet Denny'ego.

— Zastrzelełeś go — szepnęła. — Zastrzelełeś go z zimną krwią. Nie musiałeś! Nie dałeś mu żadnej szansy.

— On chciał cię zabić. — Sal rzucił własny pistolet na biurko recepcjonistki. — Tylko cię obroniłem.

Ruszył w jej stronę, trzymając pistolet tamtego.

— Wiedziałeś, że on przyjdzie! — zawołała Neeve. — Wiedziałeś, jak się nazywa. Ty to zaplanowałeś.

Serdeczna, jowialna maska, stale obecna na twarzy projektanta, znikła. Policzki miał

pulchne i błyszczące od potu. Oczy, które zawsze zdawały się mrugać wesoło, zwęziły się w szparki i niemal zniknęły w nalanej twarzy. Dłoń, wciąż zaczerwieniona i pokryta pęcherzami, uniosła broń i wymierzyła w Neeve. Kropelki krwi Denny'ego upstrzyły przód marynarki Sala. Na dywanie wokół jego stóp rozszerzała się kałuża krwi.

— Oczywiście, że ja — odparł. — Krążą plotki, że Steuber kazał cię zabić. Ale nikt nie wie, że to ja rozpuściłem te pogłoski i ja zleciłem kontrakt. Powiem Mylesowi, że zabiłem twojego mordercę, ale za późno, żeby cię uratować. Nie martw się, Neeve,

pocieszę twojego ojca. Potrafię to zrobić.

Stała jak wrośnięta w podłogę, niezdolna do ucieczki, niezdolna nawet do strachu.

— Moja matka zaprojektowała linię rafy koralowej — powiedziała. Ukradłeś to jej,

prawda? A Ethel jakoś to wykryła. To tyją zabiłeś! Tyją ubrałeś, nie Steuber. Ty wiedziałeś, która bluzka należy do zestawu!

Sal zaczął się śmiać, pozbawiony radości chichot wstrząsał jego ciałem jak czkawka.

— Neeve — odrzekł — jesteś dużo bystrzejsza od ojca, dlatego muszę się ciebie

pozbyć. Wiedziałaś, że coś jest nie tak, kiedy Ethel nie przyszła na spotkanie. Zauważyłaś, że wszystkie jej zimowe płaszcze wiszą w szafie. Tak myślałem, że zauważysz. Kiedy zobaczyłem szkice motywów rafy koralowej w książce kucharskiej, wiedziałem, że muszę ją zniszczyć za każdą cenę, nawet gdybym miał poparzyć sobie rękę. Skojarzyłabyś

podobieństwo prędeż czy później. Myles nie rozpoznałby nic, choćbym mu podetknął te szkice pod sam nos. Ethel dowiedziała się, że moja historyjka o inspiracji, która spłynęła na mnie w chicagowskim Akwariu, to kłamstwo. Powiedziałem jej, że mogę to wyjaśnić, i poszedłem do niej. Nie była głupia. Oświadczyła, że wie, iż skłamałem, i wie, dlaczego to zrobiłem... że ukradłem ten projekt. A ona zamierzała to udowodnić.

— Ethel widziała książkę kucharską — powiedziała drętwo Neeve. Skopiowała nawet jeden ze szkiców w swoim kalendarzyku.

Sal uśmiechnął się szeroko.

— Więc tak to sobie skojarzyła? Nie zdążyła mi powiedzieć przed śmiercią.

Gdybyśmy mieli więcej czasu, pokazałbym jej portfolio, które dostałem od twojej matki.

Tam jest cała kolekcja.

To nie był wujek Sal. To nie był przyjaciel z dzieciństwa jej ojca. To był obcy, który nienawidził jej, nienawidził Mylesa.

— Twój ojciec i Dev traktowali mnie jak błazna, odkąd byliśmy dziećmi. Wyśmiewali się ze mnie. Twoja matka — piękna, z klasą, obdarzona wycuciem mody, z jakim można się tylko urodzić — marnowała te wszystkie zdolności z takim kłosem jak twój ojciec, który nie odróżnia podomki od szaty koronacyjnej. Renata zawsze patrzyła na mnie z góry.

Wiedziała, że nie mam tego daru. Ale kiedy chciała się poradzić, komu pokazać swoje projekty, zgadnij, do kogo przyszła!

Neeve, ty jeszcze nie odgadłaś najlepszego. Tylko ty jedna się dowiesz i nikomu tego nie zdradzisz. Neeve, ty głupia dziwko, ja nie tylko ukradłem twojej matce kolekcję rafy koralowej, ale poderznąłem jej gardło!

— To Sal! — szepnął Myles. — Oderwał uchwyt od zbiornika. Próbował zniszczyć te szkice. A Neeve może jest teraz u niego.

— Gdzie? — Kitty złapała go za ramię.

— W biurze Sala. Trzydziesta Szósta Ulica.

— Mój samochód stoi przed domem. Mam telefon.

Myles kiwnął głową i popędził do drzwi. Upłynęła koszmarna minuta, zanim nadszedła winda. Zatrzymywała się dwukrotnie, żeby zabrać innych pasażerów na parter.

Myles przebiegł przez westybul, trzymając Kitty za rękę. Nie zważając na samochody, przemknęli przez ulicę.

— Ja poprowadzę — oświadczył Kearny. Wykręcił z piskiem opon o sto osiemdziesiąt

stopni i pomknął przez West End Avenue. Żeby tylko jakiś wóz patrolowy go zobaczył, żeby pojechał za nim.

Jak zawsze w kryzysowej sytuacji ogarnął go lodowaty chłód. Umysł stał się oddzielną istotą, rozważającą dostępne opcje. Myles podał Kitty numer, pod który miała zadzwonić.

W milczeniu wykonała polecenie i podała mu słuchawkę.

— Biuro komisarza policji.

— Myles Kearny. Połącz mnie z komisarzem.

Gorączkowo lawirował w gęstym wieczornym ruchu, ignorując czerwone światła i zostawiając za sobą rozłoszczonych kierowców. Dotarli do Columbus Circle.

Głos Herba.

— Myles, właśnie próbowałem dodzwonić się do ciebie. Steuber zlecił kontrakt na

Neeve. Musimy ją chronić. I myślę, że istnieje związek pomiędzy morderstwem Ethel Lambston i śmiercią Renaty. Cięcie w kształcie litery v na gardle tej pisarki... dokładnie taką samą ranę miała twoja żona.

Renata z poderżniętym gardłem. Renata leżąca tak spokojnie w parku. Ani śladu walki.

Renata, której nie obrabowano, tylko spotkała człowieka, któremu ufała, przyjaciela z dzieciństwa jej męża. O Jezu, pomyślał Myles. O Jezu.

— Herb, Neeve jest w biurze Anthony'ego della Salvy. Zachodnia Trzydziesta Szósta numer dwieście pięćdziesiąt. Dwunaste piętro. Herb, wyślij tam szybko naszych ludzi. To Sal jest mordercą.

Pomiędzy Pięćdziesiątą Szóstą a Czterdziestą Czwartą zmieniano asfalt na prawych

pasach Siódmej Alei. Ale robotnicy już poszli. Myles zuchwale wjechał za barykady, na jeszcze wilgotną nawierzchnię. Minęli Trzydziestą Ósmą Ulicę, Trzydziestą Siódmą...

Neeve. Neeve. Neeve. Pozwól mi zdążyć, modlił się Myles. Oszczędź moje dziecko.

Jack odłożył słuchawkę, wciąż zaabsorbowany tym, co właśnie usłyszał. Jego

przyjaciół, dyrektor chicagowskiego Akwarium, potwierdził jego podejrzenia. Nowe

muzeum otwarto przed osiemnastu laty, ale wspaniała ekspozycja na najwyższym piętrze, która stwarzała oszołamiącą iluzję spaceru po dnie morza wokół rafy koralowej, była otwarta dopiero od szesnastu lat. Niewiele osób wiedziało, że wynikły problemy ze zbiornikami wodnymi i piętro rafy koralowej udostępniono publiczności prawie dwa lata później niż resztę Akwarium. Dyrektorowi niezbyt zależało na rozgłaszaniu tej informacji.

Jack wiedział, ponieważ uczęszczał do Northwestern i regularnie odwiedzał muzeum.

Anthony della Salva twierdził, że do stworzenia kolekcji rafy koralowej zainspirowała go wizyta w chicagowskim Akwarium siedemnaście lat temu. Niemożliwe. Więc dlaczego skłamał?

Jack popatrzył na obszerne notatki Ethel; wycinki z wywiadami i artykułami o Salu; zuchwały znak zapytania nad kwiecistym opisem pierwszych wrażeń projektanta po

obejrzeniu ekspozycji rafy koralowej w Akwarium; kopię szkicu z książki kucharskiej.

Autorka wychwyciła tę sprzeczność i próbowała ją wyjaśnić. Teraz nie żyła.

Jack przypomniał sobie uparte przekonanie Neeve, że Ethel była jakoś dziwnie ubrana.

Przypomniał sobie powiedzenie Mylesa: „Każdy morderca zostawia wizytówkę”.

Gordon Steuber nie był jedynym projektantem, który mógł przez pomyłkę ubrać ofiarę w pozornie odpowiedni strój.

Anthony della Salva mógł popełnić dokładnie ten sam błąd.

W biurze Jacka panowała cisza, martwa cisza typowa dla pomieszczeń, gdzie nagle

ustaje zwykła aktywność interesantów, sekretarek i dzwoniących telefonów.

Jack chwycił książkę telefoniczną. Anthony della Salva miał biura pod sześcioma

różnymi adresami. Jack gorączkowo wybrał pierwszy numer. Bez odpowiedzi. Pod drugim i trzecim włączyły się automatyczne sekretarki: „Pracujemy w godzinach od ósmej

trzydzieści rano do piątej po południu. Proszę zostawić wiadomość”.

Spróbował połączyć się z mieszkaniem w Schwab House. Po sześciu dzwonek

zrezygnował. W ostatecznej desperacji zadzwonił do sklepu. Niech ktoś odbierze, modlił

się gorączkowo.

— Salon Neeve.

— Muszę znaleźć Neeve Kearny. Mówi Jack Campbell, przyjaciel.

— Pan jest tym wydawcą... — zaczęła Eugenia ciepłym głosem. Jack przerwał jej:

— Neeve ma spotkanie z della Salvą. Gdzie?

— W jego głównym biurze. Trzydziesta Szósta Ulica numer dwieście pięćdziesiąt. Czy coś się stało?

Jack bez słowa trzasnął słuchawką.

Jego wydawnictwo znajdowało się na rogu Park i Czterdziestej Pierwszej. Pobiegł

przez opustoszałe korytarze, złapał windę właśnie zjeżdżającą na parter i zatrzymał

taksówkę. Rzucił kierowcy dwadzieścia dolarów i wykrzyczał adres. Było osiemnaście minut po szóstej.

Czy tak samo było z mamą? — zastanawiała się Neeve. Czy spojrzała na niego

tamtego dnia i zobaczyła zmianę w jego twarzy? Czy coś ją ostrzegło?

Neeve wiedziała, że umrze. Przez cały tydzień czuła, że jej czas dobiega końca. Teraz, kiedy straciła już nadzieję, nagle zapragnęła uzyskać odpowiedź na te pytania.

Sal przysunął się bliżej. Stał teraz niecałe półtora metra od Neeve. Za nim, obok drzwi leżało na podłodze bezwładne ciało Denny'ego, dostawcy z delikatesów, który troskliwie otworzył dla niej pojemnik z kawą. Kątem oka Neeve widziała krew ciekącą z rany w głowie mężczyzny; krew zachlapała wielką brązową kopertę, którą przyniósł ze sobą; punkowa fryzura, która okazała się peruką, miłosiernie przesłoniła połowę jego twarzy.

Wydawało się, że upłynęły lata, odkąd Denny wtargnął do pokoju. Jak dawno temu

wszedł? Przed minutą? Przed niecałą minutą. Budynek wydawał się pusty, ale może ktoś usłyszał strzał. Ktoś postanowił sprawdzić... Strażnik powinien siedzieć na dole... Sal nie miał czasu do stracenia i oboje o tym wiedzieli.

Gdzieś z daleka Neeve usłyszała słaby warkot. Winda ruszyła. Ktoś tutaj jechał? Czy mogła odwlec chwilę, kiedy morderca pociągnie za spust?

— Wujku — odezwała się cicho — powiedz mi tylko jedno. Dlaczego musiałeś zabić

moją matkę? Nie mogłeś pracować razem z nią? Nie ma takiego projektanta, który nie bierze pomysłów od praktykantów.

— Kiedy widzę geniusz, nie zamierzam się dzielić, Neeve — oświadczył stanowczo

Sal.

Szmer rozsuwanych drzwi w holu. Ktoś tam był. Żeby tylko Sal nie usłyszał kroków!

Neeve zawołała:

— Zabiłeś moją matkę z chciwości! A potem pocieszałeś nas i płakałeś razem z nami.

Nad jej trumną powiedziałeś Mylesowi: „Spróbuj myśleć, że twoja śliczna śpi”.

— Zamknij się! — Sal wyciągnął rękę.

Lufa pistoletu zawisała przed twarzą Neeve. Odwróciła głowę i zobaczyła ojca stojącego w drzwiach.

— Myles, uciekaj, on cię zabije! — wrzasnęła. Sal odwrócił się gwałtownie.

Myles nawet nie drgnął. Absolutny autorytet dźwięczał w jego głosie, który wypełnił cały pokój.

— Oddaj mi broń, Sal. Skończone.

Delia Salva wymierzył w niego pistolet. Oczy miał dzikie ze strachu i nienawiści.

Cofnął się o krok, kiedy Myles ruszył w jego stronę.

— Nie podchodź bliżej! — krzyknął. — Bo strzelę.

— Nie, nie strzelisz, Sal — zaprzeczył Myles śmiertelnie spokojnym głosem, bez cienia strachu czy niepewności. — Zamordowałeś moją żonę, zabiłeś Ethel Lambston.

Jeszcze sekunda i zastrzeliłbyś moją córkę. Ale Herb i gliny będą tutaj lada chwila. Wiedzą o tobie. Nie wyłgasz się z tego. Więc oddaj mi broń — mówił, odmierzając słowa z

przerazającą siłą i pogardą. Przerwał na chwilę, a potem dodał: — Albo wyświadcz

przysługę sobie i nam wszystkim, włóż lufę pistoletu do swych kłamliwych ust i palnij sobie w łeb.

Myles kazał Kitty zostać w samochodzie. Czekaając, przeżywała męczarnie. Proszę...

proszę, pomóż im. Od następnej przecznicy dobiegło ją natarczywe zawodzenie syreny.

Dokładnie przed nią zahamowała taksówka, z której wyskoczył Jack Campbell.

— Jack! — Kitty otworzyła drzwi samochodu i pobiegła za nim do westybulu. Strażnik rozmawiał przez telefon.

— della Salva — warknął Jack. Tamten podniósł rękę.

— Zaczekajcie chwilę.

— Dwunaste piętro — powiedziała Kitty.

Jedynej działającej windy nie było. Wskaźnik pokazywał, że stała na dwunastym piętrze. Jack chwycił mężczyznę za gardło.

— Włącz inną windę.

— Hej, co pan sobie myśli...

Przed budynkiem zahamowały z piskiem opon policyjne samochody. Strażnik szeroko otworzył oczy. Rzucił Jackowi klucz.

— Tym je pan otworzy.

Jack i Kitty jechali już na górę, zanim policja wpadła do budynku. Campbell powiedział:

— Myślę, że della Salva...

— Wiem — przerwała mu Kitty.

Winda dowlokła się na dwunaste piętro i stanęła.

— Zaczekaj tutaj — powiedział Jack.

Zdążył usłyszeć spokojny, zrównoważony głos Mylesa:

— Oddaj mi broń, Sal, jeśli nie zamierzasz jej użyć przeciwko sobie.

Jack stanął w drzwiach. W pokoju panował mrok i cała scena wyglądała jak

surrealistyczny obraz. Ciało na dywanie, Neeve i jej ojciec pod lufą pistoletu. Campbell dostrzegł błysk metalu na biurku obok drzwi. Broń. Czy zdąży jej dosięgnąć?

Potem na jego oczach Anthony della Salva upuścił pistolet.

— Weź go, Myles — poprosił. — Słuchaj, ja nie chciałem, wcale tego nie chciałem.

— Padł na kolana i objął nogi Kearny'ego. — Myles, jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Powiedz im, że ja nie chciałem.

Po raz ostatni tego dnia komisarz policji Herbert Schwartz konferował w swoim

gabinecie z detektywami O'Brienem i Gomezem. Herb właśnie wrócił z biura Anthony'ego della Salvy. Przyjechał tam tuż przed pierwszym wozem patrolowym. Porozmawiał z

Mylesem, kiedy już wyprowadzili tego łajdaka.

— Myles, przez siedemnaście lat torturowałeś się myślą, że nie potraktowałeś

poważnie groźby Nicky'ego Sepettiego. Chyba już pora, żebyś skończył z wyrzutami

sumienia. Myślisz, że gdyby twoja żona przyszła do ciebie ze swoimi projektami, umiałbyś dostrzec w tym geniusz? Jesteś bystrym gliniarzem, ale ślepym na kolory. Pamiętam, jak Renata mówiła, że dobiera ci krawaty.

Myles da sobie radę. Co za szkoda, pomyślał Herb, że już się nie stosuje zasady „oko za oko, ząb za ząb”. Podatnicy będą utrzymywać della Salvę do końca jego życia...

O'Brien i Gomez czekali. Komisarz wydawał się wyczerpany. Ale to był dobry dzień, della Salva przyznał się do zamordowania Ethel Lambston. Biały Dom i burmistrz

przestaną się czepiać.

O'Brien miał kilka rzeczy do powiedzenia komisarzowi.

— Sekretarka Steubera zgłosiła się dobrowolnie jakąś godzinę temu. Ethel Lambston przyszła do Steubera przed dziesięcioma dniami. Na koniec rozmowy oświadczyła mu, że wsadzi go za kratki. Pewnie wpadła na ślad jego narkotykowych operacji, ale to bez znaczenia. On nie zabił Lambston.

Schwartz kiwnął głową. Odezwał się detektyw Gomez:

— Panie komisarzu, teraz wiemy, że Seamus Lambston nie zabił swojej byłej żony.

Czy chce pan oskarżyć go o napaść, a jego żonę o ukrywanie dowodów?

— Znaleźliście narzędzie zbrodni?

— Tak. W tym indyjskim sklepie, tak jak mówiła.

— Więc dajmy biedakowi spokój. — Herb wstał. — To był długi dzień. Dobranoc, panowie.

Biskup Stanton popijał przed obiadem koktajl z kardynałem w rezydencji przy

Madison Avenue. Starzy przyjaciele oglądali wieczorne wiadomości, omawiając

perspektywę czerwonego kapelusza dla Devina.

— Będę za tobą tęsknił, Dev — oświadczył kardynał. — Na pewno chcesz wziąć tę robotę? Baltimore w lecie to prawdziwa łaźnia.

Wiadomość ogłoszono tuż przed końcem programu. Słynny projektant Anthony della Salva został oskarżony o zamordowanie Ethel Lambston, Renaty Kearny i Denny'ego Adlera oraz próbę zamordowania Neeve Kearny, córki byłego komisarza policji.

Kardynał odwrócił się do Devina.

— To twoi przyjaciele! Ten zerwał się z miejsca.

— Eminencja zechce mi wybaczyć...

Ruth i Seamus Lambston oglądali dziennik NBC o szóstej przekonani, że usłyszą, iż były mąż Ethel Lambston nie przeszedł pomyślnie testu na wykrywaczu kłamstw. Oboje zdziwili się, kiedy Seamusa wypuszczono z komendy. Byli przekonani, że aresztowanie to tylko kwestia czasu.

Peter Kennedy próbował ich pocieszać.

— Testy na poligrafie nie są niezawodne. Jeśli dojdzie do procesu, mamy dowód, że przeszedł pan pierwszy test.

Ruth zawieziono do indyjskiego sklepu. Kosz, do którego wrzuciła sztylet, został

przestawiony, dlatego gliniarze go nie znaleźli. Wygrzebała dla nich sztylet i patrzyła, jak obojętnie wkładają go do plastikowej torebki.

— Wyszorowałam go — uprzedziła detektywów.

— Plamy krwi nie zawsze znikają.

Jak to się stało, zadawała sobie pytanie, siedząc w ciężkim, grubo wyściełanym

welurowym fotelu, którego nienawidziła od tylu lat, ale teraz postrzegała jako znajomy i wygodny. W jaki sposób straciliśmy kontrolę nad naszym życiem?

Wiadomość o aresztowaniu Anthony'ego della Salvy ogłoszono, kiedy już zamierzała

wyłączyć odbiornik. Wymienili spojrzenia, w pierwszej chwili nic nie rozumiejąc, a potem niezręcznie wyciągnęli do siebie ręce.

Douglas Brown wysłuchał z niedowierzaniem raportu w wieczornych wiadomościach

CBS. Potem usiadł na łóżku Ethel — nie, na swoim łóżku — i objął rękami głowę.

Skończone. Ci gliniarze nie mogli udowodnić, że podbierał ciotce pieniądze. Dziedziczył po niej. Był bogaty.

Chciał to uczcić. Wyjął portfel i sięgnął po numer telefonu zaprzyjaźnionej recepcjonistki z pracy. Potem zawahał się jednak. Ta dziewczyna, która tu sprząta, ta aktorka. Coś w sobie miała. To idiotyczne imię. Tse-tse. Znalazł jej numer w spisie telefonów Ethel.

Telefon zadzwonił trzy razy, zanim podniesiono słuchawkę.

— Allo?

Pewnie ma francuską współlokatorkę, pomyślał Doug.

— Czy mogę prosić Tse-tse? Mówi Doug Brown.

Aktorka, która właśnie próbowała rolę francuskiej prostytutki, porzuciła swój akcent.

— Spadaj, palancie — warknęła i trzasnęła słuchawką.

Devin Stanton, przyszły arcybiskup diecezji baltimorskiej, stał w drzwiach salonu, obserwując sylwetki Neeve i Jacka na tle okien. Za nimi sierp księżycy wreszcie wychynął

spoza chmur. Dev pomyślał z narastającym gniewem o hipokryzji, chciwości i

okrucieństwie Sala Esposito. Zanim katolickie wychowanie przypomniało mu o

miłosierdziu, mruknął do siebie: „Ten przeklęty łajdak”. Potem, patrząc na Neeve w ramionach Jacka, pomyślał: Renato, modlę się i mam nadzieję, że to widzisz.

Za jego plecami, w gabinecie, Myles sięgnął po butelkę wina. Kitty siedziała w rogu na kanapie, jej miękkie rude włosy błyszczały w świetle wiktoriańskiej lampy stołowej.

Myles usłyszał własny głos:

— Masz przepiękny kolor włosów. Moja matka nazwałaby ten odcień „złotorudy”.

Zgadza się?

Kitty uśmiechnęła się lekko.

— Kiedyś tak. Teraz natura wymaga poprawek.

— W twoim przypadku natura nie wymaga żadnych poprawek. Myles nagle się zaciął.

Jak podziękować tej kobiecie za uratowanie życia Neeve? Gdyby Kitty nie skojarzyła szkicu z motywem rafy koralowej, Myles nie zdążyłby do biura Sala na czas. Przypomniał

sobie, jak Neeve, Kitty i Jack otoczyli go ramionami, kiedy policjanci wyprowadzili zabójcę. Myles szlochał:

— Nie słuchałem Renaty. Nigdy jej nie słuchałem. Dlatego poszła do niego i zginęła.

— Poszła po opinię do eksperta — oświadczyła stanowczo Kitty. — Bądź uczciwy i przyznaj, że tego nie mogłeś jej dać.

Jak powiedzieć kobiecie, że dzięki niej straszliwy gniew i poczucie winy, które dźwigałeś przez tyle lat, odeszły w przeszłość, że nie czujesz się pusty i wypalony, tylko silny i gotowy żyć pełnią życia do końca swoich dni? Myles nie znał na to sposobu.

Zorientował się, że wciąż trzyma butelkę z winem. Rozejrzał się za kieliszkiem Kitty.

— Nie pamiętam, gdzie go postawiłam — odezwała się Kitty. — Chyba gdzieś nisko.

Owszem, znasz sposób, żeby jej powiedzieć. Myles z rozmysłem napełnił własny kieliszek po brzegi i podał Kitty.

— Weź mój.

Neeve i Jack stali przy oknie i wyglądali na Hudson, autostradę, sylwetki bloków mieszkalnych i restauracji górujących nad nabrzeżem New Jersey.

— Dlaczego pojechałeś do biura Sala? — zapytała cicho Neeve.

— W notatkach Ethel o nim znalazłem uwagi o linii rafy koralowej. Zebrała cały plik wycinków z gazet reklamujących tę kolekcję, a obok narysowała szkic. Ten szkic coś mi przypomniał i zrozumiałem, że widziałem taki sam w książce kucharskiej twojej matki.

— I wtedy już wiedziałeś?

— Przypomniałem sobie, jak mi mówiłaś, że stworzył tę kolekcję po śmierci twojej

matki. Jak wynikało z notatek Ethel, Sal twierdził, że do stworzenia linii rafy koralowej zainspirowało go zwiedzanie Akwarium w Chicago. To było po prostu niemożliwe.

Wszystko wskoczyło na miejsce, gdy tylko się zastanowiłem. Potem o mało nie oszalałem, wiedząc, że poszłaś do niego.

Wiele lat temu Renata jako dziesięcioletnia dziewczynka, śpiesząc do domu pomiędzy dwiema armiami strzelającymi do siebie, z powodu „przecucia” weszła do kościoła i uratowała ранego amerykańskiego żołnierza. Neeve poczuła, że ramię Jacka opasuje ją w talii. Gest nie był ukradkowy,

lecz pewny i stanowczy.

— Neeve?

Przez te wszystkie lata powtarzała Mylesowi, że kiedy to się stanie, będzie wiedziała.

Jack przyciągnął ją bliżej do siebie i zrozumiała, że wreszcie nadszedł ten czas.